

PAKT DIABŁÓW
Prawdziwe kulisy sojuszu Hitler-Stalin

WALCZYŁAM W WARSZAWIE!
Poruszająca rozmowa z weteranką powstania

W CIENIU WOŁYNIA
Gehenna Polaków w Galicji Wschodniej

NR 9(115)/2022 WRZESIEŃ 2022

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031

17 września 1939 r.

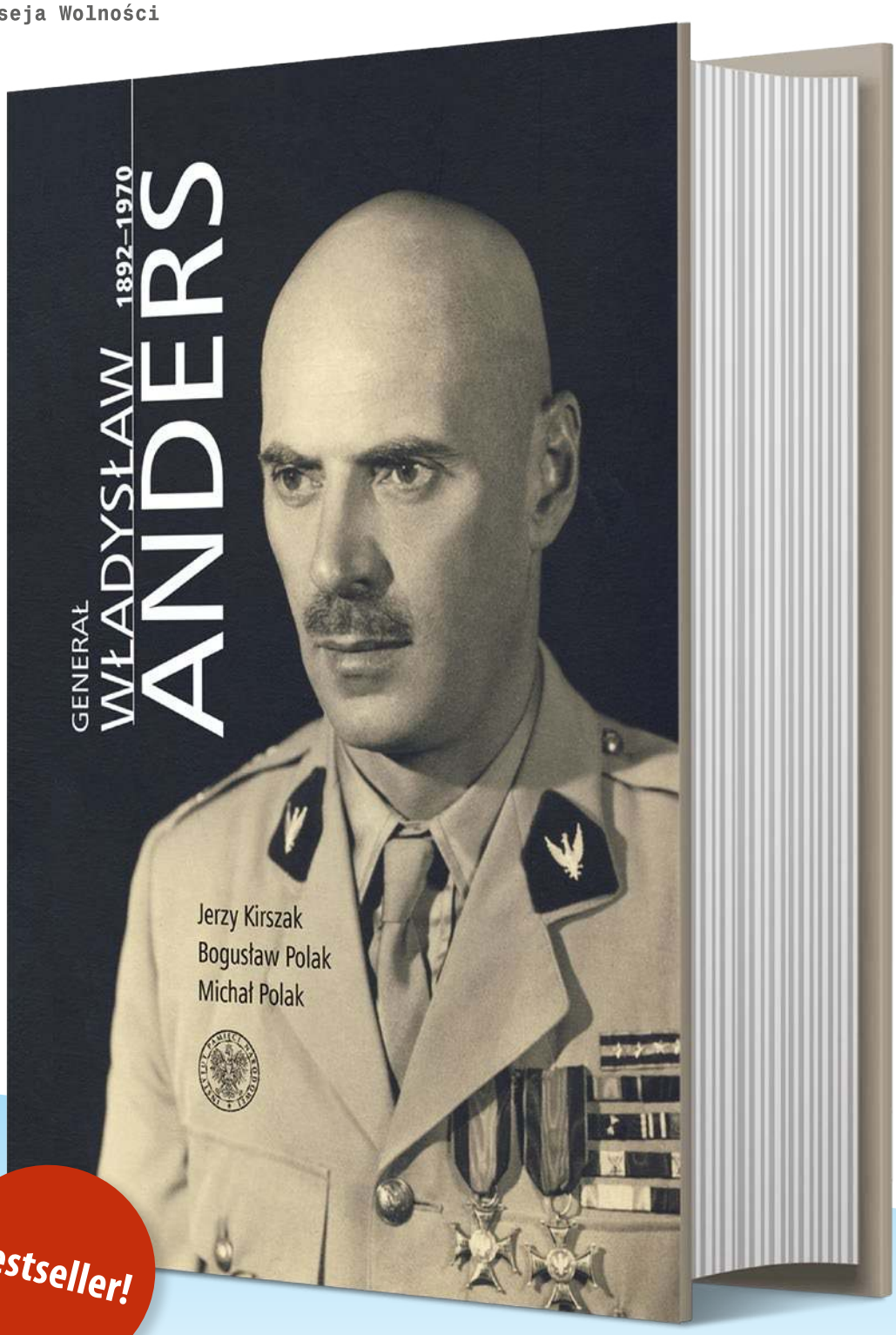
CIOS W PLECY

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ
IPN

Szlaki Nadziei
Odyseja Wolności

Wyjątkowy album

poświęcony jednemu z najwybitniejszych dowódców polskich XX w.



Bestseller!

Pełna oferta na www.ksiegarniaipn.pl • Fb.com/ksiegarnia.ipn

eprasa.pl 374c0e181c

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803
lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / „Lenin Most", lipiec 1928 r.

Poranna gimnastyka żołnierzy KOP na granicy polsko-sowieckiej



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Zychowicz

Koszmar wojny na dwa fronty

„My na dwa fronty wojny prowadzić nie możemy, więc ja was wojny na dwa fronty uczyć nie będę. Wojna na dwa fronty to znaczy ginąć tu, na placu Saskim, z szablami w dłoni w obronie honoru narodowego".

Te słynne słowa Józefa Piłsudskiego doskonale oddają tragizm największego zagrożenia, które zawsze stało i stoi przed Polską. Mowa o tym, co Marszałek określał strasznym scenariuszem „R+N", czyli o jednoczesnej wojnie Rzeczypospolitej Polskiej z Niemcami i ze Związkiem Sowieckim.

Spośród wszystkich możliwych układów międzynarodowych sojusz Berlina i Moskwy zawsze był tym najbardziej niekorzystnym dla Polski. Jego skutkiem na ogół było Finis Poloniae. Słynny niemiecki historyk Golo Mann pisał, że w Europie Środkowo-Wschodniej w gruncie rzeczy możliwe są tylko trzy scenariusze:

– Polska z Niemcami przeciwko Rosji,
– Polska z Rosją przeciwko Niemcom,
– Niemcy i Rosja przeciwko Polsce.

17 września 1939 r. spełnił się scenariusz trzeci. Ten najbardziej dla nas przerażający. Konsekwencje sowieckiej agresji na Polskę były straszliwe. I trwają do dziś.

Już podczas wrześniowej agresji oddziały Armii Czerwonej dopuszczały się zbrodni na Polakach. A to był przecież dopiero początek. Potem przyszedł zabór połowy terytorium II RP. Deportacja 350 tys. obywateli Polski do Związku Sowieckiego. Zbrodnia katyńska, w ramach której NKWD zgładziło 22 tys. przedstawicieli polskich elit.

Mordy więzienne popełnione latem 1941 r. Pacyfikacja Armii Krajowej w trakcie akcji „Burza", obława augustowska i kolejna okupacja Polski, która miała potrwać do 1991 r. Większości terenów, które Armia Czerwona zajęła w 1939 r., Polska nie odzyskała już nigdy. Od organizmu państwowego bezpowrotnie odrąbane zostały Wilno i Lwów.

Mijają właśnie 83 lata od 17 września 1939 r. Jednego z najczarniejszych dni w dziejach Europy Środkowo-Wschodniej. Dnia, w którym na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow dokonał się rozbiór Polski. Ten numer „Historii Do Rzeczy" dedykujemy ofiarom sowieckiej napaści. Ofiarom Stalina. ©℗

eprasa.pl 374c0e181c



/ TEMAT NUMERU

.6 IAN ONA JOHNSON
Szatański układ totalitarnych bliźniaków

.10 MACIEJ ROSALAK
Sowieckim nożem w polskie plecy

.16 TOMASZ STAŃCZYK
Mordy na Kresach

.20 GROTESKA SERGIUSZA PIASECKIEGO
Dziwny świat lejtnanta Zubowa

.24 MACIEJ ROSALAK
Agresja bankruta

/ CZASY I LUDZIE

.28 ZOFIA CZEKALSKA
Powstańcze cuda „Sosenki”



.32 MIKOŁAJ IWANOW
Sowieccy dysydenci. Początki

.36 PIOTR KOSMALA
Dyktatura i Coca-Cola

.40 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Węgrzy a UPA

.44 SŁAWOMIR KOPER
Pasowana na rycerza pannę



.47 PIOTR SEMKA
Fiat 508 – czyli osesek polskiej motoryzacji

.50 LESZEK LUBICKI
Piastowski zamach stanu

.54 JAKUB OSTROMĘCKI
Banita Ned Kelly

.58 MAREK GAŁĘZOWSKI
O dwóch kawalerach Złotego Virtuti

eprasa.pl 374c0e181c



.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
„Trolley bus", czyli trolejbus

/ CO CZYTAĆ

.66 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Widma Władysława Terleckiego

/ FELIETONY

.74 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Paradoks Rockefellera

.75 PIOTR SEMKA
Galijski charme

/ KRESY

.76 TOMASZ STAŃCZYK
Od Krewa do Grunwaldu



/ KOMIKS



.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Odnalezieni po latach

REKLAMA



eprasa.pl 374c0e181c



Przyjacielska rozmowa Niemców i Rosjan w Brześciu nad Bugiem, 22 września 1939 r. FOT. WIKIPEDIA

Wywiad / Z Ianem Ona Johnsonem, autorem książki „Diabelski pakt”



rozmawia Piotr Włoczyk

Szatański układ totalitarnych bliźniaków

– Sowieci dokładnie wiedzieli, jak bardzo Niemcom zależy na tym układzie i ile są w stanie zaoferować, by go podpisać. Stalin mógł w ten sposób żądać jeszcze więcej sprzętu wojskowego i jeszcze więcej ziem – mówi amerykański historyk wojskowości

eprasa.pl 374c0e181c

PIOTR WŁOCZYK: Czy 11 sierpnia 1939 r. mógł zmienić cokolwiek w kontekście podpisanego niecałe dwa tygodnie później paktu Ribbentrop-Mołotow?

IAN ONA JOHNSON: Przybycie do ZSRS delegacji francusko-brytyjskiej nie mogło już niczego zmienić. Stalin przyjął tych dyplomatów tylko po to, by polepszyć swoją pozycję negocjacyjną i uzyskać od Niemiec większe ustępstwa.

Trzeba jednak przyznać, że sposób, w jaki oba mocarstwa zorganizowały wyjazd na negocjacje do Moskwy, musi budzić spore zdziwienie...

Kiedy 11 sierpnia 1939 r. brytyjsko-francuska delegacja pojawiła się w ZSRS, nikt nikomu nie ufał. Brytyjczycy i Francuzi wysłali swoich przedstawicieli najwolniejszym możliwym środkiem transportu – statkiem. W skład delegacji wchodzili urzędnicy średniego szczebla, którzy nie mieli pełnomocnictw do podpisania układu. Gdy Brytyjczycy i Francuzi dotarli w końcu do Moskwy, Stalin zobaczył 40-osobową grupę urzędników, którzy mieli do dyspozycji jednego tłumacza! To nie wyglądało poważnie. Wiemy, że tego samego dnia, po spotkaniu politbiura, Stalin powiedział wreszcie wprost, że chce dobić targu z Niemcami.

Zresztą Brytyjczycy i Francuzi rozumieli, że ich układ z ZSRS byłby niemile widziany przez Polskę i Rumunię. Sztabowcy z Londynu i Paryża uważali też, że bardzo osłabiona czystkami Armia Czerwona nie byłaby w stanie realnie pomóc w wojnie z Niemcami.

Oczywiście informacje, które napłynęły kilka dni później – o zbliżeniu między Hitlerem i Stalinem, zmieniły diametralnie sytuację.

Francuzi przerazili się, że oto uwaga III Rzeszy zostanie wkrótce skierowana na ich kraj, i w związku z tym starali się desperacko zyskać względy Kremla. To wtedy zaoferowano Stalinowi niemożliwy do spełnienia postulat przemarszu przez terytorium Polski i Rumunii w przypadku niemieckiej agresji. Ale Stalin podjął już wówczas decyzję i postawił na zbliżenie z Niemcami, które miało tragiczne konsekwencje dla Europy.

Kiedy tak naprawdę Stalin uznał, że należy dogadać się z Hitlerem?

Ostatecznie kierunek niemiecki został wybrany 11 sierpnia, jednak już w kwietniu i w maju 1939 r. Stalin wyraźnie dawał znać Niemcom, że jest gotów zawrzeć z nimi porozumienie. Takim posunięciem było choćby wyrzucenie ze stanowiska Żyda Maksyma Litwinowa, który pełnił funkcję komisarza spraw zagranicznych.



RYS. JACEK GRAMBURG


Wiaczesław Mołotow podpisuje pakt z Niemcami, 23 sierpnia 1939 r. FOT. ARCHIWUM

Nie ma żadnych wątpliwości, że usunięcie Litwinowa i powołanie w jego miejsce Wiaczesława Mołotowa było ukłonem w kierunku niemieckich antysemitów?

Niedługo przedtem jeden z sowieckich dyplomatów sondował Niemców, pytając, czy jeżeli sowiecką dyplomacją nie będzie kierował Żyd, to czy III Rzesza będzie bardziej skłonna zawrzeć z ZSRS pakt? W maju 1939 r. nie ma już żadnych wątpliwości, że Stalin był zdecydowany dogadać się z Niemcami, a nie z Brytyjczykami i Francuzami.

Brytyjskie gwarancje z marca 1939 r. dla Polski to przełomowy moment?

Tak. Podczas konferencji monachijskiej we wrześniu 1939 r. Neville Chamberlain robił wszystko, by uniknąć wojny. Poza Brytyjczykami obecni byli delegaci III Rzeszy, Włoch i Francji. Zabrakło Sowietów i Stalin bardzo wziął to do siebie. Po otrzymaniu interesujących go ziem Czechosłowacji Hitler zagwarantował, że nie zaatakuje reszty kraju. W marcu 1939 r. złamał swoje słowo. Chamberlain zrozumiał, że appeasement to droga donikąd i trzeba udzielić Polsce i Rumunii gwarancji. Z punktu widzenia Sowietów rodziło to wiele problemów. Po pierwsze, Polska nie mogła obronić się przed Niemcami – tak patrzyli na to Sowieci. Uważali, że Polacy zostaną przez Niemców pobici. Stalin wychodził więc z założenia, że

eprasa.pl 374c0e181c



Fragment plakatu wydanego jesienią 1939 r. na sowieckim znaczku pocztowym prawie 30 lat później FOT. DOMENA PUBLICZNA

swoimi gwarancjami dla Polski Wielka Brytania kieruje uwagę Hitlera na wschód, czyli w gruncie rzeczy przeciw Związkowi Sowieckiemu. W związku z tym w kwietniu 1939 r. Stalin zaczął nerwowo sondować w Berlinie, czy Niemcy są zainteresowane zbliżeniem z ZSRS.

A jeszcze niedawno w Berlinie zupełnie serio rozważano przecież sojusz z Polską przeciw Związkowi Sowieckiemu.

W niemieckim kierownictwie dochodziło do spięć na linii Ribbentrop-Göring. Ten pierwszy długo upierał się, że uda mu się przekonać Polaków do sojuszu, choć wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że Warszawa nie była zainteresowana ani sojuszem z Niemcami, ani z Sowietami. Göring z kolei stawiał bardziej na ZSRS, widząc w państwie komunistycznym dobry materiał na sojusznika. Na przełomie marca i kwietnia Hitler ostatecznie porzucił koncepcję Ribbentropa i postanowił spróbować dogadać się ze Stalinem.

Z punktu widzenia Stalina to nie był chyba zbyt ciężki wybór? Hitler oferował mu przecież dużo więcej niż Francja i Wielka Brytania.

Brytyjczycy i Francuzi nie byliby tak chętni jak Hitler do oddania Stalinowi ogromnych połaci Europy, a ponadto oba te państwa nie miały zachęcającej oferty, jeżeli chodzi o transfer uzbrojenia. Tak naprawdę Wielka Brytania i Francja miały do zaoferowania ZSRS sojusz, w którym to Stalin musiałby wziąć na siebie największy ciężar walki z Niemcami. Sowieci rozumieli, że układ z tymi dwoma mocarstwami oznaczałby prędzej czy później wojnę z III Rzeszą.

Hitler mówił wprawdzie bardzo niepokojące rzeczy na temat komunistów, ale nazistowskie Niemcy były skłonne przerysować mapę Europy, oddając w ręce Sowietów dużo ziemi, a ponadto były gotowe przekazywać doskonały sprzęt wojskowy i – co trudno było przecenić – jeżeli Niemcy i Sowieci staliby się partnerami, uwaga Hitlera zostałaby skierowana na zachód Europy, co pozwalałoby Kremlowi zachować neutralną postawę do momentu, w którym Stalin uznałby, że czas wejść do gry. Co ciekawe, Stalin, jak to pokazują archiwa, wierzył, że gdyby Niemcom szło na Zachodzie zbyt dobrze, to byłby w stanie wpłynąć na przebieg wojny, przykręcając kurek z ropą naftową…

Brzmi dziwnie znajomo…

No właśnie. Stalin wyobrażał sobie, że Europa wykrwawi się, na Zachodzie dojdzie do rewolucji, a następnie Armia Czerwona bez problemu rozniesie komunizm po całej Europie.

Co ciekawe, niewiele brakowało, by Ribbentrop nie dotarł do Moskwy na rozmowy ze Stalinem…

Sowiecka obrona przeciwlotnicza niemal zestrzeliła jego samolot! Oto „urok" krajów totalitarnych, gdzie z powodu wszechobecnej tajemnicy państwowej lewa ręka nie wie, co prawa robi.

Na początku negocjacji Stalinowi bardziej zależało na układzie, ale na koniec to Hitler przebierał nogami, by przypieczętować umowę, planując kilka dni później uderzenie na Polskę.

W sierpniu 1939 r., gdy jego machina wojenna była już rozgrzana i gotowa do uderzenia, do pełni szczęścia brakowało mu tylko dobicia targu ze Stalinem. Sowiecki dyktator wiedział o tym i wykorzystał to maksymalnie. Teraz już wiemy, że jego wywiad zaglądał do niemieckich depesz dyplomatycznych i dzięki temu Sowieci dokładnie wiedzieli, jak bardzo Niemcom zależy na tym układzie i ile są w stanie zaoferować, by go podpisać. I Stalin mógł żądać jeszcze więcej sprzętu wojskowego i jeszcze więcej ziem. I Związek Sowiecki dostał m.in. wszystkie trzy państwa bałtyckie.



Plakat sowiecki z jesieni 1939 r. FOT. WIKIMEDIA

Jak informacje o pakcie Hitler-Stalin zostały przyjęte na świecie? Zagorzali komuniści i naziści nie byli chyba zbyt zachwyceni…

Światowa opinia publiczna była bardzo zaskoczona tym zbliżeniem. Wydawało się bowiem, że III Rzesza i ZSRS to naturalni wrogowie. Ja jednak uważam, że w wielu aspektach oba te kraje były do siebie podobne. Zresztą nie przypadkiem Sowieci mówili swego czasu o nazizmie jako o „narodowym bolszewizmie". Na Zachodzie część najbardziej zagorzałych komunistów była wściekła. Tworzono fronty ludowe, by zatrzymać „pochód faszyzmu", a tu nagle doszło do zmiany polityki o 180 stopni… Stalinowi bardzo trudno było wytłumaczyć swoim ludziom na Zachodzie, dlaczego Związek Sowiecki wchodzi w partnerski układ z III Rzeszą zamiast zwalczać nazistów.

Połowa pańskiej książki o tym „diabelskim pakcie" to opowieść o stosunkach niemiecko-sowieckich do 1933 r. Dlaczego?

Na temat samego paktu Ribbentrop-Mołotow napisano wiele dobrych ksi ążek. Ja jednak uznałem, że należy dokładnie opowiedzieć historię współpracy niemiecko-sowieckiej, która zaczęła się dwie dekady przed podpisaniem tego niesławnego układu. Bo przecież to, że Stalin i Hitler się dogadali, nie było niczym nowym w historii obu państw. W rzeczywistości praktycznie cała dekada lat 20. i spory kawałek kolejnego dziesięciolecia to okres bardzo bliskiej współpracy niemiecko-sowieckiej, która była bardzo owocna dla obu stron.

Zaczynam swoją opowieść wraz z końcem pierwszej wojny światowej, gdy Niemcy i Rosja bolszewicka dogadują się, by wspólnie podminowywać bezpieczeństwo w Europie. Niemcy przenieśli swoje laboratoria, biura konstrukcyjne i fabryki do ZSRS, dzięki czemu mogli w tajemnicy uzbrajać swoją armię. W zamian za to pomagali Sowietom w uzyskaniu najnowszych technologii wojskowych. Niemcy nie byliby w stanie rozpętać wojny światowej tak szybko, gdyby nie wieloletnia współpraca z Sowietami.

eprasa.pl 374c0e181c

Nawet po dojściu do władzy Hitlera Niemcy ani na moment nie wypadły poza podium, jeżeli chodzi o największych partnerów handlowych Sowietów. Niemcy chcieli ropy naftowej i innych surowców, a ZSRS chciał sprzętu wojskowego – Niemcy wysyłali im m.in. doskonałej jakości artylerię, części do samolotów, sprzęt optyczny etc. Sowieci dostali nawet od Niemców cały krążownik!

W latach 20. na terenie ZSRS powstały niemieckie bazy, gdzie pracowano nad czołgami, samolotami, a także bronią chemiczną.

Po traktacie wersalskim niemiecka armia miała zostać zredukowana do minimum i pozbawiona ciężkiego sprzętu. A Sowietom zależało na szkoleniu oficerów i inżynierów. Armia Czerwona była w kiepskim stanie po wojnie domowej i konflikcie z Polską. W 1924 r. Niemcy wysłali swoich najlepszych pilotów, by szkolili sowieckich lotników. To samo było z inżynierami. W 1925 r. Moskwa uznała, że jest to na tyle cenna pomoc, iż Niemcy powinni mieć możliwość tworzenia własnych baz na terenie ZSRS. Niemcy robili tam wszystko to, czego nie mogli robić na terenie własnego państwa. Zaczęło się od szkolenia, ale potem doszły do tego badania i produkcja broni. Gdy Hitler przejął władzę, Niemcy mieli już opracowane prototypy nowych broni – przede wszystkim pojazdów opancerzonych i samolotów – które tylko czekały na masową produkcję. To dlatego III Rzesza była w stanie tak szybko się uzbroić.

Co 1933 rok zmienił w relacjach niemiecko-sowieckich?

Początkowo Hitler nie zerwał współpracy i odbył się jeszcze jeden cykl szkoleniowy. Ale niemiecki dyktator dosyć szybko doszedł do wniosku, że Brytyjczycy i Francuzi nie będą wystarczająco zdeterminowani, by powstrzymać go przed intensywnym zbrojeniem się.

Stwierdził, że może przenieść badania i produkcję z powrotem do kraju. Siłą rzeczy podupadła też współpraca gospodarcza, ponieważ tempo zbrojeń wykluczało przekazywanie ZSRS dużych ilości sprzętu.

III Rzesza potrzebowała jednak ogromnych ilości surowców. Jak sobie z tym poradzono?

To był duży problem dla Hitlera. Wciąż zależało mu na dostępie do surowców, ale z drugiej strony nie chciał wysyłać



IAN ONA JOHNSON
„DIABELSKI PAKT"
REBIS

Stalinowi tego, na czym sowieckiemu dyktatorowi zależało najbardziej. W latach 1933–1938 doszło do podpisania wielu umów handlowych między Niemcami a Związkiem Sowieckim, ale z powodu niechęci nazistowskich władz do przekazywania cennego sprzętu i know-how wymiana ta nie była nawet zbliżona do stosunków handlowych z lat poprzednich. Niekończący się niemiecki apetyt na surowce był jednym z głównych czynników stojących za podpisaniem paktu Ribbentrop-Mołotow.

Niemal od razu po jego podpisaniu Amerykanie, a za nimi Brytyjczycy i Francuzi, dowiedzieli się o tajnym protokole do układu, który dzielił Europę na strefy wpływów. Według części badaczy to głównie dlatego 12 września 1939 r. Francuzi i Brytyjczycy podjęli decyzję, by nie udzielić Polsce realnej pomocy wojskowej. Dlaczego jednak Sowieci tak długo zwlekali z inwazją na Polskę? Niemcy musieli przecież kilkakrotnie dopominać się o wkroczenie Armii Czerwonej.

Sowieci planowali wstrzymać się z jakąkolwiek akcją militarną do momentu, aż Warszawa upadnie i polski rząd ucieknie z kraju. Kreml uważał, że zajęcie stolicy przez Niemców pozwoli im na dokonanie inwazji w sposób bezkarny, tzn. Brytyjczycy i Francuzi nie wypowiedzą ZSRS w takim przypadku wojny. Problem w tym, że Stalin uważał, iż podbicie Polski zajmie Niemcom ok. trzech miesięcy. Sowieci nie docenili niemieckiego blitzkriegu. Tempo niemieckiego natarcia bardzo zaskoczyło Sowietów, którzy musieli błyskawicznie zmontować siły inwazyjne. Efekt był taki, że armie, które wkroczyły do Polski, były fatalnie przygotowane, brakowało im podstawowego wyposażenia. Czerwonoarmiejcy mieli szczęście, że Polacy generalnie nie walczyli z nimi. Podczas słynnej parady z Wehrmachtem Sowieci przeżyli upokorzenie, gdy ich czołgi stawały na poboczu, ponieważ nie były w stanie przejechać o własnych siłach nawet tak krótkiego dystansu. Armia Czerwona nie była wówczas przygotowana na kolejną wojnę światową.

Jak Stalin patrzył na sukcesy Hitlera w Polsce i we Francji? Chyba nie tak wyobrażał sobie rozwój wypadków po podpisaniu paktu z Niemcami?

Mimo że byli partnerami, Stalin nie był zachwycony skutecznością blitzkriegu. W jego planach Niemcy mieli przecież walczyć w długiej, krwawej wojnie z mocarstwami zachodnimi. To miała być powtórka z pierwszej wojny światowej. Stalin sam mówił zresztą, że w przypadku wybuchu wojny w Europie ZSRS powinien wejść do niej jako ostatni kraj. Bardzo szybki upadek Francji mocno zaniepokoił Stalina, ale jednak uważał on, że dopóki Wielka Brytania walczy, dopóty Hitler będzie skupiał swoją uwagę na Zachodzie. Zakładał po prostu, że Niemcy nie popełnią błędu z poprzedniej wojny i nie będą walczyły na dwóch frontach. Nawiasem mówiąc, Hitler sam to podkreślał przed wojną, Stalin o tym wiedział i w związku z tym nie mieściło mu się w głowie, że III Rzesza może rzucić się na ZSRS bez zamknięcia frontu zachodniego.

Dziś w Rosji pakt Ribbentrop-Mołotow przedstawiany jest jako czysto obronny ruch ze strony Stalina, który chciał w ten sposób odsunąć swoje granice o kilkaset kilometrów, zyskując dzięki temu „bufor" przed spodziewanym uderzeniem Hitlera...

Do 1989 r. Sowieci zaprzeczali, by istniał jakikolwiek tajny protokół do tego paktu. W latach 90. i na początku XXI w. klimat w Rosji zmienił się diametralnie: w końcu można było mówić prawdę i niektórzy rosyjscy historycy przedstawiali ten pakt w swoich pracach dokładnie tak, jak wyglądał on w rzeczywistości. Gdy jednak Putin przejął władzę, atmosfera zmieniła się na nowo. W 2014 r. pojawiło się prawo, które karze więzieniem za krytykę ZSRS i jego dyplomacji w czasie drugiej wojny światowej. I znowu te kluczowe 22 miesiące na początku drugiej wojny światowej zostały kompletnie sfałszowane, by wybielić Stalina i ukryć jego konszachty z Hitlerem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Ian Ona Johnson jest amerykańskim historykiem wojskowości, wykładowcą Uniwersytetu Notre Dame. W Polsce ukazała się właśnie jego najnowsza książka pt. „Diabelski pakt. Współpraca niemiecko-radziecka i przyczyny wybuchu II wojny światowej".

eprasa.pl 374c0e181c



Armia Czerwona maszeruje przez ziemie Rzeczypospolitej FOT. WIKIPEDIA

17 września / Amia Czerwona uderza na Polskę

Sowieckim nożem w polskie plecy



Maciej Rosalak

Poza wykorzystaniem kolosalnej przewagi zbrojnej czerwonoarmiści stosowali terror, podstęp, krzywoprzysięstwo i bandycki mord

Wbrew sowieckim kłamstwom polski rząd i Naczelny Wódz byli wówczas na terytorium Rzeczypospolitej, a nasza armia prowadziła śmiertelne boje z Niemcami. Broniły się Hel, Oksywie, Lwów, Warszawa i Modlin, trwała jeszcze bitwa nad Bzurą, zwarte jednostki zbierały się z prawej strony Wisły do rozprawy pod Tomaszowem i ściągały na tzw. przyczółek rumuński. Niewola milionów ludzi, śmierć, więzienia i wypędzenia, krew i łzy – oto dalsze skutki uderzenia obu imperiów zła. Jedno z nich napadło Polskę 1 września, a drugie wbiło jej 17 września 1939 r. nóż w plecy.

Po podpisaniu 23 sierpnia tajnego protokołu do układu Ribbentrop-Mołotow i inwazji III Rzeszy na Polskę 1 września Rada Najwyższa ZSRS natychmiast uchwaliła ustawę o powszechnym obowiązku wojskowym. Dwa dni później ludowy komisarz obrony Kliment Woroszyłow w stan gotowości bojowej postawił wojska sześciu okręgów wojskowych: leningradzkiego, kalinińskiego, białoruskiego, kijowskiego, moskiewskiego i charkowskiego, a w ciągu następnej dekady okręgi kijowski i białoruski przekształcono we fronty.

Oddziały zajęły pozycje wyjściowe wzdłuż granicy z Polską. Datę ataku – 17 września – Stalin ustalił po otrzymaniu poufnych wiadomości o rezygnacji Francji i Wielkiej Brytanii z aktywnych działań zbrojnych na froncie zachodnim podczas konferencji w Abbeville 12 września oraz bezzwłocznie po wejściu w życie 16 września podpisanego dzień wcześniej ostatecznego układu rozejmowego pomiędzy ZSRS a Japonią.

Rosyjski atak

O świcie 17 września Armia Czerwona przekroczyła na całej długości ponad tysiąckilometrową granicę z II Rzecząpospolitą.

Wojska pierwszego rzutu uformowane były w dwa wspomniane wyżej fronty po cztery armie w każdym. Łącznie obejmowały 21 dywizji piechoty, 13 dywizji kawalerii, 16 brygad pancernych i 2 brygady zmotoryzowane. Miały w sumie 618 tys. żołnierzy, 4733 czołgów i 3298 samolotów – czyli prawie dwa razy więcej czołgów od Wehrmachtu i dwa razy więcej niż samolotów bojowych wysłanych przez Luftwaffe nad Polskę 1 września 1939 r.

Na Kresach w ogóle nie było wielkich związków operacyjnych Wojska Polskiego (armie i korpusy), tylko załogi stanic granicznych, twierdz i większych miast – jak Wilno, Grodno, Brześć czy Lwów – oraz oddziały rezerwowe i zaplecza bez ciężkiej artylerii oraz lotnictwa bojo-

eprasa.pl 374c0e181c

wego. Naczelny Wódz marsz. Edward Śmigły-Rydz – głównie chyba ze względu na zaniepokojoną sojuszniczą Rumunię – wydał wtedy decyzję o niepodejmowaniu walki z Rosjanami, poza konieczną obroną własną, oraz zarządził wycofanie oddziałów WP najkrótszymi drogami w kierunku Rumunii i Węgier.

Rozkaz ten do wielu oddziałów nie dotarł, a jeśli dotarł, to nie wszyscy dowódcy zamierzali go wykonać. Historia przyznała im rację. Ci, którzy zawierzyli swą wolność Sowietom, kończyli w łagrach (żołnierze) i dołach śmierci Katynia, Tweru i Charkowa (oficerowie). To właśnie spotkało obrońców Lwowa, którzy ok. 10 dni dzielnie bronili miasta przed Niemcami, ale 22 września gen. Władysław Langner poddał je Sowietom.

Zacięty opór zbrojny stawiły jednak najeźdźcom ze wschodu oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza, Brygada Rezerwowa Kawalerii „Wołkowysk", Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie" czy heroiczni obrońcy Grodna (patrz: dalej). Walczyli też 18–19 września obrońcy Wilna, marynarze Flotylli Pińskiej czy ułani Grupy Operacyjnej Kawalerii, którą gen. Władysław Anders wiódł od Warszawy na południowy wschód. Z końcem września został parokrotnie ciężko ranny, kiedy na ziemi lwowskiej przedzierał się w walkach z oddziałami niemieckimi, sowieckimi i rebeliantami ukraińskimi. Do niewoli dostał się w ręce Sowietów i usłyszał od nich („Bez ostatniego rozdziału"): „My i Niemcy jesteśmy obecnie prawdziwymi przyjaciółmi i razem pójdziemy przeciwko kapitalizmowi światowemu. Polska wysługiwała się Anglii i dlatego musiała zginąć. Polski już nigdy nie będzie".

Dowódca Okręgu Korpusu nr IX Brześć gen. Franciszek Kleeberg zaczął 9 września tworzyć z oddziałów zapasowych – głównie 20. i 30. Dywizji Piechoty – nowy związek operacyjny dla obrony Polesia przed posuwającymi się z północy Niemcami i dla osłony koncentracji WP na południu. Zajmował stanowiska wzdłuż Muchawca i Prypeci z Pińskiem na wschodzie i Brześciem na zachodzie (Polacy opuścili twierdzę brzeską już po trzydniowych walkach nocą z 16 na 17 września). Atak sowiecki z 17 września uczynił trwanie na stanowiskach poleskich bezużytecznym. Generał ruszył początkowo ku Rumunii, a następnie na zachód – z odsieczą Warszawie. Po drodze dołączały doń inne zgrupowania i pojedynczy żołnierze z rozbitych jednostek.

28 września, po przeprawie przez Bug, wojsko Kleeberga zostało zreorganizowane pod nazwą Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie", a składało się z 50. Dywizji Piechoty „Brzoza", 60. DP „Kobryń", Dywizji Kawalerii „Zaza" (od pseudonimu dowódcy – gen. Zygmunta Podhorskiego), Podlaskiej Brygady Kawalerii i 13. Eskadry Obserwacyjnej. Oddziały stykały się podczas marszu z wrogą dywersją, a 29–30 września musiały pokonywać opór jednostek Armii Czerwonej pod bialskopodlaskim Parczewem w wioskach Jabłoń i Milanów. Z początkiem października SGO „Polesie" stoczy z Niemcami chwalebną, ostatnią bitwę kampanii wrześniowej – pod Kockiem.



Niemieccy i sowieccy dowódcy ustalają współdziałanie przeciw Polsce FOT. BUNDESARCHIV BILD

Z początkiem września 1939 r. Flotyllę Pińską stanowiło sześć monitorów, trzy kanonierki, cztery statki uzbrojone, 17 uzbrojonych kutrów, dwa kutry meldunkowe, siedem trałowców rzecznych i jednostki pomocnicze. Wszystkie jednostki pływające gen. Kleeberg kazał zatopić, aby nie stały się łupem wroga. Do 14 września sformowano za to dwa dzielne bataliony morskie (dowódcy: kmdr ppopr. Alojzy Pawłowski i kpt. mar. Marian Foltyn). Marynarze otrzymali polowe mundury wojsk lądowych. Brali udział w walkach SGO „Polesie" oraz operacyjnej Grupy KOP gen. bryg. Wilhelma Orlika-Rückemanna, gdzie utworzyli zbiorczy batalion morski pod dowództwem kmdr. por. Henryka Biela, kpt. mar. Edmunda Jodkowskiego i kpt. art. Bogusława Rutyńskiego.

Walki KOP

Dowódcą KOP od sierpnia 1939 r. był gen. bryg. Wilhelm Orlik-Rückemann, odważny i profesjonalny oficer z piękną legionową kartą. Formacja ta jako pierwsza starła się z oddziałami Armii Czerwonej. Po przekazaniu gros sił na potrzeby walki z Niemcami dowódca KOP dysponował na wschodzie jedną brygadą „Polesie", siedmioma pułkami: „Głębokie", „Wilejka", „Wilno", „Baranowicze", „Sarny", „Zdołbunów" i „Czortków" oraz półbrygadą Obrony Narodowej „Dzisna". Skład formacji stanowili przeważnie rezerwiści, a ich siłę bojową osłabiał niedobór broni ciężkiej oraz zapasów mobilizacyjnych, które przekazano na granicę zachodnią. Zamiast planowanych 35 batalionów piechoty KOP udało się odtworzyć 25, a z 19 szwadronów kawalerii odtworzono zaledwie siedem. Szacuje się, że na granicy polsko-sowieckiej KOP liczył ok. 12 tys. żołnierzy zamiast planowanych 17 tys.

17 września pierwszy impet sowieckiego uderzenia przyjęły na siebie strażnice KOP. Większość została zaskoczona przez Rosjan, a nierówne walki, choć

eprasa.pl 374c0e181c

zacięte, były krótkotrwałe. Odnotowane straty polskie w stosunku trzech zabitych na jednego rannego (z reguły na wojnie proporcja jest odwrotna) wiele mówiły o zwycięskich Rosjanach. Niemal na pewno można przyjąć, że mordowali oni jeńców i rannych.

Natychmiast po ataku dowódca KOP wydał 17 września rozkaz koncentracji batalionów pod osłoną fortyfikacji pułku KOP „Sarny". 21 września zebrało się ok. 8,7 tys. żołnierzy, w tym blisko 300 oficerów, i powstało improwizowane Zgrupowanie KOP. Po reorganizacjach 23 i 25 września wojsko maszerowało dwiema kolumnami na Włodawę, aby – wedle porozumienia z gen. Franciszkiem Kleebergiem – dołączyć do SGO „Polesie". Północną kolumnę tworzyła Brygada KOP „Polesie" (ponad 1,6 tys. ludzi pod dowództwem płk. Tadeusza Różyckiego-Kołodziejczyka), a południową – Pułk KOP „Sarny" (prawie 3,7 tys. ludzi dowodzonych przez ppłk. Nikodema Sulika) oraz zgrupowanie artyleryjskie ppłk. Czernego, którego trzonem był batalion forteczny KOP „Małyńsk". Dołączyły też batalion sztabowy, złożony z dwóch kompanii policyjnych i kompanii zbiorczej, oraz odwód zgrupowania: dywizjon artylerii i szwadron KOP „Bystrzyce". Po drodze kolumny atakowało sowieckie lotnictwo, zwiady pancerne wroga i bandy dywersyjne.

Wojska SGO „Polesie" znajdowały się wtedy w rejonie Włodawy. Dążący do nich, gen. Orlik-Rückemann zdecydował iść przez Szack. Tymczasem po południu 27 września odległy o kilka kilometrów Szack zdobyły oddziały sowieckiej 52. Dywizji Strzeleckiej płk. Iwana Russijanowa. Siły przeciwnika liczyły ok. 13 tys. żołnierzy trzech pułków strzeleckich, pułku artylerii, 411. batalionu czołgów, batalionów saperów oraz rozpoznawczego. Całe Zgrupowanie KOP gen. Rückemanna liczyło już tylko ok. 4 tys. ludzi pod bronią; reszta to polegli, ranni, zaginieni, wzięci do niewoli, a także dezerterzy pochodzący z terenów wschodnich.

Nocą z 27 na 28 września Zgrupowanie KOP zajęło pozycje wyjściowe do natarcia. Jednym skrzydłem dowodził ppłk Nikodem Sulik, a drugim płk Tadeusz Różycki-Kołodziejczyk. Rankiem 28 września ukryte w lasach na wschód i południowy wschód polskie oddziały zaskoczyły napastnika (w tym 411. batalion czołgów) i odrzuciły jego siły na północ. Rosjanie stracili osiem czołgów oraz tabor z zaopatrzeniem, który umożliwił Polakom uzupełnienie kończących się zapasów.

Po udanej akcji grupa KOP uderzyła na Szack i do południa go zdobyła.

Plan gen. Rückemanna, aby powstrzymać sowiecki kontratak w rejonie Szacka, nie powiódł się na skutek błędu dowódcy Brygady „Polesie", który do akcji skierował jedną kompanię zamiast – zgodnie z rozkazem – dwóch batalionów. W efekcie Pułk KOP „Sarny" stracił Szack, a ostatni żołnierze ppłk. Sulika nocą z 28 na 29 września musieli przeprawić się za Bug. Rankiem zaczęły dołączać do nich ostrzeliwane przez dywersantów pododdziały Brygady „Polesie". Części żołnierzy nie udało się jednak przeprawić przez rzekę i wzięli ją do niewoli Sowieci. W walkach o Szack straciliśmy ok. 500 zabitych, rannych i wziętych do niewoli.

30 września przerzedzoną Brygadę KOP „Polesie" przeformowano w Batalion „Polesie", a dowództwo nad nim objął ppłk Jan Dyszkiewicz. Pułk KOP „Sarny" składał się z trzech słabych liczebnie batalionów. Brakowało amunicji i żywności, a żołnierze byli przybici stratami i przemęczeni kilkusetkilometrowym marszem.

Wczesnym rankiem 1 października grupa osiągnęła Wytyczno znajdujące się w pobliżu szlaku komunikacyjnego Lublin – Włodawa. Wówczas na drodze tej znajdowały się już liczne wojska sowieckie, które o świcie rozpoczęły natarcie na polską kolumnę. Ciężar walk ponosił głównie pułk „Sarny". Kiedy dowódca KOP i oficerowie próbowali poderwać żołnierzy do ataku, tylko część z nich ruszyła za swoimi dowódcami. Poszczególne grupki na własną rękę zaczęły się poddawać.



Dowódca SGO „Polesie" gen. Franciszek Kleeberg FOT. WIKIPEDIA

Generał Rückemann wiedział, że dalsza walka jest już niemożliwa. W tych dramatycznych okolicznościach rozwiązał zgrupowanie, a z oficerami ustalił rychłe powołanie podziemnej organizacji Tajny KOP.

Zagrożony aresztowaniem generał przedostał się przez państwa bałtyckie na Zachód, ale gen. Sikorski nie chciał go – jako „piłsudczyka" – wykorzystać w Wojsku Polskim... Natomiast części żołnierzy KOP udało się trafić do gen. Kleeberga i wziąć udział w ostatniej bitwie Września '39 – pod Kockiem z Niemcami.

Obrona Grodna

Czołgi z sowieckiego 16. Korpusu Strzelców zostały 19 września zatrzymane pod Grodnem przez oddziały kawalerii polskiej (patrz: następny rozdział) uśmierzającej probolszewicki bunt w Skidlu. W tej sytuacji zdobyć Grodno kazano 15. Korpusowi Pancernemu i spod Wołkowyska natychmiast ruszyła z tym zadaniem 27. Brygada Pancerna. Rankiem 20 września czołgi batalionu rozpoznawczego mjr. Bogdanowa zostały na południowych rogatkach miasta powitane ogniem działek przeciwlotniczych, ckm-ów i butelek zapalających. Brak osłony piechoty umożliwił jakby polowanie na pojedyncze czołgi. Ocalałe Bogdanow wycofał o godz. 10.

Kiedy po południu 20 września kawaleria – zgodnie z rozkazem kierującym ją na Litwę – odeszła z Grodna, do obrony pozostali żołnierze dwóch batalionów piechoty z bronią strzelecką, jednostek marszowej i wartowniczej, improwizowanego oddziału o sile kompanii, lotniczego rzutu kołowego oraz dwóch armat przeciwlotniczych „Bofors" kal. 40 mm. Do obrony stawili się oficerowie i żołnierze rezerwy, żandarmi i policjanci, a wśród cywilnych ochotników harcerze – uczniowie szkół gimnazjalnych i zawodowych. Łącznie pod bronią znalazło się ogółem blisko 2,5 tys. ludzi. Na czele obrony pozostali: wiceprezydent miasta Roman Sawicki oraz komendant Rejo-

WWW.DORZECZY.PL

eprasa.pl 374c0e181c



Dowódcą KOP w 1939 r. został Wilhelm Orlik-Rückemann FOT. NAC

nowej Komendy Uzupełnień mjr Benedykt Serafin.

Po południu 20 września na przedmieściach Grodna znajdowały się już trzy bataliony czołgów, batalion rozpoznawczy oraz kompania żołnierzy stanowiących osłonę 65 czołgów i samochodów pancernych. W centrum i na południu miasta walczyło ok. 60 czołgów. Kolejne tanki próbowały wedrzeć się do centrum, aby wesprzeć siły, które się już tam znajdowały, a obrońcy wykorzystywali stanowiska ogniowe na strychach i w piwnicach oraz wąskie uliczki, próbując je niszczyć. Młodzież dawała przykłady najwyższej odwagi – jak wcześniej Lwowskie Orlęta (1918/1919) i harcerze Płocka (1920).

Jeden z obrońców wspominał: „Koło szkoły Stefana Batorego stało parę czołgów sowieckich. Milicjanci, przeważnie młodzież żydowska z karabinami i czerwonymi opaskami na ramionach, byli zajęci rozmową z rosyjskimi żołnierzami. Ukryci za drzewami czekaliśmy. Ktoś nas zauważył. Milicjanci zaczęli strzelać w naszą stronę. Los grupki młodych obrońców byłby przesądzony, gdyby nie poświęcenie dwóch z nich. Kapral Woźniak i uczeń Chaim Margolis wzięli w dłonie granaty i zamaskowali je białymi chustkami. A potem podnieśli ręce, sugerując, że chcą się poddać, i ruszyli w stronę Sowietów. Gdy byli już blisko, niespodziewanie rzucili granaty…" (S. Koper, T. Stańczyk „Ostatnie lata polskich Kresów").

Wieczorem i nocą walki nadal trwały, obie strony spróbowały desantów przez Niemen. Pomimo ciężkich strat Polacy byli górą i utrzymali swoje pozycje, zdobywając przy tym kilka ckm-ów. 21 września rozpoczął się szturm poprzedzony przygotowaniem artyleryjskim. Polacy umiejętnie wykorzystywali luki, które powstawały pomiędzy nacierającymi oddziałami, przenikając na ich tyły, atakując i wprowadzając chaos i zamieszanie wśród czerwonoarmistów. Trzy bataliony ich strzelców byłyby całkowicie zniszczone, gdyby nie wsparcie grupy zmechanizowanej z 16. KS, która zmusiła obrońców do wycofania się na skraj miasta. Włączyły się również czołgi z dwóch pułków dowodzonych przez komdiwa Andrieja Jeromienkę. Ale zacięta obrona zatrzymała aż do wieczora przeważające siły i udaremniła próby sforsowania mostu drogowego. Nocą z 21 na 22 września resztki obrońców wycofały się z miasta wraz z dowódcami. Grodno nie skapitulowało. Straty Sowietów wyniosły: 53 poległych, 161 rannych, pięć czołgów i samochód pancerny spalone, uszkodzonych 14 czołgów i dwa samochody pancerne. Okazany opór i straty wywołały furię Rosjan, którzy dokonywali okrutnych masowych mordów (patrz: str. 16).

Ułani „Wołkowyska"

Po 17 września oddziały naszej jazdy operujące na kresach północno-wschodnich otrzymały rozkaz odejścia na Litwę. Dotyczyło to m.in. pułków Brygady Rezerwowej Kawalerii „Wołkowysk", dopiero co zaimprowizowanej z oddziałów zapasowych Suwalskiej oraz Podlaskiej Brygady Kawalerii oraz 14. dywizjonu artylerii konnej. Poszczególnymi pułkami dowodzili: 101 – mjr Stanisław Żukowski, 102 – mjr Jerzy Florkowski, 103 – ppłk st. spocz. Zdzisław Kwiatkowski (z braku koni pułk walczył pieszo), 110 – ppłk st. spocz. Jerzy Dąbrowski. Odejście na Litwę utrudniały działania dywersantów oraz coraz liczniejszych oddziałów czerwonoarmijnych. 19 września 101. Pułk Ułanów zniszczył w bitwie 12 czołgów wroga.

I tak bolszewicy, którzy na przełomie drugiej i trzeciej dekady września próbowali zająć nieprzygotowane do obrony Grodno, natknęli się na bitnych polskich ułanów, którzy na rozkaz gen. Wacława Przeździeckiego powstrzymali ich pancerne podjazdy, dając nieco czasu na lepsze zorganizowanie obrony. Z kolei rtm. Ryszard Wiszowaty – ochotnik 1919 r. w Pułku Jazdy Tatarskiej – na czele pułku osłony (pięć szwadronów marszowych, dwóch pokiereszowanych w bitwach z Niemcami pułków) zniszczył w dniach 20–21 września kilka czołgów sowieckich w Skidlu i pod Sopoćkinami, uczestniczył też w bitwie pod Kodziowcami 21–22 września.

Szwadron ppor. Ryszarda Głuskiego ze 102. Pułku Ułanów przekroczył most na Niemnie i uderzył na czerwonoarmistów, odrzucając ich od rzeki. Ułani jeszcze kilkakrotnie kontratakowali wrogów, wspierając obrońców Grodna. Opuścili ich po południu i w drodze ku Litwie przekroczyli Niemen w Hożej, stając pod wieczór na skraju Puszczy Augustowskiej nad Czarną Hańczą.

Wobec zdecydowanej przewagi przeciwnika w bojach 23 września gen. Przeździecki przekroczył w dniu następnym granicę polsko-litewską z większością zgrupowania. Została tam internowana. Ale w głąb Puszczy Augustowskiej ruszyły 110. i część 102. Pułku Ułanów. Jeszcze dwa dni trwały walki, coraz bardziej krwawe i beznadziejne. Z decyzją o rozwiązaniu 110. pułku nie zgodził się zastępca jego dowódcy – mjr Henryk Dobrzański – i ok. 180 ułanów. Gdy dotarcie zarówno do Warszawy, jak i do gen. Kleeberga okazało się bezcelowe (kapitulacje), major ruszył w Góry Świętokrzyskie i na czele Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego został ostatnim żołnierzem Września i – jako „Hubal" – pierwszym partyzantem drugiej wojny światowej. Zginął w walce z Niemcami 30 kwietnia 1940 r. pod Anielinem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 374c0e181c

Wyboista droga sowieckich pancerniaków



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej Armia Czerwona mogła się wydawać najsilniejszą i najnowocześniejszą na świecie



Industrialna przebudowa rolniczego kraju pozwoliła Stalinowi wyposażyć wojsko w monstrualną ilość bojowego sprzętu. Między innymi w czołgi, które w sowieckiej koncepcji podboju miały odegrać wiodącą rolę. W połowie lat 30. było ich ponad 10 tys., a w 1939 r. trzy razy więcej (włącznie z kilkoma tysiącami samochodów pancernych). Szczególnie imponująco prezentowała się rodzina BT (bystrochodnyj tank) – szybkich pojazdów, które po zdjęciu gąsienic mogły gnać po twardej nawierzchni blisko 70 km/h i w których zastosowano układ jezdny opracowany przez amerykańskiego inżyniera Waltera Christiego. Dobre właściwości manewrowe szły w parze z niezłym uzbrojeniem ofensywnym w postaci armaty 45 mm (wersje BT-5 i BT-7; ten ostatni widoczny na zdjęciu).

Nawet najliczniejszy czołg Armii Czerwonej, oparty na angielskim Vickersie i przeznaczony dla wsparcia dywizji strzeleckich lekki T-26 miał niezaprzeczalny atut w postaci armaty kal. 45 mm. Cięższe wozy, seryjnie produkowane wielowieżowe T-28 i T-35, zaprojektowane do przełamywania umocnionych pozycji wroga, choć przestarzałe koncepcyjnie, były silnie opancerzone i uzbrojone (armaty kal. 76 mm) i nie miały odpowiedników w innych armiach. Opracowano także całą gamę pojazdów specjalistycznych. Różnorodność wozów bojowych dostosowanych do odmiennych zadań oraz na ogół dobre charakterystyki bojowe w połączeniu z awangardową doktryną opartą na szybkości działania dawały Sowietom teoretyczną przewagę nad każdym przeciwnikiem.

Tyle że teoria nie szła w parze z praktyką, a ilości nie zdołano przekuć w jakość. Zasadniczy problem stanowiła niska kultura techniczna poddanych Stalina, co przekładało się na nieustanne problemy z eksploatacją zaawansowanego, bądź co bądź, sprzętu. Nietrwałość podzespołów wynikająca z wad konstrukcyjnych, kiepskich surowców i pośpiechu związanego z wyśrubowanymi normami ilościowymi drastycznie obniżały wartość uzbrojenia. Do tego dochodziły tradycyjny bałagan, korupcja oraz powszechny strach zmuszający ludzi do ukrywania błędów i braków w procesie produkcji. Większość żołnierzy nie była w ogóle przeszkolona w użyciu sprzętu, na którym mieli walczyć. Cała sowiecka maszyneria militarna działała fatalnie, a objawiło się to już podczas walk z Japończykami w latach 1938–1939.

Bywało, że całe pododdziały posiadały niesprawne czołgi pomimo tego, iż zabezpieczono je wcześniej w stanie niemal fabrycznym dla zachowania resursów silników. Gdy wozy bojowe udało się skierować do akcji, załamaniu ulegała logistyka. Brak części zamiennych, a nade wszystko paliwa zamieniał je w stertę nieprzydatnego złomu. Problemem był także brak współdziałania różnych rodzajów broni, a samotnie atakujące czołgi ponosiły ogromne straty. Z takimi samymi problemami borykali się Sowieci w Polsce, zmuszeni m.in. do ściągania paliwa z niesprawnych pojazdów, aby uruchomić te nieliczne, będące „na chodzie". Katastrofa nadeszła latem 1941 r., kiedy kadrowa Armia Czerwona rozpadła się jak domek z kart. ©℗

eprasa.pl 374c0e181c

Hełm wz. 36



W końcowej fazie pierwszej wojny światowej armia rosyjska używała francuskich hełmów wz. 15 i nawiązujących do nich kształtem, ale odmiennych konstrukcyjnie i zdecydowanie nowocześniejszych, tzw. rosyjsko-fińskich, zaprojektowanych w Głównym Departamencie Artylerii w 1916 r. Pierwszym masowo stosowanym hełmem stalowym ZSRS był wz. 36. Czerwonoarmiści używali ich w trakcie walk z Japończykami nad jeziorem Chasan i rzeką Chałchin-Goł, a także podczas ataku na Polskę. Hełm miał charakterystyczny półsferyczny kształt i otwór wentylacyjny umieszczony w szczycie dzwonu, osłonięty niewielkim grzebieniem. Wyraźnie wywinięte boczne krawędzie miały zabezpieczać kawalerzystów przed cięciami szabli; był to ponoć pomysł marszałka Siemiona Budionnego, najsłynniejszego bolszewickiego „zagończyka". Wytwarzany w trzech rozmiarach hełm ważył 1,2–1,3 kg, a stalowa blacha miała grubość 1,1 mm. Czerep pokrywano kolorem ciemnozielonym lub khaki, a z przodu nanoszono czerwony kontur pięcioramiennej gwiazdy. Doświadczenia wojenne wykazały wady hełmu wz. 36, wobec czego od 1940 r. zaczęto go zastępować zdecydowanie nowocześniejszym wz. 40. ©℗

I-16



Samolot I-16 zadebiutował podczas konfliktu w Hiszpanii. Na początku drugiej wojny światowej stanowił trzon sowieckiego lotnictwa myśliwskiego. W chwili wejścia do służby w pierwszej połowie lat 30. był bez wątpienia konstrukcją doskonałą. Zaprojektowany w układzie dolnopłata, z chowanym podwoziem i wyposażony w licencyjny amerykański silnik gwiazdowy Wright Cyclone imponował osiągami. Krótki pękaty kadłub sprawiał, że popularny „Iszak" (gwarowo: osioł) był co prawda bardzo trudny w pilotażu i wymagał od pilota dobrego przygotowania, ale wadę tę rekompensował znakomitą zwrotnością. I-16 nieustannie doskonalono w biurze konstrukcyjnym Nikołaja Polikarpowa. W ciągu kilku lat powstało kilka podstawowych wariantów, które różniły się przede wszystkim jednostkami napędowymi oraz konfiguracją uzbrojenia. Chociaż pod koniec lat 30. przewaga I-16 nad nowymi konstrukcjami zachodnimi była już dyskusyjna (zwłaszcza w odniesieniu do prędkości), to wciąż pozostawał on pełnowartościową maszyną bojową. ©℗

AWS wz. 36



Wprowadzenie do uzbrojenia Armii Czerwonej połowy lat 30. indywidualnej broni automatycznej strzelającej standardową amunicją karabinową było bez wątpienia koncepcją słuszną i wydawało się zwieńczeniem ogólnoświatowych wieloletnich wysiłków zmierzających do zastąpienia karabinów powtarzalnych bronią szybkostrzelną. Automatyczny karabin Simonowa (awtomaticzeskaja wintowka Simonowa) przyjęto w 1936 r. Dla uruchomienia automatyki konstruktor wykorzystał zasadę odprowadzania gazów prochowych przez boczny otwór w lufie; zamek ryglowany był pionowym klinem, a na wylocie lufy osadzono wydatny osłabiacz odrzutu i podrzutu. Broń wyposażono w zawiasowy bagnet sieczny, a zasilano ją z wymiennego pudełkowego magazynka o pojemności 15 nabojów 7,62 x 54 mm (karabin na zdjęciu nie posiada bagnetu i magazynka). AWS wz. 36 zastąpić miał leciwego mosina, ale okazał się zbyt skomplikowany i podatny na zacięcia w niesprzyjających warunkach pogodowych (np. na mrozie).

Zdjęcia potwierdzają fakt ich użycia w Polsce we wrześniu 1939 r. Warto dodać, że w tym samym czasie Amerykanie wprowadzili do uzbrojenia słynnego Garanda (karabin samopowtarzalny M1), który, jak się okazało, także wymagał dopracowania. Broń Simonowa została zastąpiona samopowtarzalnymi i automatycznymi karabinami Tokariewa (wz. 38 i 40). One również okazały się zawodne w warunkach frontowych, wobec czego do końca drugiej wojny światowej zasadniczym uzbrojeniem strzeleckim Armii Czerwonej pozostał powtarzalny Mosin wz. 1891/30. ©℗

eprasa.pl 374c0e181c

17 września 1939 r. / Bronią palną, kosami, widłami, siekierami...

Sowieckie mordy na Kresach



Cmentarz pomordowanych i poległych polskich żołnierzy w Mielnikach

FOT. UNIBEP.PL



Tomasz Stańczyk

Armia Czerwona, NKWD i komunistyczne bojówki mordowały we wrześniu 1939 r. polskich oficerów i żołnierzy, policjantów, ziemian, urzędników

Zbrodnie popełnione na Polakach nie były na tyle częste, że można mówić o zaplanowanej przez Moskwę akcji – jak w przypadku zbrodni katyńskiej – jednak nie stanowiły odosobnionych incydentów, aktów samowoli, które zdarzają się na wojnie. Na mordowanie Polaków, szczególnie tych kojarzonych z „pańską Polską", były milczące przyzwolenie dowództwa Armii Czerwonej i zgoda na bezkarność sprawców zabójstw. Były też wyrażane wprost zachęty. Komandarm Siemion Timoszenko, dowódca Frontu Ukraińskiego, wzywał w ulotce: „Bronią, kosami, widłami, siekierami bij odwiecznych swoich wrogów – polskich panów".

Zachęty nie potrzebowali członkowie grup komunistycznych, złożonych z Białorusinów, Żydów i Ukraińców, wspieranych przez wszystkie lata II Rzeczypospolitej przez Rosję sowiecką. Wiedzieli, co mają robić w momencie wkroczenia Armii Czerwonej. Tworzyli „komitety rewolucyjne" i „sądy". Popełnione przez nich zbrodnie obciążają Rosję sowiecką, gdyż, jak mówił w wywiadzie dla „Historii do Rzeczy" prof. Krzysztof Jasiewicz, była to sterowana z Moskwy rewolta mniejszości narodowej. A bezpośrednio – przez specjalne grupy enkawudzistów.

Sowieccy sołdaci mścili się za opór, który stawiały im oddziały Wojska Polskiego, i zadawane najeźdźcom straty. Mordowali oficerów i podoficerów, choć nierzadkie były też przypadki zabijania szeregowych jeńców. Historycy Wojciech

eprasa.pl 374c0e181c

Materski i Czesław Grzelak zgodnie podają, że ofiarami sowieckich zbrodni we wrześniu 1939 r. padło ok. 1,5 tys. Polaków, żołnierzy i cywili.



Marynarze ORP „Generał Szeptycki" z Flotylli Pińskiej FOT. NAC

Zabijanie polskich jeńców

Generał Józef Olszyna-Wilczyński, dzielny obrońca Reduty Piłsudskiego podczas bitwy Legionów pod Kostiuchnówką w 1916 r., na wieść o sowieckiej agresji doznał wstrząsu. Uznał, że sytuacja jest beznadziejna, a wobec tego nie ma sensu podejmować walki z Armią Czerwoną. Wraz z żoną i swoim sztabem opuścił Grodno 18 września. Zatrzymano się w majątku Teolin koło Sopoćkiń. Żona Olszyny-Wilczyńskiego wspominała, że był przygnębiony. Choć miał powiedzieć, że nie pozostaje nic innego, jak zginąć w walce, to jednak postanowił przedostać się na Litwę, do której zmierzali też liczni polscy żołnierze.

22 września generał, jego żona i adiutant wsiedli do auta, które skierowało się ku granicy polsko-litewskiej. Samochód został zatrzymany w Górze Koliszówce przez żołnierzy sowieckiego 15. Korpusu Pancernego. Żonę generała zamknięto w stodole. Usłyszała strzały. Gdy czerwonoarmiści odjechali, wyszła ze stodoły.

„Już z daleka zobaczyłam dwie ciemne plamy na polu pod krzakami […]. Głowa męża była cała, tylko oczy i nos stanowiły krwawą masę, a mózg wyciekał uchem" („Wrzesień 1939 w relacjach", oprac. C. Grzelak).

Tego dnia, gdy został zamordowany gen. Olszyna-Wilczyński, Sowieci złamali po trzech dniach walk opór żołnierzy i mieszkańców Grodna. Przy pomocy miejscowych komunistów wyłapywano obrońców miasta i rozstrzeliwano ich.

„Nad ranem przybiegli do naszej piwnicy dwaj bracia Waniukiewicze – 16 i 20 lat, synowie grabarza z cmentarza ewangelickiego – wspominała ich rówieśniczka. – Do swego domu już nie dobiegli, bo szosą jechała kawaleria. […] Inni szli piechotą w tych czapach z »czubami«, brudni, straszni. Szli szosą, to tylko ja z dziadkiem wyjrzałam i zaraz schowaliśmy się, ale nas zauważono. Przybiegli do piwnicy i kazali wychodzić. Cóż, kobiety z dziećmi, dziadek stary, miał 72 lata, i ci młodzi Waniukiewicze. Rusek podszedł i na oczach wszystkich strzelił tym dwom prosto w twarz – mózg widziałam, głowy rozbite" (R. Szawłowski, „Wojna polsko-sowiecka 1939").

Miejscami egzekucji obrońców Grodna była m.in. Psia Górka – zabito tam 20 uczniów ochotników, a Sowieci przez trzy dni nie pozwolili pochować ciał. Mordowano obrońców także w ogrodach przy ulicy Pohulanka, w lasku Sekret, otoczeniu klasztoru Franciszkanów, na przedmieściu Rumlówka, w koszarach 76. Pułku Piechoty, na Krzyżówce i koło Poniemunia. Ofiarami sowieckiej zemsty padło w 19 egzekucjach ok. 300 obrońców Grodna.

22 września dowództwo obrony Lwowa, niezdobytego przez Wehrmacht, zdecydowało się poddać oddziałom Armii Czerwonego, które podeszły pod miasto. Sowieci zażądali od dyrektora elektrowni miejskiej, Stefana Franciszka Kozłowskiego, by ją uruchomił w ciągu kilku godzin. Gdy oświadczył, że jest to z powodów technicznych niemożliwe, zastrzelili go. Umowa kapitulacyjna zawierała zobowiązanie Armii Czerwonej, że oficerowie będą mieli zagwarantowaną wolność. Zostali osadzeni w obozie w Starobielsku. Wiosną 1940 r. zostali zamordowani w Charkowie.

Małym Katyniem polskich marynarzy określana jest zbrodnia dokonana na kilkunastu oficerach i podoficerach Flotylli Pińskiej, wziętych do niewoli. Dokonano jej 28 września w Mokranach, nie jest jednak jasne, czy mordercami byli sami czerwonoarmiści czy też ukraińska bojówka, której sowieccy żołnierze przekazali jeńców i którą zachęcali do zabójstwa Polaków. Niektórzy oficerowie zostali wyłączeni z tej grupy, ale trafili potem do obozów w Kozielsku i Ostaszkowie i zostali rozstrzelani w Lesie Katyńskim i w Charkowie.

Czerwonoarmiści byli też winni zbrodni dokonanych na wziętych do niewoli żołnierzach zgrupowania gen. Wilhelma Orlika-Rückemanna. Po walkach pod Szackiem w Mielnikach rozstrzelali grupę oficerów KOP z ppłk. Józefem Ferencowiczem i mjr. Szymonem Mayblumem z dowództwa KOP. W 2002 r., w wyniku prac poszukiwawczych prowadzonych przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, odkryto w Mielnikach szczątki 18 polskich żołnierzy. Wstrząsającym odkryciem były nosze wydobyte z dołu, w którym znaleziono kości zamordowanych, co znaczyło, że na miejsce egzekucji przyniesiono na nich także rannych żołnierzy.

Innej zbrodni wojennej dokonano na dwóch oficerach zgrupowania KOP w obecności dowódcy sowieckiego pułku. Gdy kapitan Kazimierz Mikuliński powiedział, że jest zawodowym wojskowym, sowiecki oficer odparł: „Ja ci dam zawodowego oficera", po czym przyłożył lufę rewolweru do czoła kpt. Mikulinskiego i pociągnął za spust.

Taki sam los spotkał komandora podporucznika Brodowskiego. Na pytanie o rewolwer odpowiedział, że otrzymał go w prezencie. Zanim kula przebiła Brodowskiemu czoło, sowiecki oprawca powiedział: „No proszę, z tym pistoletem wybrał się zabijać naszych »bojców«". („Wrzesień 1939 w relacjach", oprac. C. Grzelak).

eprasa.pl 374c0e181c



Pałac w Przyłbicach, z którego wyprowadzono na rozstrzelanie Leona Szeptyckiego i jego żonę FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

25 września w Grabowcu i Górze Grabowiec na Lubelszczyźnie sowieccy żołnierze zamordowali trzech lekarzy ze szpitala polowego oraz rannych żołnierzy. W tych dniach po boju pod Tyszowcami czerwonoarmiści zamordowali kilkunastu polskich jeńców. Michał Czachorowski w artykule o zbrodniach na Lubelszczyźnie pisał: „Sowieci i miejscowi Ukraińcy w szczególny sposób znęcali się nad majorem Jerzym Borowiczem, którego po wymyślnych torturach zastrzelili dwaj oficerowie sowieccy".

Antoni Żurowski, oficer KOP, pisał we wspomnieniach „Przeciw dwóm wrogom", że po walce pod Wytycznem widział, jak sowiecki żołnierz kazał się zbliżyć do siebie polskiemu jeńcowi, po czym śmiertelnie go postrzelił. Przed zgonem Polak powiedział, że nazywa się Kazimierz Sykut. W innym miejscu zastrzelono trzech żołnierzy, przy jednym z nich znaleziono dokument na nazwisko Leonard Bogudziński. Był szeregowcem. Po walkach pod Hrubieszowem wziętych do niewoli polskich żołnierzy zaprowadzono do obory w majątku Husynne i tam zamordowano bagnetami.

Jeńców zamordowanych na Lubelszczyźnie było znacznie więcej. „Bez śladu zniknęło około 300 polskich żołnierzy – pisał Michał Czachorowski. – Około 200 z nich widziano pędzonych przez Sowietów […]. Prawdopodobnie zostali zamordowani na terenie Lasów Włodawskich" („Agresja sowiecka 17 września 1939 roku na Kresach Wschodnich i Lubelszczyźnie").

Morderstwa na ziemianach

17 września sowieccy żołnierze wkroczyli do majątku Aleksandria koło Równego. Dowodzący nimi oficer próbował namówić miejscowych ukraińskich chłopów, by zastrzelili właściciela majątku, Huberta Lubomirskiego, wtykając im karabin do ręki. Odmówili. Oficer „o zwierzęcym wyrazie twarzy", jak opisywała go Wanda Lubomirska, córka Huberta, postrzelił jej ojca. Po kilku dniach przyjechała ekipa NKWD. Weszła do sypialni, gdzie leżał ranny. „Padły trzy strzały: w usta, w serce i rękę. Ten trzeci strzał był już od drzwi. Myślałam, że ojca zabiorą i nie zamordują go w łóżku" – wspominała Lubomirska.

Ów oficer, który postrzelił jej ojca, nakazał żydowskiej milicji, by rozstrzelała mieszkańców dworku, ale nie wykonała rozkazu, ukrywszy ich na strychu posterunku (R. Szawłowski, „Wojna polsko-sowiecka 1939").

Dziesięć dni po sowieckiej agresji na Polskę czerwonoarmiści i enkawudziści pojawili się w Przyłbicach, majątku Leona Szeptyckiego. Miejscowa ukraińska ludność usiłowała go bronić, Sowieci usiłowali ją zmusić zresztą do zeznań, że był „złym panem". Jak opowiadał Jan Kazimierz Szeptycki, bratanek Leona, w wywiadzie udzielonym mi dla „Rzeczpospolitej", wyprowadzono go z pałacu wraz z żoną i jezuitą o. Skibniewskim i rozstrzelano wszystkich w parku. Zapewne morderstwo Leona Szeptyckiego miało być ciosem w jego brata, Andrzeja Szeptyckiego, metropolitę greckokatolickiego. Sowieci nie odważyli się bowiem tknąć tego duchowego przywódcy Ukraińców.

Wiele lat później w Polsce Ludowej Jan Kazimierz Szeptycki napisał list do „Tygodnika Powszechnego", w którym napisał tylko (ze względów cenzuralnych, by w ogóle informacja o stryju mogła się ukazać), że został on rozstrzelany 27 września. Przeczytał potem w tym tygodniku, że cenzura dopisała: „Przez ukraińskich nacjonalistów". Skądinąd byli oni we wrześniu sprawcami wielu zbrodni na Polakach, żołnierzach i cywilach, mieszkańcach kresów południowo-wschodnich. Zamordowali m.in. Andrzeja Potockiego, syna Andrzeja Potockiego, namiestnika Galicji zastrzelonego w 1908 r. we Lwowie przez ukraińskiego studenta.

Andrzeja Szeptyckiego, alumna seminarium lwowskiego, syna Leona Szeptyckiego, nie było w Przyłbicach, gdy do pałacu wtargnęli enkawudziści. Gdy wcześniej przez Przyłbice przechodził oddział Wojska Polskiego, przyłączył się do niego. Wzięty do niewoli został rozstrzelany w Katyniu.

Przez wiele lat nieznany był los Stanisława Dowoyno-Sołłohuba, generała w stanie spoczynku, mieszkającego w majątku w Ziołowie koło Kobrynia. Według różniących się relacji miał zginąć w więzieniu we Lwowie lub na zesłaniu w głębi Związku Sowieckiego albo został zamordowany przez żołnierzy Armii Czerwonej we wrześniu 1939 r. Tę ostatnią wersję potwierdziło poszukiwanie i odkrycie grobu w parku dworskim w Ziołowie (D. Siemińska, „Ekshumacje ofiar totalitaryzmów II wojny światowej na Ukrainie, Białorusi oraz Litwie").

Zbrodnia w Brzostowicy Małej pokazuje, że Sowietom chodziło o wymordowanie lokalnej polskiej elity. Oprócz ziemianina Antoniego Wołkowickiego i jego żony zostali zabici przez komunistyczną bandę także wójt i sekretarz gminy, listonosz i nauczyciel. Rozstrzelano ich, choć jest też wersja, że ofiary skrępowano drutem kolczastym i żywcem zakopano (K. Jasiewicz, „Lista strat ziemiaństwa polskiego 1939–1945").

Sławomir Kalbarczyk opisał zbrodnię w Złoczowie z 21 września 1939 r. Doszło do niej na skutek uchwały Rady Wojennej 6. Armii, która polecała Oddziałowi Specjalnemu NKWD rozstrzelać bez sądu 10 ludzi. Wykonując rozkaz, enkawudziści zabili w Złoczowie 10 pracowników więzienia i policjantów. Kilka dni po tej zbrodni Nikita Chruszczow, szef ukraińskich komunistów, spotkał się z pracownikami NKWD i wyraził niezadowolenie, że źle pracują, gdyż nie ma żadnych rozstrzelanych. Wtedy jeden z funkcjonariuszy „pochwalił" się zamordowaniem Polaków w Złoczowie.

Zbrodnie dokonywane przez Armię Czerwoną zostały usprawiedliwione przez marszałka Klimenta Woroszyłowa, który w rozkazie wydanym w listopadzie 1939 r. stwierdził, że wynikały one z błędów i nieporozumień, z sytuacji bojowej oraz ostrego charakteru walki narodowej i klasowej ludności ukraińskiej i żydowskiej z władzą polską. Sławomir Kalbarczyk oceniał: „W ten sposób mord stawał się zaledwie »błędem« albo »nieporozumieniem«, za które należała się co najwyżej nagana, ale już nie skazanie w trybie odpowiedzialności karnej".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 374c0e181c

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

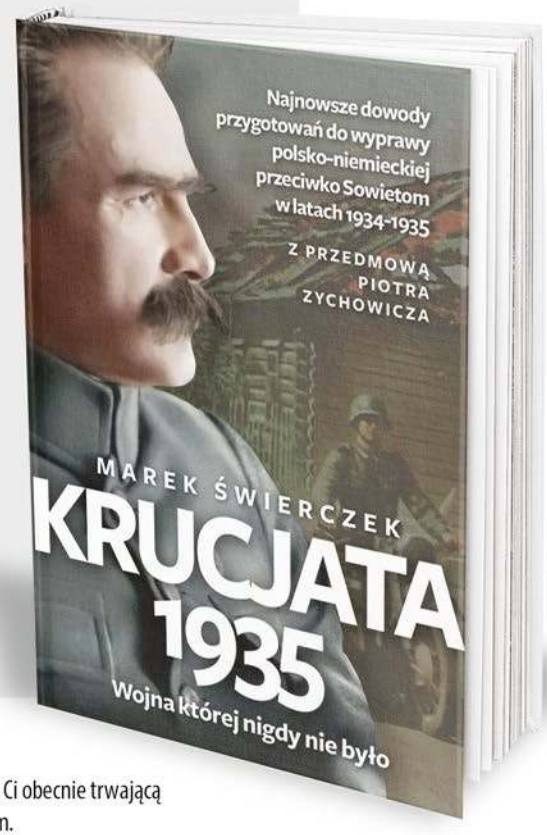
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA
MAREK ŚWIERCZEK: „KRUCJATA 1935. WOJNA, KTÓREJ NIGDY NIE BYŁO”

NAJNOWSZE DOWODY PRZYGOTOWAŃ DO WYPRAWY POLSKO-NIEMIECKIEJ PRZECIWKO SOWIETOM W LATACH 1934-1935.

Marszałek Piłsudski na kilka miesięcy przed śmiercią chciał ocalić Rzeczpospolitą i wspólnie z Hitlerem pójść na wschód. Czy polsko-niemiecka wyprawa na Moskwę w połowie lat 30. mogła uchronić świat przed II wojną światową i zawłaszczeniem połowy kontynentu europejskiego przez komunizm? Czy błędy polityki Becka, który sprzeniewierzył się politycznemu testamentowi Piłsudskiego, wynikały z bezprecedensowego sukcesu wywiadu sowieckiego?

Hitler chciał wojny z ZSRS, ale w sojuszu z Wielką Brytanią i Rzeczpospolitą Polską. Ta wojna musiała wybuchnąć. Wydatki Niemiec na zbrojenia wzrastały w takim tempie, że zwycięski konflikt z Sowietami stał się jedynym sposobem na uniknięcie gospodarczej zapaści Rzeszy. Dla Polski wybór Hitlera jako sojusznika był racjonalny, gdyż zarówno Polska, jak i Rzesza miały interesy gospodarczo-polityczne na wschodzie, które można było pogodzić.



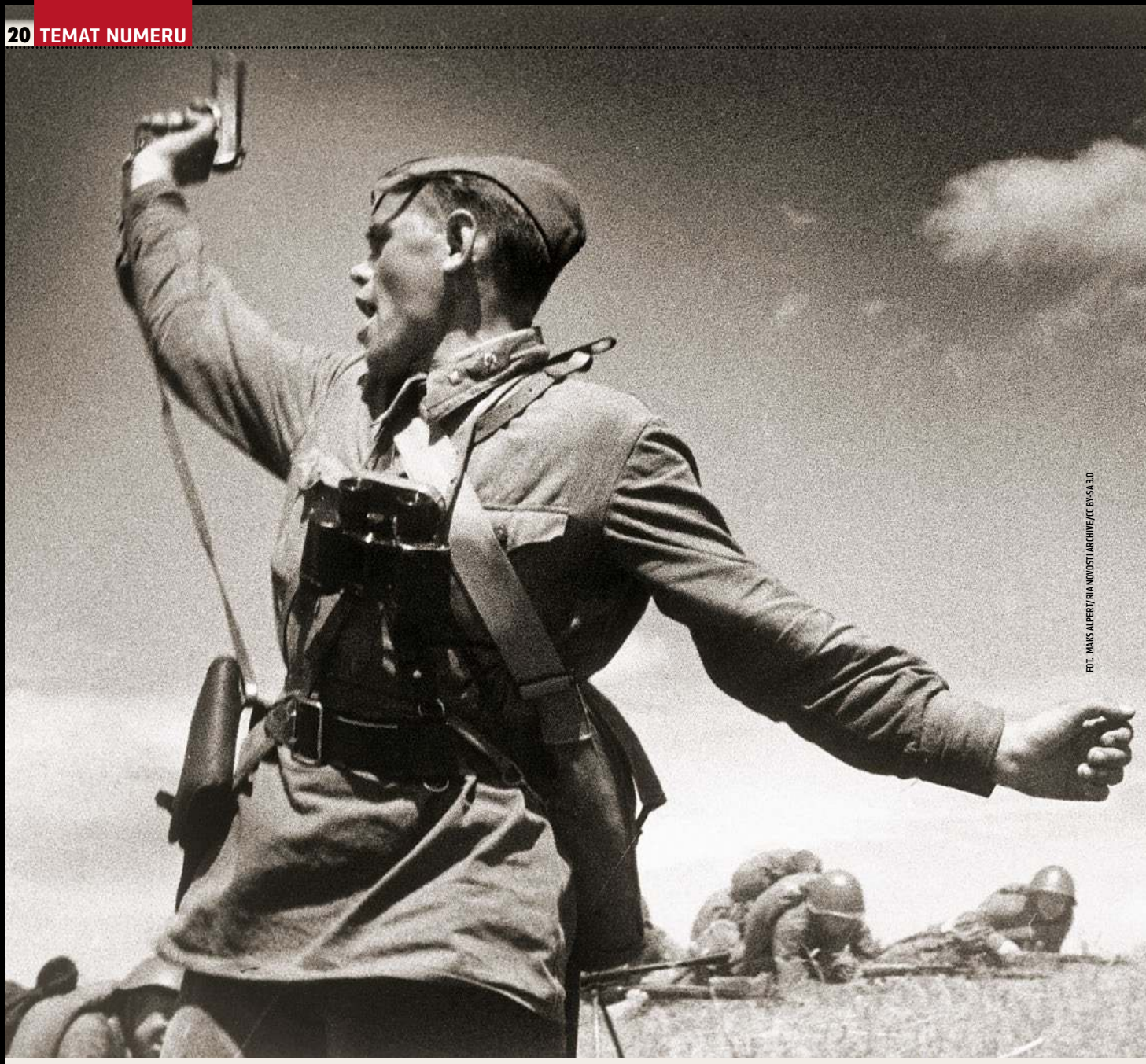
145 zł
oszczędność 48 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 374c0e181c



FOT. MAKS ALPERT/RIA NOVOSTI ARCHIVE/CC BY-SA 3.0

Proza S. Piaseckiego / Czerwony „wyzwoliciel” i „biali Polacy”

Dziwny świat lejtnanta Zubowa

eprasa.pl 374c0e181c

„Zapiski oficera Armii Czerwonej” to doskonała groteska, która pokazuje, jaka „kultura” przyszła ze Wschodu „uwalniać” polskie Kresy

Sergiusz Piasecki napisał swoją słynną książkę na podstawie własnych spostrzeżeń z krótkiej znajomości z kilkoma krasnoarmiejcami, którzy zostali wysłani do Polski jesienią 1939 r. Jednym z nich był lejtnant z Leningradu. Nasz pisarz był zszokowany poziomem umysłowym tego – było nie było – oficera i jego zaślepieniem ideologicznym. W ten sposób w wyobraźni Piaseckiego powstał lejtnant Michaił Zubow, który we wrześniu 1939 r. wkroczył ze swoimi towarzyszami do Wilna. Lektura jego dziennika to niezapomniane przeżycie. Poniżej publikujemy wybrane fragmenty „Zapisków oficera Armii Czerwonej” wydanych przez LTW.

Towarzyszowi J.W. Stalinowi
22 września 1939 roku
Vilnius

Noc była czarna jak sumienie faszysty, jak zamiary polskiego pana, jak polityka angielskiego ministra. Lecz nie ma siły na świecie, która by powstrzymała żołnierzy niezwyciężonej Armii Czerwonej, idących dumnie i radośnie wyzwalać z burżuazyjnego jarzma swych braci: chłopów i robotników całego świata.

[...]

Zapiski te zaczynam w mieście Vilniusie. Piszę je na chwałę naszej potężnej Armii Czerwonej i – przede wszystkim – jej WIELKIEGO wodza, towarzysza Stalina. Jemu też, naturalnie, zadedykowałem je. Rozumiem dobrze, że pióro moje jest bezsilne, gdy chce opisać wielkość naszego wodza i moją miłość dla niego. Na to trzeba pióra Puszkina lub Majakowskiego. Ja zaś mogę tylko dokładnie zanotować to, co widzę i słyszę w tych wielkich, historycznych dniach, które wyzwoliły kilka uciśnionych narodów z kapitalistycznej niewoli.

Gdy myślę o naszym wielkim WODZU i NAUCZYCIELU, to czuję, że do oczu mi napływają łzy. Kim bym ja był bez niego? Carskim niewolnikiem, gnębionym i eksploatowanym nieludzko. A teraz ja, którego ojciec był zwykłym robotnikiem, jestem oficerem. Mam zaszczyt należeć do Komsomołu. Ukończyłem dziesięciolatkę. Umiem czytać i pisać prawie bez omyłek. Potrafię też rozmawiać telefonicznie.

Pierwszym wyzwaniem, które stanęło przed naszym dzielnym lejtnantem, było znalezienie odpowiedniego lokum.

Batalion nasz stoi w koszarach przy ulicy Wilkomierskiej. Nam, oficerom, Komendantura dała pozwolenie na zamieszkanie prywatnie w pobliżu koszar. Ja się ulokowałem przy ulicy Kalwaryjskiej w domu numer cztery. Przyszedłem tam wczoraj rano z orderem z Komendantury i pytam o prezesa Domkomu. A mnie powiedzieli, że żadnego domowego komitetu u nich nie ma i nie było. Splunąłem ja:

– Też porządki! Jakżeście tu żyli?

Powiadają:

– Normalnie. A sprawy meldunkowe załatwiał dozorca domu.

Poszedłem ja do dozorcy. Pokazali mi jego suterenę. Schodzę ja w dół i tak sobie myślę: „Nareszcie zobaczę chociaż jednego eksploatowanego proletariusza”. Ale gdzie tam! Widzę ja, w dużym pokoju siedzi tłusty, pięknie ubrany pan. Ja tylko na nogi jego spojrzałem i od razu zobaczyłem: buty z cholewami! A on nic. Siedzi i kawę pije. Na stole prawdziwy chleb leży i cukier w bańce stoi. Nawet kiełbasę na talerzu zauważyłem. Wielka mnie złość ogarnęła, że taki kapitalista dozorcę udaje. Ale nic nie powiedziałem, tylko tak sobie pomyślałem: „Przyjdzie i na ciebie czas! Skończy się twoje kiełbasiane życie i o butach też zapomnisz!”.

[...]

Towarzysz Zubow znalazł kwaterę u emerytowanych nauczycielek, spośród których jedna władała doskonale jego ojczystym językiem. Dzięki jej pomocy mógł się zorientować, na czym polega życie w burżuazyjnym domu. Szczególne zdziwienie budziły kłopotliwe dywany, pasożytnicza wanna oraz... donice na balkonie.

Zaprowadziła mnie do pokoju obok kuchni. Tam jest piękna umywalka i duża wanna. Popatrzyłem ja na to wszystko i tak sobie pomyślałem: „Zabić by ciebie trzeba na miejscu za to wszystko! Iluż naszych braci, chłopów i robotników z głodu pozdychało, abyś ty, pasożytko, mogła w takiej wannie rozkoszować się!”. Lecz nie powiedziałem jej tego. A ona trajkocze, krany kręci i pokazuje mnie: jak to działa. To jej wtedy powiedziałem:

– W porządku. Karabin maszynowy więcej ma chytrości i to dajemy sobie radę. A wasza wanna to głupstwo!

Poszedłem ja do swego pokoju i oglądam wszystko. Ale chodzić było niewygodnie, bo dywany przeszkadzają.

W liście do swojej ukochanej Duniaszki niezłomny lejtnant tłumaczył m.in., czym jest ta cała wanna:

Mieszkam ja w pięknym domu, którego właściciel-kapitalista uciekł. Tutejsze burżujki naznosiły mi kwiatów i zasłały cały pokój dywanami. A to wszystko ze strachu. Codziennie pływam w wannie. Wanna to są duże niecki, zrobione z żelaza, do których nalewa się wody, i cały człowiek, nawet z nogami, może











Czapka oficera piechoty Armii Czerwonej FOT. WOLFMANN/WIKIMEDIA/CC BY-SA 4.0

eprasa.pl 374c0e181c



Sergiusz Piasecki FOT. WIKIPEDIA

w nich się zmieścić. Możesz być dumna ze swego Miszki, który, hardo krocząc pod sztandarem Lenina-Stalina, zmiótł na wieki zwierzęcy opór polskich zaborców i wyzwolił wszystkie, jęczące w kajdanach, narody.

Po zapewnieniu sobie dachu nad głową towarzysz Zubow musiał pomyśleć o zorganizowaniu jedzenia. Ze zdziwieniem odkrył, że zamiast magazynów, gdzie chleb dostać można tylko za kartki czy specjalne stachanowskie bony, w byłej burżuazyjnej Polsce istnieją tzw. piekarnie, gdzie bezmyślni kapitaliści sprzedają towar jak leci.

Ponieważ niewygodnie było mi z chlebem po mieście łazić, poszedłem ja do koszar. Tam ruch wielki. Chłopaków pełno. Niektórzy z miasta poprzychodzili i cuda o głupocie polskich panów opowiadają. Okazało się, że tu nie tylko chleba, ale i słoniny, i kiełbasy można kupić, ile kto chce. Niektórzy mówią, że tu zawsze tak było. Nie mogę ja w to uwierzyć. Rzecz jasna, że jeśli sprzedawać, ile kto chce, to kilku wykupi wszystko, inni zaś będą z głodu zdychać.

Następnie doszło do kłopotliwej sytuacji w czasie małego poczęstunku, który dla lejtnanta przygotowały dzielące z nim mieszkanie nauczycielki. W zdradziecki sposób chciały one skompromitować przedstawiciela Kraju Rad, ale towarzysz Zubow zachował jednak rewolucyjną czujność.

Ta, co rosyjskim dobrze włada (Maria Aleksandrowna się nazywa), częstuje mnie: „Proszę sera! Proszę wędliny! A czemu masła na chleb nie smarujecie?".

– Gdzie masło? – spytałem.

Podsunęła ona mnie taki specjalny spodek z przykrywką, a w nim coś żółtego jak wosk. Więc ja powiedziałem:

– A, tak to i jest masło! Mnie mama opowiadała, że kiedyś u nich też z mleka masło robili.

Zacząłem ja to ich masło na chleb smarować. Ale niewygodnie. Wałkuje się tylko. To trzeba by łyżką jeść, a nie smarować.

Nic to jednak, skoro wkrótce przeszedł nowy miesiąc, a wraz z nim wypłata i tak wyczekiwany prowiant prosto z ukochanego Związku.

Wczoraj otrzymałem ja miesięczną pensję: 700 rubli. Prowiant też wydali na cały tydzień naprzód: chleb, krupa, cukier, ryba, słonina, herbata i paczka tytoniu. Ot – pomyślałem ja sobie – żeby robotnicy państw kapitalistycznych zobaczyli, jak dba Związek Radziecki o swego obrońcę! Chleb, co prawda, był spleśniały; rybę trochę czuć, ale jeszcze jeść można; krupy potarły się na mąkę i jakby stęchły; słonina, naturalnie, zjełczała – pewnie dalekiego transportu nie wytrzymuje; połowę tytoniu jakiś drań z paczki wyciągnął i trocin dosypał; cukier mokry – dla wagi. Ale to nieważne. Ważna jest troska o nas i pamięć. Otóż to właśnie.

Sylwestra 1939 r. lejtnant Zubow spędzał w Lidzie, gdzie spotkał innego lejtnanta – Dubina, który zaprosił go do siebie na sylwestrowo-noworoczne rozmowy przy buteleczce. Poza nimi mieli być też kpt. Jegorow i kilku innych chłopaków. Krasnoarmiejcy wyperfumowali się, złapali za gitarę i zaczęli stukać się szklankami z wódką. Impreza trwała w najlepsze, gdy Dubin wyjął z szafki torbę pełną niezidentyfikowanych obiektów. Był to doprawdy niezapomniany moment, więc przytoczmy dłuższy fragment.

Przyniósł ją i wyrzucił zawartość na stół. Było to coś podobnego do strąków dużego bobu albo do małych ogórków.

– Co to jest? – spytałem.

– Banany – powiedział Dubin. – Nasi chłopaki z NKWD tu u pewnego burżuja, który miał dawniej owocarnię, rewizję robili i dużo tego specjału znaleźli. Więc i mnie trochę dali.

– Dawać tu banany! – krzyczy Jegorow. – Dość burżujom tym się obżerać. Teraz nasza kolej!

No, nic. Dubin banany porządnie w umywalce wymył i kilka z nich plasterkami na talerzu pokrajał, potem, oczywiście, odpowiednio posolił i każdemu wódki nalał.

– Zdrowie piechoty! – powiedział.

Wypiliśmy i bananami zagryzamy. Ale, cholera go wie, jakoś niesmacznie było. Ja nawet wypluć chciałem. A Sinicyn wówczas powiedział:

– Do tych bananów trzeba octu i tak samo pieprzu.

Pieprz był, ale po ocet Dubin do gospodyni poszedł pożyczyć. Zaprawiliśmy banany octem, no i, rzecz jasna, pieprzem. I zupełnie inny smak wyszedł. Ale wszystko jedno, nie podobały mi się. Wolę kiszone ogórki, a nawet cebulę. Ale nic: pod wódkę to nawet i banany pójdą. Tylko to było najgorsze, że kapitan Jegorow, nieco za wcześnie, chorować zaczął. Sinicyn do pianina go poprowadził, przykrywkę u góry instrumentu otworzył i powiedział:

– Walcie, towarzyszu, do środka, bo szkoda podłogę zanieczyszczać.

A w tym głupim instrumencie miejsca dość. Wszystko się zmieści.

Widzę ja, że z drugiej strony pianina Maślannikow przysposobił się i też naloty na Rygę robi. Ale ja dobrze się trzymałem i dalej wódkę pod banany chlastałem. A potem posłyszałem, jak Dubin powiedział:

– Te banany to najlepiej z olejem jeść i cukrem. Ale szkoda, że nie mam.

Nie zdążył on tego wypowiedzieć, jak kapitan Jegorow od pianina oderwał się, do stołu zbliżył się, jeden banan (jeszcze niepokrajany) wziął i Dubina nim w zęby jak zajedzie.

– Otrułeś mnie, draniu! – krzyczy. – Nigdy ja od wódki tak prędko nie rzygałem. Banany należy się kiszone jeść albo marynowane, a ty surowe dałeś!

Beztroski czas zwalczania polskiego faszyzmu i kapitalizmu szybko jednak przeminął i nadszedł 22 czerwca 1941 r. Lejtnant Zubow, przechadzający się akurat po centrum Wilna, początkowo był pewien, że cios przyszedł zza dalekiego morza.

Ludzie biegną, chowają się, gdzie kto może. Z daleka też wybuchy słychać. Dym idzie do góry. Pożary zaczęły się. Zrozumiałem ja, że to Anglicy nalot na miasto zrobili. Bo więcej nie ma komu. Nie dostrzegł nasz kochany Hitlerek, jak przelecieli nad Niemcami i biją, podli faszyści, po Związku Radzieckim! Wybrali czas, kiedy jesteśmy zajęci wywożeniem Polaków. A może nawet specjalnie, jako faszyści, chcą przyjść z pomocą polskim faszystom i przeszkodzić likwidacji ich. Ale im to darmo nie ujdzie. Ja sam nawet po jednym aeroplanie trzy razy z pistoletu wystrzeliłem i pewnie trafiłem dobrze, bo widziałem, jak zachwiał się w powietrzu.

eprasa.pl 374c0e181c

Nie minęło jednak dużo czasu, gdy towarzysz Zubow przeanalizował sytuację i w pełni zrozumiał, jak zmieniła się jego osobista sytuacja. Dotychczasowy wódz okazał się słaby, a „kochany Hitlerek" pokazał, że to on najlepiej nadaje się na wodza postępowej części ludności. Miesiąc po bombardowaniu Wilna w dzienniku lejtnanta pojawił się więc wpis zwiastujący nową erę w jego proletariackim życiu:

Towarzyszowi A. Hitlerowi
27 lipca 1941 roku
W stodole

Zupełnie bezpieczny nie jestem, ale już trochę lepiej. Ważne jest to, że najgorszy czas ja przetrwałem i w ten sposób okropnej śmierci uniknąłem. Na wszelki wypadek postanowiłem ja te moje Zapiski zadedykować Hitlerowi. Bardzo to jest mądry i potężny wódz, i ogromnie go szanuję. A do Stalina żadnego już zaufania nie posiadam.

Bohaterski lejtnant przez kolejne lata ukrywał się na polskiej wsi, gdzie polscy chłopi otoczyli zagubione biedaczysko opieką. W miarę jednak, jak „kochany Hitlerek" odnosił coraz to mniejsze sukcesy na polach bitewnych, w zapiskach znów pojawiły się dedykacje dla Stalina, a nasz nieustraszony krasnoarmiejec poszedł do sowieckiej partyzantki. Pewnej nocy jego grupa bojowa brała udział w bardzo intensywnych walkach z Niemcami, choć po pewnym czasie lejtnant Zubow zaczął wątpić, czy „wróg", do którego kilka godzin temu strzelali, faktycznie nosił mundury Wehrmachtu...

Dopiero nad ranem przyszli polscy komuniści. Dwóch z nich niosło trzeciego. Głowę on miał okrwawioną. Lewego oka wcale nie widać. I strasznie cuchnął naftą. Major zbadał go dokładnie i stwierdził, że po nim niemiecki czołg przejechał i zalał go benzyną. A nie zmiażdżył tylko dlatego, że droga była wklęsła. Lecz ja dlaczegoś jestem pewien, że to właśnie major, w zamieszaniu, machnął go butlą nafty po głowie. Zaczęliśmy pytać: Kto strzelał? Jeden z bojców powiedział, że to on wystrzelił do niemieckiego generała, który jechał na białym koniu na czele armii... Jednak było tam coś bardzo poważnego i mamy wielkie szczęście, że wszyscyśmy ocaleli. Zawdzięczać to możemy tylko swej odwadze i niezwykłej przytomności umysłu. Major wpisał całą tę akcję do Dziennika Komunistycznego Partyzanckiego Oddziału im. Wandy Wasilewskiej.

Końcówka książki tak zabawna już niestety nie jest. Zubow – awansowany przez ten czas na kapitana – wraca na podwileńską wieś, by „podziękować" Polakom, którzy go ukrywali. Humor ustępuje miejsca horrorowi.

oprac. Piotr Włoczyk

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Paru silnych ludzi...



Maciej Rosalak

W znakomitym dziele Alana Bullocka „Hitler i Stalin. Żywoty równoległe" (1991) – będącym uzupełnieniem i rozwinięciem wcześniejszego o 20 lat bestselleru tegoż autora („Adolf Hitler. Studium tyranii") – znalazłem akapit, który wydał mi się zadziwiająco aktualny. Przeczytałem go znów niedawno. Akurat „Gazeta Lubuska" ujawniła przypadek próby wymuszenia seksu za zatrudnienie w pewnym przedsiębiorstwie. Poszkodowana niewiasta poskarżyła się przełożonym sprawcy. Szukała sprawiedliwości u miejscowej posłanki, a także wicemarszałka i marszałkini lubuskiego sejmiku samorządowego. Ta ostatnia obiecała interwencję u najwyższych władz największej dziś partii opozycyjnej. Czy dotrzymała obietnicy, nie wiadomo, w każdym razie kobiecie nikt krzywdy nie wynagrodził. Zwraca uwagę fakt, że wszystkie osoby dramatu do tej partii należały. Żadna natomiast nie uczyniła tego, czego wymaga prawo: na pierwszą wiadomość o przestępstwie nie zawiadomiła prokuratury. Po kilku miesiącach sprawa trafia nareszcie do sądu, ale kolejni sędziowie rezygnują z orzekania, a sędzinie, która w końcu podjęła się prowadzenia procesu, TVP zarzuca przynależność do ugrupowania jawnie wspierającego opozycję w naszym „państwie prawa".

A oto fragment z Bullocka: „Państwo Führera wyposażone zostało w dwie równoległe, ale różne, formy sprawowania władzy: tradycyjną biurokrację państwową i alternatywny, pozakonstytucyjny i pozaprawny system organizacji wykonawczych. W przypadku konfliktów pomiędzy nimi Hitler niemal zawsze popierał ten drugi. Pierwszej analizy systemu dokonał [...] Ernst Fränkel w swoim studium »The Dual State«, opracowanym i wydanym na emigracji (w Nowym Jorku) w roku 1941. Fränkel opisywał państwo Führera jako fuzję »państwa normatywnego«, z jego ustalonymi normami i prawami, z »państwem prerogatywnym«, które wyrażało dążenie Hitlera do sprawowania niekontrolowanej władzy i czującego się odpowiedzialnym wyłącznie przed historią. »Fuzja« nie była odpowiednim terminem, bowiem Hitler nie czynił żadnych starań, aby zlikwidować sprzeczności w funkcjonowaniu obu elementów swego państwa lub zapobiec konfliktom kompetencyjnym. W rzeczywistości wykorzystywał każdy z nich w sposób dowolny, odpowiadający jego potrzebom".

Cóż, III Rzesza w ciągu wieków nie była wyjątkiem. Podobny dualizm wystąpił już w „kolebce demokracji" – zarówno w starożytnych Atenach, jak i w antycznym Rzymie, który niepostrzeżenie przerodził się z republiki w cesarstwo. Oprycznina Iwana Groźnego czy modelu sowieckiego nie ma nawet co wspominać. Ale spójrzmy okiem Bullocka na ów wzorzec demokracji i prawa, jakim mieni się Komisja Europejska, która wbrew traktatom UE i umowom z naszym państwem demoluje polski system prawny i stosuje – zdaniem rządu RP – bezprawny szantaż finansowy. Przewodnicząca Komisji c a ł e j przecież Unii Europejskiej publicznie życzy opozycyjnemu przywódcy, „drogiemu Donaldowi", który to „uosabia nasze wartości", sukcesu w walce „o wolność i demokrację" i rychłego powrotu na fotel premiera rządu RP. Najlepiej chyba przed wyborami, sposobem. Danke schön, Ursula! On już wyraźnie widzi rozstrzygnięcie walki o władzę na ulicy i grozi wyrzuceniem konstytucyjnemu prezesowi NBP. Jak? Jego bliski współpracownik, Siemoniak Adam, nie zostawia złudzeń: „A przyjdą silni ludzie i wyprowadzą...". ©℗

eprasa.pl 374c0e181c

1933–1939 / Cena zbrojeń III Rzeszy



Czołgi Panzerkraftwagen II – główna siła blitzkriegu lat 1939 i 1940 FOT. HOPIC.CLUB

Agresja bankruta



Maciej Rosalak

Hitler zamienił niemiecką politykę gospodarczą w samospełniającą się przepowiednię wojny, do której dążył i którą wraz ze Stalinem wywołał...

Bezlitosny los dziejowy, który tysiąc lat temu umieścił Polskę w fatalnym miejscu między Rosją i Niemcami, w latach 30. XX w. okazał się wyjątkowo okrutny. Akurat wtedy obydwa kraje stały się totalitarnymi potęgami z ludobójcami u władzy, które zbroiły się po zęby. Sowieci budowali tysiące czołgów, samolotów i dział kosztem niewolniczej pracy milionów ludzi, a Niemcy finansowali zbrojenia głównie dzięki postępującemu zadłużeniu wewnętrznemu i skłonieniu rodzimych przemysłowców do posłusznego – i na ogół gorliwego! – wykonywania żądań Führera. Były to żądania dyletanta, które z rynkową polityką gospodarczą niewiele miały wspólnego. Ich celem nie był bowiem zrównoważony rozwój gospodarczy Niemiec, ale ich szybkie uzbrojenie wystarczające do podbicia i obrabowywania sąsiednich krajów.

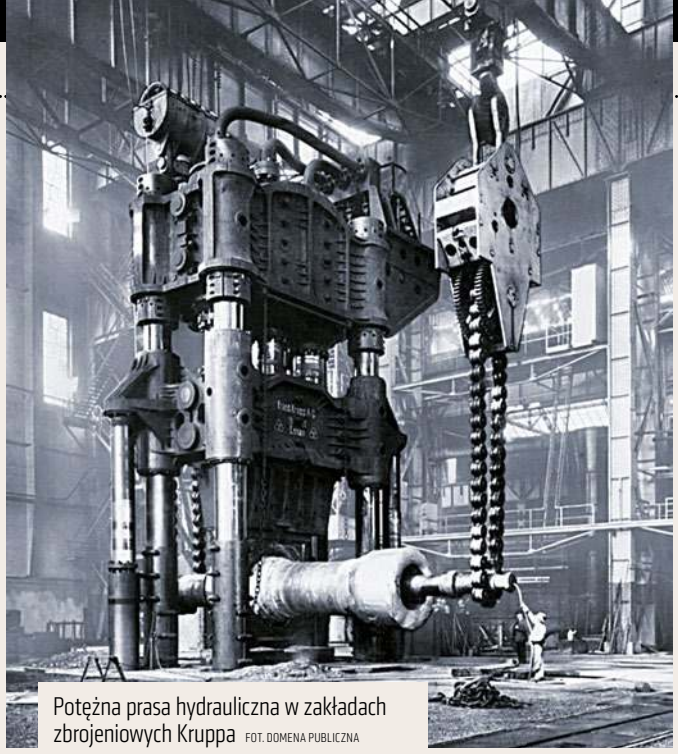
Nie było to oczywiście niczym nowym w dziejach. Bezlitosnymi plemionami rozbójniczymi były już np. „ludy morza" napadające na starożytny Egipt, Hunowie Attyli czy Mongołowie Czyngis-chana. Dzięki rozbojom na wielką skalę wyrosły imperia Persów, Rzymian i Turków Osmańskich. Podboje i wyzysk podbitych karmiły Rosję od moskiewskich carów do bolszewików oraz Prusy – od Fryderyka II do II Rzeszy. Właśnie od koronacji króla Prus na cesarza Niemiec (1871) wyobraźnię niemieckich polityków i generałów, historyków i geografów, ale też milionów Niemców coraz bardziej zaprzątał projekt Mitteleuropy, obejmującej Europę Środkową od Bałtyku do Morza Czarnego i od Ukrainy do Niderlandów. Wraz z poczuciem dojmującej krzywdy po klęsce Niemiec w pierwszej wojnie światowej ziarno Mitteleuropy zakiełkowało w umyśle Adolfa Hitlera.

Zanim z tego ziarna wyrośnie ludobójczy General Plan Ost (1941), już gdy objął władzę w Republice Weimarskiej (1933), przyświecała mu koncepcja autarkicznej, samowystarczalnej III Rzeszy. Autarkia gospodarcza stała się programem NSDAP, ale aby go zrealizować, należało podbić lub zdominować przyległe kraje i korzystać z ich bogactw naturalnych, upraw i hodowli oraz taniej siły roboczej. A żeby pokonać te kraje, należało zbudować silną, dobrze uzbrojoną armię. I właśnie program zbrojeń był celem i istotą gospodarki III Rzeszy po dojściu Hitlera do władzy.

Pełnomocnik Führera

Obszerny rozdział o gospodarce III Rzeszy włączył do swego dzieła „Hitler i Stalin. Żywoty równoległe" Alan

eprasa.pl 374c0e181c



Potężna prasa hydrauliczna w zakładach zbrojeniowych Kruppa FOT. DOMENA PUBLICZNA

Bullock. Omawiając Plan Czteroletni (1937–1940), którego wykonanie Führer powierzył Hermanowi Göringowi, Bullock powołuje się na opinię historyka I.G. Farben – Petera Hayesa. Według niego typ działalności Göringa był „rabunkową eksploatacją niemieckiej gospodarki w imię realizacji programu zbrojeń". Ani Göring, ani Hitler nie zwracali uwagi na problemy, które z tego powodu narastały, z groźbą bankructwa państwa włącznie. Alarmujący stan budżetu w roku 1939 sygnalizował nawet Hjalmar Schacht – były minister gospodarki III Rzeszy i prezes Reichsbanku odsunięty w 1938 r. z tych stanowisk, aby nie blokował posunięć Hermana Göringa.

Plan Czteroletni okazał się niezwykle istotnym elementem „państwa równoległego", które Hitler tworzył obok i niezależnie od istniejącej administracji państwowej, systemu prawnego, sił o charakterze policyjnym (rychło również wojska, czego przykładem były Waffen-SS), a od 1937 r. właśnie gospodarki. To „państwo równoległe" ciągle poszerzało – jak we wszystkich dziedzinach – stan posiadania także w gospodarce. Pełnomocnik Führera objął wkrótce Planem Czteroletnim handel, transport, politykę inwestycyjną, kontrolę rynku kapitałowego i emisję akcji. Göring zajmował konta dewizowe obywateli niemieckich i przymusowo wymieniał obce waluty na marki.

W tajnym memoriale sporządzonym w tamtym czasie Führer podkreślił, że ostateczne rozwiązanie problemów gospodarczych leży w poszerzeniu przestrzeni życiowej narodu, a w okresie przejściowym wszystkie działania muszą być podporządkowane przygotowaniom do wojny. W tym okresie celem niemieckich sił zbrojnych musi być „osiągnięcie zdolności operacyjnej w ciągu czterech lat" (a więc do roku 1940). Taki sam okres – cztery lata – Hitler wyznaczył niemieckiej gospodarce na przygotowanie do wojny. Co ciekawe, rok 1940 również Stalin postawił przed Armią Czerwoną jako termin przygotowania do wojny, a i Francja uznała ów 1940 r. jako granicę czasu na dozbrojenie i reorganizację swoich sił zbrojnych.

To dlaczego wojna wybuchła późnym latem 1939 r.? Dlaczego jej inicjator – Hitler – tak się przy tej dacie uparł? Głównym powodem były zapewne strach i małoduszność Francji i Anglii okazane w Monachium (1938) – jak zaproszenie do następnych zaborów. Żal było też nie wykorzystać tego daru losu, którym pięć minut przed godz. 12 okazała się skwapliwość Sowietów do wzięcia udziału w rozszarpaniu Polski. Ale niemałą rolę musiał odegrać również alarm Schachta. Zaciągane wcześniej pożyczki trzeba było spłacać, a już nie było z czego. Trzeba było zacząć rabować. Rozpętanie wojny było nie tylko wyborem, lecz także koniecznością.

Wybiegając nieco w przyszłość, przypomnijmy, jak powiernik Führera potrafił rozbudować państwowy kompleks przemysłowy Hermann Göring Reichswerke, zajmujący się – wbrew prywatnym producentom – wydobyciem i wytopem żelaza z niskogatunkowych złóż w Brunszwiku. Ów pomnik wzniesiony ku czci własnej i chwale ruchu narodowosocjalistycznego „stary towarzysz" Hermann wzbogacał, jak mógł: dał mu przedsiębiorstwa zabrane Żydom, skonfiskowane w grudniu 1939 r. udziały Thyssena w przemyśle węglowym Zagłębia Ruhry, zakłady zbrojeniowe Rheinmetall Borsig i większą część potencjału przemysłowego zagarniętego w Austrii (1938) i Czechosłowacji (1938–1939).

Dodajmy, że ofiarą represji i konfiskaty majątku padł również zdelegalizowany w lutym 1940 r. Związek Polaków w Niemczech. Rozstrzeliwaniom i osadzaniem w obozach koncentracyjnych ok. 2 tys. członków związku towarzyszył zabór jego mienia o wartości co najmniej 8,45 mln reichsmarek.

Niemcy pod bronią

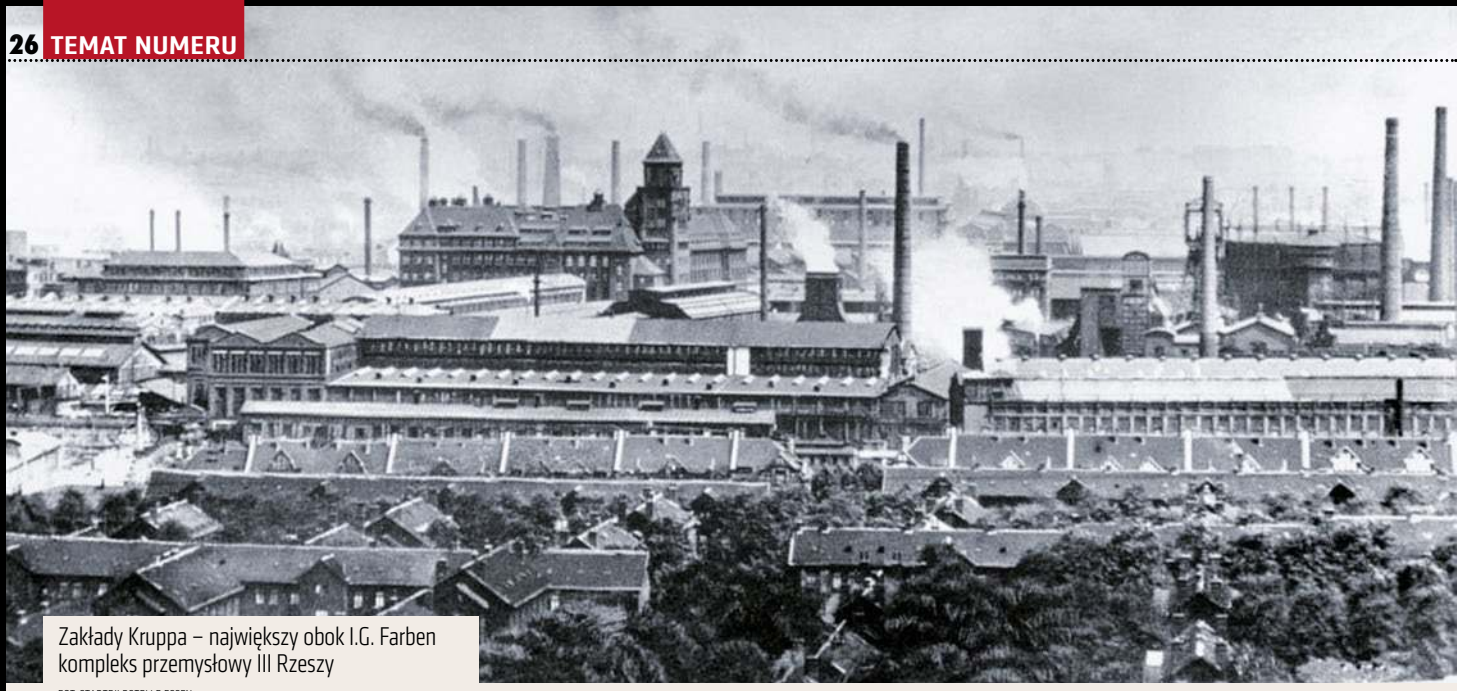
O intensywności zbrojeń w III Rzeszy niech świadczy porównanie z Polską, która, dążąc do zachowania niepodległości, starała się utrzymać możliwie silną armię. Od zakończenia pierwszej wojny światowej do 1939 r. wydaliśmy na wojsko 15 mld złp – czyli 3 mld dol. – co i tak było wysiłkiem ponad stan. Natomiast Niemcy wydali na wojsko za czasów III Rzeszy 90 mld marek, tj. 45 mld dol. Piętnaście razy więcej i to głównie po 1935 r.



Hitler i Göring w otoczeniu niemieckich generałów FOT. NEWSCOM/PAP

W efekcie 1 września 1939 r. Niemcy użyli przeciw Polsce ponad 1,5 mln żołnierzy, ok. 3 tys. czołgów, 10 tys. dział i moździerzy, ponad 2 tys. samolotów. Wojska lądowe były zorganizowane w 41 dywizji piechoty (plus siły równe dalszym dziewięciu dywizjom, złożone z jednostek straży granicznej, jednostek fortecznych i innych), trzy dywizje piechoty górskiej, cztery dywizjepie-

eprasa.pl 374c0e181c



Zakłady Kruppa – największy obok I.G. Farben kompleks przemysłowy III Rzeszy

FOT. STADTBILDSTELLE.ESSEN

choty zmotoryzowanej, cztery dywizje lekkie, siedem dywizji pancernych i brygadę kawalerii. Dwadzieścia trzy dywizje kadrowe pozostawili na froncie zachodnim.

Polacy przeciwstawili ok. 1 mln żołnierzy, 800 czołgów (rozproszonych po całym froncie), ponad 4 tys. dział i moździerzy (artyleria przeciwlotnicza liczyła tylko 407 luf), 400 samolotów bojowych (bez koncepcji skuteczniejszego ich użycia). Wojska lądowe tworzyło 39 dywizji piechoty (tylko 21 w pełni zmobilizowanych i skoncentrowanych), 11 brygad kawalerii (osiem skoncentrowanych), trzy brygady górskie, jedna brygada kawalerii zmotoryzowanej (druga była dopiero tworzona) i mniejsze jednostki, jak oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza, Obrony Narodowej, morskich strzelców.

Piechota stanowiła u nas 57,2 proc. stanu kadrowego wojska, kawaleria – 10,5; lotnictwo – 2,6; łączność – 2,9; artyleria – 14,6. U Niemców: piechota – 43,5 proc.; kawaleria – 2,3; lotnictwo – 7,6; łączność – 3,9; artyleria – 22,3. Statystycznie na polską dywizję piechoty przypadało 140 samochodów ciężarowych, a na niemiecką – 4,7 tys. (w tym czasie w ZSRS – 2,3 tys). W polskiej dywizji było 27 działek przeciwpancernych; w niemieckiej – 75. Miarodajną ocenę różnicy w uzbrojeniu pułku piechoty zawarł we wspomnieniach dowódca 35. pp, broniącego się w Borach Tucholskich – płk Jan Maliszewski: „W zakresie uzbrojenia niemiecki pułk piechoty górował w moździerzach prawie trzykrotnie i czterokrotnie w artylerii piechoty, nie mówiąc o przewadze w kalibrze. Ta różnica w sile ognia dała się najdotkliwiej odczuwać w natarciu: niedostateczne obezwładnienie przeciwnika naszym ogniem prowadziło do wielkich strat własnych".

Po kampanii wrześniowej III Rzesza jeszcze bardziej zintensyfikowała zbrojenia, wypełniając ubytki w broni pancernej i zastępując jednocześnie liczne, ale słabe czołgi PzKpfw I znacznie nowocześniejszymi i cięższymi modelami. 10 maja 1940 r. uderzyła równocześnie na Belgię, Holandię, Luksemburg i Francję, mając 118 dywizji piechoty, 10 dywizji pancernych, sześć dywizji zmotoryzowanych i jedną powietrzno-desantową. Dysponowała 2,6 tys. czołgów oraz ok. 3,8 tys. samolotów. Napotkała łącznie 134 dywizje aliantów (22 belgijskie, dziewięć holenderskich, 10 brytyjskich i 93 francuskie, w tym sześć pancernych i 24 zmotoryzowane), 2,4 tys. samolotów i prawie 3,4 tys. czołgów (Andrzej Nieuważny, „Upadek Francji", dodatek nr 11, „Rzeczpospolita", 23 maja 2009 r.). Pytanie, czemu opór sprzymierzonych wcale nie okazał się silniejszy od naszego…

A jeszcze na początku 1933 r. Republika Weimarska dysponowała tylko 100-tysięczną Reichswehrą, pozbawioną lotnictwa i broni pancernej. Jak to było możliwe, że III Rzeszę – wychodzący z poważnego kryzysu kraj, odcięty od



Defilada „chrząszczy" Volkswagena przed Bramą Brandenburską. Ani jednego z tych aut nie otrzymał robotnik – uczestnik akcji oszczędnościowej firmy

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 374c0e181c

źródeł wielu surowców oraz kredytów zagranicznych – stać było, aby w kilka lat tak uzbroić armię?

Kredytodawcy III Rzeszy

Zanim Hitler zaczął rabować inne nacje, rabował samych obywateli niemieckich. Najbardziej dotknęło to oczywiście Żydów. Obarczono ich szczególnie wysokimi podatkami, kontrybucją w wysokości miliarda marek bezczelnie nałożoną po „nocy kryształowej", a także zakazem posiadania walut i złota. Złoto było bardzo poszukiwane przez hitlerowców aż do 1945 r. Grabili sztabki z rezerw walutowych banków centralnych podbitych państw. Z Austrii było to 78,3 ton. Czechosłowackie złoto wydano z Londynu (!) jako depozyt Protektoratu Czech i Moraw. Potem zajmowano złote rezerwy Holandii, Belgii, Grecji, Albanii i Jugosławii. Sztabki przetapiano często z kosztownościami mieszkańców gett i terenów wysiedlanych, a także więźniów obozów koncentracyjnych i zagłady. Z wybitymi przedwojennymi datami sprzedawano je na ogół do Szwajcarii, a uzyskane waluty przeznaczano na zbrojenia i prowadzenie wojny.

Propaganda Goebbelsa, „ordnung" na narodowosocjalistyczną modłę, statystyki wskazujące na likwidację bezrobocia i zapewnienie pracującym godziwego bytu sprawiały na Niemcach (ale nie tylko) wrażenie wielkiego sukcesu III Rzeszy. Tymczasem ustabilizowaniu płac od 1933 do 1939 r. towarzyszył 25-procentowy wzrost cen żywności. Faktem jest, że w firmach zbrojeniowych, które rzeczywiście rozrastały się i zatrudniały wielu pracowników, zarobki wyraźnie wzrosły. Ale gdzie indziej – jak wskazuje średnia statystyczna – musiały zmaleć. Z wykazów bezrobotnych zniknęły żony i matki (powinny siedzieć w domu i zajmować się dziećmi), setki tysięcy młodych mężczyzn powołanych do wojska, a także (niegodni tego zaszczytu) Żydzi. Istniało 21 ustalanych przez rząd federalny podatków, w tym specjalny podatek na zbrojenia. Najważniejszy był podatek dochodowy z sześcioma progami. Do tego, zanim pracownik otrzymał pensję, w firmie pobierano podatek od funduszu płac wynoszący ok. 15 proc.



Hjalmar Schacht daremnie ostrzegał przed bankructwem FOT.WIKIPEDIA

Niemiecki Front Pracy utworzono zamiast wszystkich zdelegalizowanych związków zawodowych. Wśród dóbr uznaniowo przyznawanych po dostępnych cenach członkom Frontu – jak wycieczki pełnomorskie czy wczasy w atrakcyjnych miejscowościach górskich – wprowadzono też program oszczędzania na samochód rodzinny, specjalnie wyprodukowany w 1938 r. przez Volkswagena. Słynne jeszcze dziś auto, zwane u nas garbusem (w Niemczech – Käfer, czyli chrząszcz), kosztowało 990 marek, a wpłacając po 5 marek tygodniowo na specjalne konto, robotnik mógł zostać jego właścicielem po zebraniu sumy 750 marek. Żaden robotnik z tego programu „chrząszcza" nie otrzymał. Wszystkie oszczędności III Rzesza zabrała na wojnę, która wcześniej wybuchła.

I oto najbardziej agresywne państwo rozbójnicze XX w. zaczęło nareszcie rabunek na skalę kontynentalną. Według Aly Götza – urodzonego w 1947 r. historyka i dziennikarza niemieckiego, autora książki „Państwo Hitlera" – III Rzesza uzyskała z grabieży krajów okupowanych równowartość przynajmniej 2 bln euro. Same roboty przymusowe przyniosły Niemcom równowartość 130 mld euro. Obozy koncentracyjne stawały się częściowo filiami wielkich przedsiębiorstw niemieckich (jak KL Auschwitz dla I.G. Farben). Większość dochodów przeznaczono na wydatki wojenne – działania militarne, zakup surowców i materiałów pędnych, produkcję nowych typów broni itp. – a reszta posłużyła poprawie dobrostanu rodzin żołnierzy i w ogóle niemieckich obywateli. Przyznawano więc zwolnienia podatkowe, świadczenia socjalne, podwyżki płac, wczasy pracownicze, sztucznie utrzymywano niskie ceny podstawowych towarów.

I komu to przeszkadzało? Z przebiegu wojny wynika, że większości Niemców raczej nie…

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 374c0e181c



FOT. FORUM GWIAZDY/FORUM

Wywiad / Z Zofią Czekalską ps. Sosenka, łączniczką ze zgrupowania Chrobry II



rozmawia Piotr Włoczyk

Powstańcze cuda „Sosenki”

– Nagle słychać ryk. Potworny, przeraźliwy ryk. Krowa... Huknęło, zatrzęsło się wszystko, siła podmuchu rzuciła mnie na ścianę. Dym, pył, nic nie widać, w uszach dzwoni. Kilka pięter tej kamienicy dosłownie runęło – mówi Zofia Czekalska

PIOTR WŁOCZYK: Jak wiele razy myślała pani, że to już koniec?

ZOFIA CZEKALSKA: W ciągu 63 dni powstania przeżyłam cztery takie historie. Pierwszy raz to nie była daleka wyprawa. Miałam coś przenieść z naszej składnicy aptecznej – byłam łączniczką Centralnej Składnicy Aptecznej odcinka zachodniego przy ul. Siennej 41 – na

eprasa.pl 374c0e181c

sąsiednie podwórko. To było tylko kilka kroków. Co zatem złego mogłoby się stać? Naraz słyszę samolot. Ale to nie był warkot, tylko taki przerażający świst. Ten samolot pikował w naszą stronę… Zrzucił bombę, która przeleciała tuż obok mnie. Gdybym stała wówczas dosłownie metr dalej, przy ścianie, zmiażdżyłaby mnie. Ta bomba była niewybuchem… I tylko to mnie uratowało. Ale i tak pęd powietrza takiej półtonowej bomby zwalił mnie z nóg i zmiótł do piwnicy. Przytkało mnie, nie mogłam oddychać, taka fala poszła. To był pierwszy, niezapomniany raz, kiedy spojrzałam śmierci w oczy.

Co się stało za drugim razem?

Poszłam do budynku w sąsiedztwie. To wszystko działo się w jednej okolicy, bo ja właściwie całe powstanie spędziłam na Siennej. Bardzo możliwe, że poszłam po opatrunki albo jakieś leki. Bo w chwilach wolnych od roboty typowej łączniczki zajmowałam się przygotowywaniem leków i opatrunków albo przenoszeniem tych materiałów do punktów opatrunkowych i szpitali. W każdym razie załatwiłam już, co miałam załatwić, i wychodzę z mieszkania. Nagle słychać ryk. Potworny, przeraźliwy ryk. Krowa... Huknęło, zatrzęsło się wszystko, siła podmuchu rzuciła mnie na ścianę. Dym, pył, nic nie widać, w uszach dzwoni. Kilka pięter tej kamienicy dosłownie runęło. Z klatki schodowej było widać ulicę tam, gdzie powinny być mieszkania. Stoję na tej klatce schodowej przerażona. Mieszkania, w którym przed sekundą byłam, już nie ma.

Jak się pani stamtąd wydostała?

Jak tylko chłopaki to usłyszeli, od razu ruszyli do tej kamienicy na ratunek, bo wiedzieli, że tam poszłam. Byli uradowani, że przeżyłam, ale pytają, czy wszystko ze mną dobrze, czy nic mnie nie boli. Pomacałam się po całym ciele – nie, wszystko dobrze, nic mi się nie stało. I tylko stopa trochę mnie bolała. Chodziłam w o wiele za dużych butach – byłam drobniuteńka i w czasie powstania nie mogłam znaleźć odpowiednich dla mnie ubrań czy butów. Wyglądałam przez to jak pajac, ale to był najmniejszy problem w powstańczych warunkach. Przez to, że noga mi „latała" w bucie, do środka nasypało się trochę szkła. Lekko zraniona noga to wszystko, co mi po wybuchu krowy dolegało. Czy to nie brzmi jak cud?



Sanitariuszki na ulicy Mokotowskiej FOT. WIKIWAND

Ciężko z tym polemizować. Trzecim razem też było tak blisko?

Za trzecim razem było najtragiczniej. Poszliśmy w grupce chłopaków i dziewczyn po zrzuty. Nieraz to robiliśmy. Mnie szczególnie interesowały zasobniki z medykamentami. Profesjonalne leki i bandaże były jednak o niebo lepsze od tego, co chałupniczo byliśmy w stanie wyprodukować. Ale wracając do tamtego tragicznego momentu – czekaliśmy, aż z nieba zaczną spadać zasobniki. Stałam obok koleżanki, którą bardzo polubiłam. Wiem tylko, że miała pseudonim Zosia. Trzymamy się dla otuchy za ręce i wpatrujemy się w niebo. Nagle „Zosia" upada. Tak prostu zwaliła się z nóg. Dostała postrzał prościutko w serce. To była piękna dziewczyna i w jednej sekundzie już jej nie było. Strzał oddał „gołębiarz", czyli niemiecki snajper. Serce skoczyło mi do gardła, musiałam błyskawicznie uciekać, bo następna kula mogła być dla mnie. I to była taka „loteria" w czasie powstania. A czwartym razem prawie mnie zabili, bo poleciałam gnana odruchem serca.

Czyli?

To już był koniec września. Miałam w Warszawie chłopaka, Cześka, z którym znaliśmy się jeszcze z Tomaszowa Mazowieckiego. Po wojnie zostaliśmy małżeństwem. Czesiek był żołnierzem AK i stacjonował przy ul. Żelaznej. Podczas strzelaniny dostał kulkę w karabin i złamał sobie przy tej okazji obojczyk. To złamanie było tak nieszczęśliwe, że groziło przerwaniem tętnicy. Straszny to był widok. Naprężone żyły na tych połamanych kościach… Jak tylko doszła do mnie informacja, że Czesiek jest ranny i leży w szpitalu polowym przy ul. Złotej, musiałam do niego lecieć. Po drodze była jedna barykada. Biegnę tam, ile tchu w płucach. A przy barykadzie strzały z granatników. I to akurat w momencie, gdy biegłam tamtędy. Odłamki świsnęły mi tuż koło głowy. To jest uczucie, które mrozi krew w żyłach. A ja nie zostałam nawet draśnięta...

Jak pani to wszystko przeżyła?

To nie jest pytanie do mnie. Ja mogę powiedzieć tylko jedno – całe powstanie przy życiu trzymała mnie jedna myśl: w moim rodzinnym Tomaszowie Mazowieckim moja mama klęczy przed naszym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i prosi Najświętszą Panienkę o ratunek dla mnie. Mama miała niezwykłą wiarę. Wiedziałam, że zanosi do nieba modlitwy o mnie, i to dawało mi jedyne ukojenie w tych ciężkich dniach.

Wyjaśnijmy na wstępie, że w połowie lipca 1944 r. przyjechała pani do Warszawy, żeby znaleźć tam... bezpieczeństwo.

Dokładnie. Szukałam w Warszawie ratunku. Groziło mi wysłanie do Reichu na roboty. Pracowałam wtedy w fabryce w Tomaszowie Mazowieckim. Wszystko wskazywało na to, że mogę zostać wywieziona do Niemiec, więc mama i tata wysłali mnie do rodziny w Warszawie. Tak oto w połowie lipca 1944 r. przyjechałam do stolicy do rodziny ojca…

eprasa.pl 374c0e181c

Czyli w zasadzie nie znała pani miasta.

Zgadza się. Nie znałam Warszawy, bo nie da się poznać stolicy w trzy tygodnie. Ale jako łączniczka służyłam na bardzo niewielkim terenie w okolicy ul. Siennej, więc dawałam sobie radę. Ale jak już wspomniałam, poza robotą typową dla łączniczki zajmowałam się też aprowizacją dla lekarzy i sanitariuszek. Całymi godzinami robiłam domowymi sposobami bandaże i mieszałam różne substancje, wyrabiając leki – oczywiście robiłam to zgodnie z instrukcjami, które dostałam od lekarza znającego się na rzeczy.

Ja w czasie powstania robiłam chyba wszystko oprócz strzelania. Jak trzeba było coś przenieść, to przemykałam po labiryncie gruzu. Jednym razem trzeba było przerzucić meldunek, innym razem sprawa dotyczyła dnia codziennego, ale i tak trzeba było ryzykować życie, żeby dostać trochę ziarna z pobliskich browarów na tzw. zupę plujkę. Nieskromnie powiem, że ta zupa była moją specjalnością (śmiech). Koledzy z oddziału zajadali się nią. Ale nawet żeby taką zwykłą zupę przygotować, trzeba było nadstawić karku. Każdy krok mógł się okazać ostatnim.

W domu nauczono mnie, że muszę dbać o innych. Pochodziłam z bardzo biednej rodziny, miałam brata, którym się opiekowałam. Miałam 14 lat i nosiłam ojcu obiady 5 km. A całe moje wykształcenie to było siedem klas szkoły powszechnej. Rodzice nie mieli pieniędzy i „Sosenka" musiała iść w bardzo młodym wieku do pracy w fabryce. Ale nigdy nie narzekałam na swój los. Widziałam, że rodzice ciężko pracują, by utrzymać dom, i chciałam im pomóc.

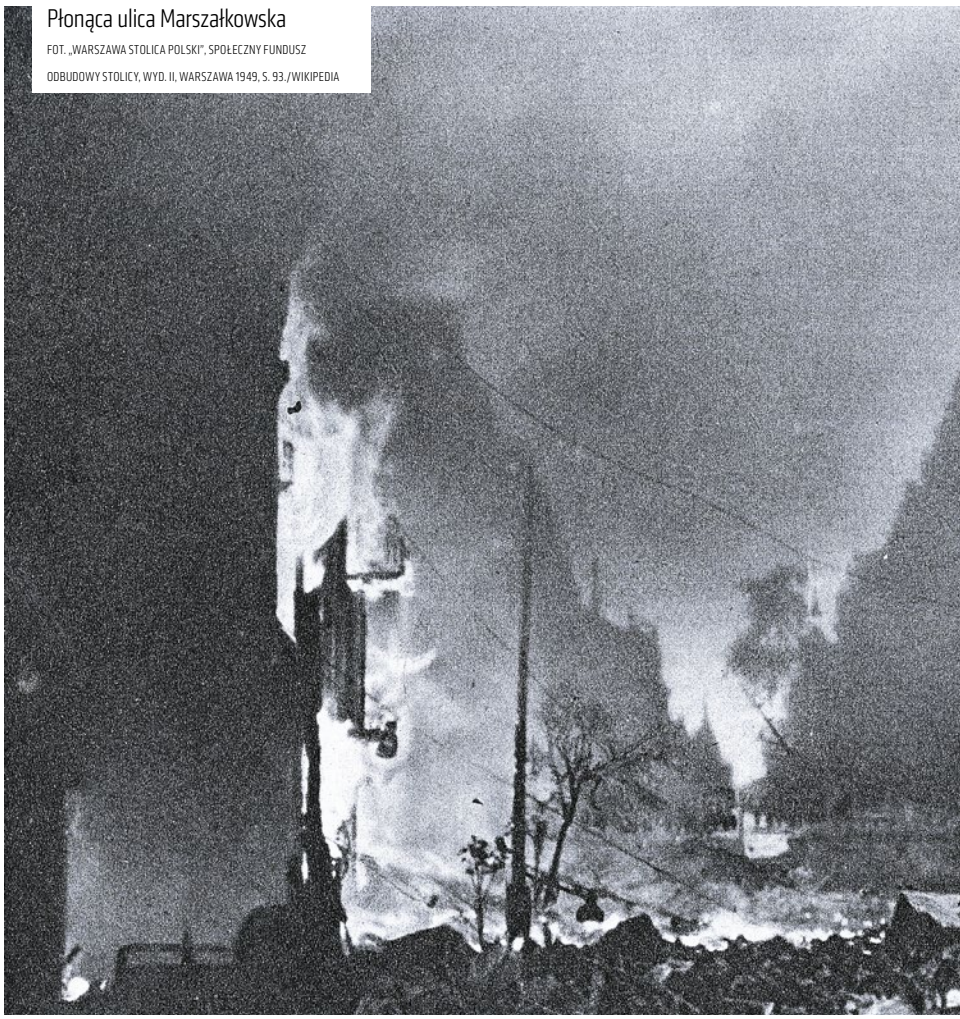
Decyzja o dołączeniu do powstania była u pani naturalnym odruchem?

Oczywiście, bo od dziecka byłam w harcerstwie. Tuż przed wybuchem powstania, kiedy wiadomo było, że w stolicy coś się będzie działo, już Rosjanie byli bardzo niedaleko, kolega zaprowadził mnie na dworzec i mówi: „Będzie gorąco. Uciekaj stąd, to może być ostatni pociąg do Tomaszowa". Odpowiedziałam mu: „Podjęłam decyzję i zostaję w stolicy. Jak będziecie się bili, to ja będę z wami". W święto Przemienienia Pańskiego złożyłam przysięgę. Powstanie zaczęło się, gdy byłam na pl. Grzybowskim. Wszędzie dokoła euforia. Polacy cieszą się, że wreszcie można machać naszymi flagami! Masa ludzi się radowała, ja też byłam wniebowzięta, że w końcu możemy zachowywać się tak, jak chcemy. Ale przecież nie wszyscy tak na to patrzyli.



Stołówka powstańcza w „Adrii" FOT. EUGENIUSZ LOKAJSKI/WIKIPEDIA

Przykładowo mój wuj z Warszawy był wściekły na powstańców. Przeprowadzał dezynsekcję i miał dużo pracy, właściwie nie mógł się opędzić od zamówień. I na-



Płonąca ulica Marszałkowska

FOT. „WARSZAWA STOLICA POLSKI", SPOŁECZNY FUNDUSZ ODBUDOWY STOLICY, WYD. II, WARSZAWA 1949, S. 93./WIKIPEDIA

eprasa.pl 374c0e181c

gle powstanie to wszystko zakończyło. Wściekał się, że „bandyci" rozwalili mu biznes. Uważał to za „politykę". Nic go nie obchodziło, najważniejszy był jego biznes... Tylko proszę mi nie zadawać jednego pytania, które tak często jest zadawane.

To znaczy?

Co ja w czasie powstania jadłam i gdzie ja spałam. Ja po prostu kompletnie tego nie kojarzę. Przez ten czas było tyle roboty do wykonania, że spanie i jedzenie przychodziło chyba automatycznie. Tak jak oddychanie. Jakoś to się po prostu odbywało. No chyba musiałam coś jeść i gdzieś spać w czasie powstania, skoro przeżyłam (śmiech). Pamiętam tyko „plujkę" i racuchy, które smażyłam już po upadku powstania.

Z Warszawy wyszła pani później niż inni powstańcy. Dlaczego?





Zofia Czekalska „Sosenka"
FOT. ARCHIWUM ZOFII CZEKALSKIEJ

Pod koniec powstania mój dowódca zdecydował, że lepiej będzie, jeżeli nie wyjdę z Warszawy z wojskiem, tylko powinnam pojechać razem z personelem medycznym. I dopisał mi w papierach jedno słowo: „sanitariuszka". I rzeczywiście wyjechałam z Warszawy razem z rannymi. Po kapitulacji Niemcy zgromadzili przy ul. Zielnej chorych ze szpitali. Teraz jest tu Pałac Kultury. Ja organizowałam leki i jedzenie. Chodziłam po domach, prosiłam, błagałam o jedzenie, trochę mąki, jakieś ziemniaki. Cokolwiek. Ranni musieli mieć co zjeść. Gotowałam dla nich różne papki, piekłam dla nich placki i racuchy.

Widziałam dramat, rezygnację pozostałych cywilów. Dwoje staruszków siedziało na swoich tobołkach w morzu ruin. Mówię do nich: „Wychodźcie z Warszawy razem z cywilami!". A oni na to: „Nigdzie nie idziemy, nasze dzieci tu zostały...". Niemcy na pewno ich zamordowali. Tak samo mój wuj, starszy człowiek, został w Warszawie. Powiedział, że nigdzie stąd nie wyjdzie, bo tu jest jego całe życie. I jego też na pewno Niemcy zamordowali, bo słuch o nim zaginął. Byłabym w stanie wymknąć się z Warszawy, ale nie mogłam zostawić mojego rannego Cześka. Musiałam się nim opiekować, nie darowałabym sobie, gdybym go zostawiła.

Byłam świadkiem, jak Niemcy chodzili od domu do domu i podpalali budynki. Wyszłam z rannymi z Warszawy 12 października. Nasmażyłam racuchów i tylko to jedliśmy przez trzy dni, jak nas potem Niemcy wieźli przez Łódź do obozu Zeithain w Rzeszy. A w obozie robiłam to samo – opiekowałam się rannymi. Takie sobie zadanie postawiłam i traktowałam to jako dalszy rozdział mojej służby. Przy okazji chciałbym podkreślić, że za mało się mówi o wkładzie lekarzy. Cały czas w opowieściach o powstaniu przewijają się sanitariuszki. One oczywiście zrobiły kawał dobrej roboty, ale byli też lekarze, którzy ratowali powstańców i sami też narażali swoje życie. To byli bohaterowie. U nas w obozie polscy lekarze dokonywali niemożliwego, lecząc powstańców w tragicznych warunkach.

Co się działo z pani rodziną w Tomaszowie?

Do rodziców dotarła wieść, że nie żyję. Podobno stałam na balkonie, gdy akurat rąbnął pocisk. Zginęłam na miejscu. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, co wtedy poczuli rodzice.

Jak długo myśleli, że stracili córkę?

Byli w żałobie aż do momentu, gdy napisałam do nich list z obozu. Niemcy dopiero pod koniec wojny pozwolili nam pisać listy. Ile było takich historii, gdy rodzina myślała, że ich bliski zginął, i nie dało się tego przez długi czas odkręcić, bo Niemcy nie pozwalali na kontakt? Mama zachowała ten list. Napisałam: „Jestem, żyję. Możecie przysłać mi paczkę do obozu". Matko jedyna, co to musiało być dla nich przeżycie. Mama nie mogła uwierzyć, że to prawda. W każdym razie dostałam paczkę.

Po wyzwoleniu Czesiek chciał jechać do Francji, bo nie widział przyszłości pod nową okupacją, ale ja powiedziałam, że to wykluczone. Absolutnie nie było takiej opcji. Ja musiałam wrócić do siebie, choćby nie wiem co. Byłam zahartowana i wiedziałam, że skoro przeżyłam okupację niemiecką i powstanie, to już ze wszystkim sobie w życiu poradzę.

Ciągnęło się za panią powstanie?

Ojciec zachował przytomność i kazał mi schować głęboko legitymację AK. Bał się o mnie, bo mój brat za podziemie wylądował we Wronkach. Pięć lat mu dali za robotę niepodległościową! Tak to komuniści „dziękowali" patriotom za walkę z Niemcami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Zofia Czekalska ps. Sosenka (ur. 1923 r.) w czasie Powstania Warszawskiego była łączniczką w zgrupowaniu Chrobry II.

eprasa.pl 374c0e181c



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

XX w. / Walka o prawa człowieka w ZSRS

Sowieccy dysydenci. Początki

eprasa.pl 374c0e181c



Mikołaj Iwanow

Grupa prawych intelektualistów postanowiła przeciwstawić się reżimowi. Część z nich trafiła do psychuszek

Duchowy przywódca ruchu dysydenckiego w Związku Sowieckim, laureat pokojowego Nobla, akademik Andriej Sacharow określił go jako „walkę o prawa człowieka". Często zjawisko to określano również jako „ruch obrońców praw człowieka", a jego uczestników nazywano obrońcami praw teoretycznie zagwarantowanych przez sowiecką konstytucję. W warunkach ówczesnego ZSRS jedynie podobne podejście do działalności opozycyjnej było w stanie wywołać stosunkowo tolerancyjną reakcję władz. Dysydentów potępiano, skazywano na stosunkowo łagodne wyroki, wysyłano z kraju, ale nie niszczono fizycznie jak za Stalina. Świadoma apolityczność ruchu dysydenckiego stanowiła pod tym względem jakby niepisaną umowę między dysydentami i władzami komunistycznymi.

Jeden z czołowych teoretyków dysydentyzmu Paweł Litwinow uważał za konieczne podkreślanie na każdym kroku „apolityczności" ruchu w obronie praw człowieka. Inny znany teoretyk Walery Czalidze rozpatrywał samoograniczenie opozycjonistów sowieckich jako zło konieczne, ale również niezbędny pierwszy krok do następnego etapu walki z reżimem – pełnej działalności politycznej.

Ruch dysydencki narodził się w latach 60. ubiegłego stulecia na fali Chruszczowowskiej destalinizacji, zwanej również „odwilżą". Terminem „dysydent" (łac. „niezgadzający się") określano zarówno neoleninowców, pragnących naprawy życia wewnętrznego partii, jak i monarchistów, socjalistów, ukraińskich, gruzińskich, ormiańskich, tatarskich i innych nacjonalistów. Dysydentami również byli przedstawiciele różnorodnych odłamów religijnego protestantyzmu i zakazanych religii, pacyfiści, faszyści, anarchiści i chrześcijańscy demokraci, przedstawiciele tzw. narodów ukaranych innych odłamów ówczesnej sowieckiej opozycji. Jednak nigdy ruch opozycyjny w ZSRS nie był zjawiskiem masowym, jak to się zdarzyło w Polsce w epoce Solidarności.

5 grudnia 1965 r.

Uważa się, że początkiem ostatniej fali sowieckiego dysydenctwa był protest na placu Puszkina w Moskwie przeciwko procesowi sądowemu dwóch pisarzy – Andrieja Siniawskiego i Julia Daniela – oskarżonych o bezprawne i szkodliwe dla ustroju sowieckiego publikacje za granicą własnych utworów literackich. Jak zwykle władze planowały urządzenie sprawnie spreparowanego procesu pokazowego z kajaniem się oskarżonych i ich prośbą o litość. Nie udało się. W wyniku twardej postawy na procesie samych oskarżonych, a także protestu dysydentów sowieckich i zachodnich obrońców praw człowieka sprawy nie udało się załatwić według wcześniej ustalonego scenariusza. Po raz pierwszy w historii powojennego ZSRS odbyła się w Moskwie manifestacja solidarności z Andriejem Siniawskim i Julijem Danielem. Przeprowadzono ją 5 grudnia 1965 r. Dzień został obrany przez głównego organizatora demonstracji Aleksandra Jesienina-Wolpina, bo był dniem wolnym od pracy,a zarazem Dniem Konstytucji, gwarantującej de iure prawo do wolności słowa, sumienia i innych demokratycznych praw.

Kilka dni przed demonstracją Jesienin-Wolpin i kilku jego zwolenników wystosowali apel do społeczeństwa sowieckiego: „W przeszłości samowola władz kosztowała życie i wolność milionów obywateli sowieckich. Krwawa przeszłość wzywa nas do czujności dziś. Lepiej ofiarować jeden dzień spokoju niż latami znosić następstwa nieopanowanego w tym czasie bezprawia". Udział w demonstracji wzięło kilkadziesiąt osób, a liczba sympatyków manifestujących, którzy przyszli na plac Puszkina, sięgała kilkuset. W ocenie Włodzimierza Bukowskiego, który w tym momencie znajdował się w areszcie, na placu było ok. 200 obrońców praw człowieka.

Jesienin-Wolpin i jego zwolennicy ledwo zdążyli wyciągnąć kilka plakatów, a już byli aresztowani. Tylko nieliczni zdążyli przeczytać napisy: „Szanujcie konstytucję sowiecką" i „Żądamy jawnego sądu w sprawie Siniawskiego i Daniela". Razem z Jesieninem aresztowano ok. 20 innych osób, których (o dziwo!) zwolniono po kilku godzinach, ale większość wkrótce straciła pracę, a protestujących studentów wyrzucono z uczelni i zakazano im studiowania.

Wydarzenia te stanowią bardzo ważną cezurę w historii sowieckiego



Rosyjskie wydawnictwa poza cenzurą – samizdaty FOT. WIKIPEDIA/NKRTIA

eprasa.pl 374c0e181c

ruchu dysydenckiego. Pomimo srogiego wyroku (siedem lat dla Siniawskiego i pięć dla Daniela) oskarżeni nie zostali złamani. Próbowali nawet bronić swego prawa do swobody twórczości, poszanowania swych praw konstytucyjnych, uznania wolności słowa za nieodzowny element każdego cywilizowanego społeczeństwa.

Rok 1965 stał się symbolem możliwości reformowania sowieckiego reżimu. Manifestacja na placu Puszkina złamała barierę strachu, zamanifestowała, że ludzie, którzy próbują rzucić wyzwanie totalitarnej władzy, nie są osamotnieni, że skończyły się czasy, kiedy każdy myślący inaczej był a priori skazany na surowe represje, samotne zniknięcie w stalinowskim GUŁagu. Sowieccy opozycjoniści przekonali się, że świat wie o nich i że we własnym kraju nie są osamotnieni. O demonstracji natychmiast poinformowały rozgłośnie zachodnie i codziennie nadawały sprawozdania z procesu.

Demonstracja miała jeszcze jeden znaczący aspekt. Poprzedziła ją odezwa do narodów ZSRS, podpisana przez Larisę Bogoraz i Pawła Litwinowa. Po raz pierwszy zwolennicy reform w ZSRS otwarcie zwracali się do współobywateli nie drogą samizdatu, a za pośrednictwem zachodnich środków masowego przekazu. Wkrótce podobna taktyka walki z reżimem stała się powszechnie używanym przez dysydentów narzędziem w obronie praw człowieka w Związku Sowieckim.

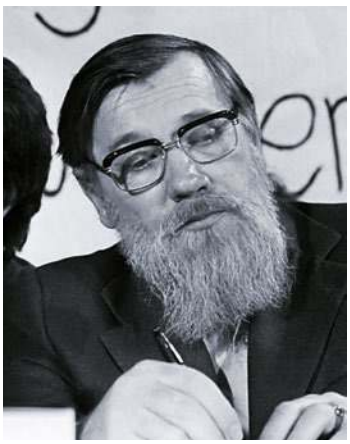
„Obywatele naszego kraju! – czytamy w tej odezwie. – Ten proces jest plamą na honorze naszego państwa, na sumieniu każdego z nas. Sami obraliście ten skład sądu i sami musicie odebrać pełnomocnictwa tym sędziom, którzy ich nadużyli… Przekazujemy tę odezwę zachodnim progresywnym środkom masowego przekazu i prosimy o jak najszybsze opublikowanie i nadanie przez radio. Nie zwracamy się z tą prośbą do gazet sowieckich, jest to beznadziejne".

Samizdaty

Konsekwencją wydarzeń z 1965 r. stała się sprawa tzw. samizdatczików, grupy dysydentów (Aleksandra Ginzburga, Jurija Gałanskowa, Aleksieja Dobrowolskiego i Wiery Łaszkowej), których w toku procesu w 1968 r. władze oskarżyły o wydanie „Białej księgi", poświęconej reakcji społeczeństwa sowieckiego na proces Siniawskiego oraz Daniela, i skazały na więzienie.

Protesty z 1968 r. w sprawie „samizdatczików" miały o wiele bardziej masowy i otwarty charakter. W dniu ogłoszenia wyroku przed budynkiem sądu zebrało się ponad 200 osób. Wśród protestujących byli już nie tylko bliscy znajomi oskarżonych, lecz także ludzie, dla których walka z reżimem stanowiła sens ich życia. Na trzy lata więzienia za ten protest zostali skazani Władimir Bukowski i Wiktor Chaustow.

Kluczową rolę w sowieckim ruchu dysydenckim odgrywało zjawisko samizdatu. Ludmiła Aleksiejewa określa go następująco: „Samizdat – zjawisko unikatowe, które już nigdy się nie powtórzy. Nie dlatego, że dzisiejsze czy jutrzejsze władze nigdy już nie będą chciały ograniczać dostępu społeczeństwa do informacji i ideom nieprzychylnym władzom, a dlatego, że w wieku Internetu zrobić to już [jest] niemożliwe".





Andriej Siniawski i Julij Daniel

FOT. WIKIPEDIA/NATIONAL ARCHIEF I WIKIPEDIA/SVOBODA.ORG

Sowiecki samizdat różnił się od polskiego drugiego obiegu. Po pierwsze, jego nakłady prawie nigdy nie sięgały polskiej skali. Maszyna do pisania była głównym narzędziem drukarskim sowieckich dysydentów. Powielacze były raczej rzadkością, a takie formy rozpowszechnienia informacji jak podziemne Radio Solidarność w sowieckich warunkach były po prostu niewyobrażalne. Szerokie rozpowszechnienie materiałów samizdatu było możliwe jedynie przez zachodnie rozgłośnie radiowe. Po drugie, samizdat był zjawiskiem bardziej elitarnym i bardziej różnorodnym. Na jego łamach neoleniniści często współistnieli ze skrajną prawicą. Po trzecie, o wiele bardziej rzadkie i sporadyczne były wypadki współpracy z emigracją polityczną. Represyjność reżimu sowieckiego była o wiele bardziej groźna i skuteczna.

Sowiecki samizdat miał w porównaniu z polskim drugim obiegiem o wiele mniejszy wpływ na społeczeństwo, jednak bez niego niemożliwa byłby konsolidacja opozycji wewnętrznej w ZSRS. Istotę samizdatu odzwierciedla taki ówczesny kawał: – Babciu, dlaczego przepisujesz „Wojnę i pokój" Tołstoja na maszynie? – Dla wnuczka się staram. On nic oprócz samizdatu nie czyta.

Bardzo ważną cezurą w historii sowieckiego ruchu dysydenckiego była demonstracja przeciwko najazdowi sowieckiemu na Czechosłowację, która miała miejsce na placu Czerwonym w Moskwie 25 sierpnia 1968 r. Był to wyraz protestu przeciwko totalnemu zakłamaniu towarzyszącemu inwazji oraz tego, że wbrew twierdzeniom oficjalnej propagandy społeczeństwo sowieckie było dalece niejednomyślne w sprawie tzw. pomocy internacjonalistycznej Czechom i Słowakom.

Natalia Gorbaniewska, Paweł Litwinow, Larisa Bogoraz, Wadim Delone, Konstanty Babicki i Wiktor Fajnberg w oczekiwaniu na wyjazd z Kremla przymusowo ściągniętej do Moskwy czechosłowackiej delegacji rozwinęli plakaty: „Hańba okupantom", „Ręce precz od CSRS", „Za naszą i waszą wolność" i „Niech żyje wolna i niepodległa Czechosłowacja" (napisany po czesku). Funkcjonariusze KGB zareagowali natychmiast. Protestujących bito, wyrwano im i zniszczono plakaty, następnie załadowano ich do samochodów i wywieziono. O demonstracji jednak już następnego dnia dowiedziało się społeczeństwo sowieckie.

eprasa.pl 374c0e181c

Dzięki rozgłośniom zachodnim ten akt solidarności z Czechami i ze Słowakami stał się też powszechnie znany w Czechosłowacji. Stanowiło to zachętę do dalszych protestów. Ludmiła Aleksiejewa (w „Historia myślenia inaczej w ZSRR") podaje kilkanaście takich przypadków.

„Kronika Wydarzeń Bieżących"

Pod koniec lat 60. pojawił się czynnik, który odgrywał centralizującą rolę w ruchu. Była to „Kronika Wydarzeń Bieżących", ogólnozwiązkowy opozycyjny biuletyn, którego pierwszy numer wyszedł 30 kwietnia 1968 r. Na jego stronie tytułowej zamieszczono cytat z Powszechnej deklaracji praw człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych o tym, że prawo otrzymywania i rozpowszechniania informacji jest nieodzownym prawem każdego człowieka.

Pierwszym redaktorem biuletynu była Natalia Gorbaniewska. W pewnym sensie „Kronika..." nie była publikacją nielegalną. Jej autorzy nigdy nie pozwolili sobie na nawoływanie do obalenia władzy sowieckiej. Zamieszczane tam materiały to były przeważnie informacje o represjach władz przeciwko dysydentom, dokumenty sądowe, wiadomości z więzień i łagrów, zapowiedzi wydawnictw drugoobiegowych. Była podzielona na dwie części: pierwsza opisywała wydarzenia, które zarejestrowano po wydaniu poprzedniego numeru, druga składała się ze stałych rubryk. Były to: areszty, przeszukania, przesłuchiwania, pozasądowe represje w łagrach i więzieniach, nowości samizdatu, prześladowania Tatarów krymskich, represje na Ukrainie, prześladowania wierzących na Litwie i inne.

Władzom zależało na podtrzymaniu opinii, że w ZSRS nadal prowadzi się politykę odprężenia po okresie stalinowskim. „Kronika..." ukazywała się z niewielkimi przerwami dwa razy na miesiąc do końca 1972 r., kiedy to władze po aresztowaniu Natalii Gorbaniewskiej i skazaniu jej na przymusowe leczenie w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym zmusiły redakcję pod groźbą represji do chwilowego zaprzestania druku.



Natalia Gorbaniewska
FOT. FORUM/RADOSŁAW NAWROCKI

Dla przeciwników reżimu „Kronika..." stała się ogólną sprawą całego ruchu dysydenckiego, filarem, wokół którego jednoczył się ruch opozycyjny wszystkich możliwych kierunków. Credo redakcji odpowiadało i nacjonalistom, i monarchistom, i socjalistom, a nawet neoleninowcom. W wydawaniu „Kroniki..." brali udział znani sowieccy dysydenci: Jurij Szychanowicz, Wiktor Krasin, Siergiej Kowalew, Ilja i Galina Gabaj, Piotr Jakir, Gabriel Superfin, Aleksandr Lawut, Tatiana Welikanowa i inni. Większość z nich za swoją działalność musiała zapłacić wolnością. Po aresztowaniu Gorbaniewskiej redaktorem naczelnym został Anatolij Jakobson.

W roku 1972 represje zatrzymały wydawanie „Kroniki..." prawie na dwa lata. Jednak zwycięstwo KGB w walce z opozycją było iluzoryczne. W maju 1974 r. na specjalnej konferencji prasowej grupa wydawców postanowiła ujawnić swoje nazwiska i oficjalnie przekazać zachodnim dziennikarzom trzy kolejne gotowe numery „Kroniki Wydarzeń Bieżących".

Siergiej Kowalow, Tatiana Welikanowa i Tatiana Chodorowicz wystąpili ze specjalnym oświadczeniem: „Wbrew wielokrotnym stwierdzeniom organów KGB i sądów sowieckich nie uważamy »Kroniki Wydarzeń Bieżących« za wydawnictwo nielegalne i oszczercze. Naszym obowiązkiem jest jej jak najszersze rozpowszechnienie". Było to otwarte wyzwanie władz, akt cywilnej odwagi najwyższej próby.

Wbrew oszczerczym twierdzeniom władz wydawcy kroniki wykorzystywali bardzo prosty, ale skuteczny mechanizm zdobywania informacji. W piątym numerze czytamy: „Kronika w żadnym wypadku nie jest wydawnictwem nielegalnym. Jednak warunki pracy jej redakcji w specyficznej sytuacji w dziedzinie legalności i wolności słowa, ukształtowanej w ciągu długich lat pracy sowieckich organów państwowych, powodowały, że »Kronika...« nie była w stanie podać adresu pocztowego, tak jak było to w innych gazetach. Niemniej każdy, kto był zainteresowany tym, aby społeczeństwo sowieckie zostało poinformowane o wydarzeniach bieżących w kraju, mógł z łatwością przekazać posiadaną informację do wiadomości »Kroniki...«. Ten, od kogo otrzymaliście »Kronikę...«, opowie ją temu, od kogo on otrzymał magazyn itd. Nie próbujcie osobiście prześledzić całego łańcucha, aby nie wzięto was za szpicla".

W okresie od maja 1973 r. do października 1983 r. wyszło 35 numerów „Kroniki...", ale z roku na rok jej redagowanie i rozpowszechnienie napotykało nowe trudności. Władze postawiły sobie za cel ostateczne zdławienie ruchu dysydenckiego.

Powstanie polskiej Solidarności i stan wojenny w PRL miał wyraźny wpływ na usztywnienie kursu władz. Ostatni wydany i rozpowszechniony 64. numer „Kroniki..." datuje się na czerwiec 1982 r., następny przygotowano dopiero jesienią 1983 r. Nie trafił on jednak ani do samizdatu, ani za granicę. Został przechowany przez jednego z redaktorów i dziś jest dostępny w archiwum organizacji rosyjskich obrońców praw człowieka Memoriał.

Sowiecki ruch dysydencki, mimo swych wyraźnie ograniczonych celów, braku szerokiego poparcia społecznego i bezsilności wobec potęgi władz, odegrał swą historyczną rolę. Walka garstki odważnych ludzi założyła podstawy dla pieriestrojki, która rozpoczęła się zaledwie trzy lata po tym, jak się wydawało, że KGB na zawsze zniszczyło ruch obrońców praw człowieka.

Słowa prawdy, które w ZSRS należały, jak się wydawało, do wyłącznej domeny dysydentów, wkrótce podchwyciły szerokie masy społeczne, w tym wielu ludzi należących do partii komunistycznej. Jak się niestety okazało, triumf demokracji w przeważającej części Związku Sowieckiego okazał się krótkotrwały. Dziś putinowska Rosja znów stała się zagrożeniem dla świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 374c0e181c

Portugalia / Niesamowita historia Fernanda Pessoi

Dyktatura i Coca-Cola



José de Almada Negreiros „Portet Fernanda Pessoi" FOT. CASA FERNANDO PESSOA

eprasa.pl 374c0e181c



Piotr Kosmala

„Najpierw zachwyca, potem nasyca” – ten slogan reklamowy oburzył portugalski reżim. Coca-colę zablokował sam António Salazar



Mijając codziennie billboardy ze sloganami reklamowymi, często najdziwaczniejszymi i uwłaczającymi inteligencji odbiorcy, zwykle nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele wysiłków różnych ludzi poprzedziło ich opublikowanie. A przede wszystkim, kim są ci ludzie i kto faktycznie stoi za hasłem, które później zgodnie powtarza cały kraj.

Na początku lat 30. „Kurier Lwowski” opisał historię przebywającego nad Wisłą francuskiego reportera, dla którego „Polska widziana z okna wagonu to kraj malowniczy”: „Budynki stacji kolejowych bardzo schludne i ładne, otoczone kwiatami i krzewami. Tylko jedna rzecz mnie zastanowiła. Prawie wszystkie te stacje noszą tę samą, bardzo trudną do wymówienia nazwę: »Cukier krzepi«. Przynajmniej 80 procent miejscowości w Polsce tak się nazywa”. Francuz miał na myśli oczywiście wszechobecną reklamę Związku Cukrowników, której autorem był Melchior Wańkowicz, wówczas dopiero zaczynający swoją przygodę ze słowem pisanym. Zachwycony, że można dostać tyle pieniędzy za zaledwie dwa słowa...



Hasło reklamowe coca-coli wymyśliła Agnieszka Osiecka

FOT. PEWEX.PL

Pisarze na froncie (reklamy)

Wańkowicz oczywiście nie był ani pierwszy, ani ostatni. Ze światem reklamy związani byli pisarzy tak wielkiej klasy, jak Mark Twain (pióra wieczne, tytoń), Gabriele d'Annunzio (samochody i fortepiany), Ernest Hemingway (piwo), Kurt Vonnegut (karty kredytowe) czy Frederick Forsyth (zegarki). Znany z konfabulacji Jerzy Kosiński chwalił się, że gdy przechodził obok nowojorskiego biura linii lotniczych Swiss Air, wpadł mu do głowy rymowany slogan: „Swiss Air Will Take You There”, który ponoć natychmiast został zaakceptowany. Z kolei dla polskich linii lotniczych LOT wymyślił hasło ten sam Melchior Wańkowicz, tylko było to 40 lat później, bo już w latach 70. Spośród kilku tysięcy propozycji wybrano właśnie jego „»Lotem« blisko” (ewentualnie „»Lotem« bliżej”).

Ciekawie działo się też w przypadku koncernu Coca-Cola, i to przynajmniej z dwóch powodów. Pierwszy z nich to ekspansja nowego napoju w krajach, w których dotychczas nie był dystrybuowany, a przynajmniej pozostawał trudno osiągalny. W PRL dostępna początkowo tylko za dewizy w sklepach Baltona i Pewex (choć przed wojną serwowano ją w eleganckiej Adrii), dopiero w latach 70. coca-cola trafiła do szerszej dystrybucji. Trudno się zresztą dziwić, skoro wcześniej jej obraz kreowali wyłącznie komunistyczni twórcy, tacy jak Adam Ważyk („Po coca-cola błogo, różowo, / Za parę centów amerykańskich, / Śniliście naszą śmierć atomową, / Pięć kontynentów amerykańskich...”) czy Jan Brzechwa („Chwal się gumą do żucia, chwal się coca-colą, / Niektórzy coca-colę od wolności wolą...”). Tymczasem w 1982 r. konkurs na slogan reklamowy napoju wygrała Agnieszka Osiecka z używanym później przez wiele lat hasłem: „Coca-cola. To jest to!”.

eprasa.pl 374c0e181c



Poeta i prozaik Fernando Pessoa był autorem hasła: „Najpierw zachwyca, potem nasyca”

FOT. WIKIPEDIA

Drugi interesujący asumpt to niespodziewane skutki poetyckiej kreatywności, czyli historia, która wiąże się z Portugalią i jej najbardziej znanym XX-wiecznym pisarzem, Fernandem Pessoą.

Ditadura Nacional vs. Coca-Cola

Niedawno w Portugalii pokazano film „Como Fernando Pessoa Salvou Portugal” („Jak Fernando Pessoa uratował Portugalię”) w reżyserii Eugène'a Greena. Obraz – oczywiście w charakterystyczny dla twórcy ironiczny sposób – przypomniał historię sloganu, na którym miała się oprzeć pierwsza kampania reklamowa amerykańskiego napoju coca-cola w Portugalii. Koncern zwrócił się z propozycją jej przygotowania do firmy, w której pracował Fernando Pessoa. Dalej jest już jazda bez trzymanki, trafiamy bowiem w sam środek reżimu Antónia Salazara, słodki napój porównywany jest z alkoholem, w USA panuje wówczas prohibicja, wszystko, co stamtąd pochodzi, przyjmowane jest ze sceptycyzmem, Ditadura Nacional sytuuje sprawę coca-coli na styku polityki i religii. W efekcie otrzymujemy minimalistyczny komediodramat, przepełniony duchem absurdu, poetyki Pessoi i saudade – rodzaju portugalskiej melancholii – a widz staje się świadkiem najdziwniejszej chyba w historii kina sceny egzorcyzmu...



REŻ. EUGÈNE GREEN
„COMO FERNANDO PESSOA SALVOU”
PORTUGAL
2018

Tyle film, a jak było naprawdę?

Amerykański koncern Coca-Cola rozpoczął szerszą ekspansję międzynarodową pod koniec lat 20. XX stulecia – po tym, jak w 1919 r. wszedł na giełdę. W pierwszej kolejności napój trafił do francuskich rozlewni. W Portugalii zwrócono się do lizbońskiej firmy eksportującej amerykańskie produkty, w której pracował jako skromny urzędnik Fernando Pessoa, zajmujący się korespondencją handlową.

Praca biurowa

Przyszły symbol dumnej Portugalii, a wówczas nieśmiały poeta, żył głównie ze znajomości języka angielskiego. Dorastając w Durbanie w Afryce Południowej, dokąd jego owdowiała matka przeprowadziła się z ojczymem, Fernando Pessoa odebrał dobre brytyjskie wykształcenie. W efekcie świetnie mówił i pisał po angielsku, wykorzystując te kompetencje w działalności handlowej i jako tłumacz. Imał się zresztą różnych zajęć, zakładając rozmaite przedsiębiorstwa (np. typograficzne) i przygotowując publikacje do druku, także anglojęzyczne.

Biografowie obliczyli, że w ciągu całego życia opracowywał korespondencję handlową w 29 biurach. Najważniejszym z nich wydaje się Casa de Moutinho de Almeida & Cia, w którym pracował aż do śmierci w 1935 r. To tam w swoim kantorku zostawał po godzinach, przepisując na maszynie wiersze i opowiadania. Tam też dostał w 1928 r. zlecenie na przygotowanie sloganu reklamowego coca-coli.

Ci higieniści

Wymyślona przez poetę gra słów brzmiała: „Primeiro estranha-se. Depois entranha-se”, co w wolnym tłumaczeniu mogłoby oznaczać: „Najpierw zachwyca, potem nasyca”. Początkowo zaakceptowane hasło okazało się trudne do przyjęcia przez czynniki rządowe. Jak wyjaśnia Wojciech Charchalis, tłumacz m.in. Pessoi, kampania reklamowa i jej przedmiot wzbudziły potężny sprzeciw prof. Ricarda Jorgego, higienisty i szefa Instituto Central de Higiene. Sam poetycki slogan miał jakoby nawiązywać do substancji odurzających, co w powią-

eprasa.pl 374c0e181c



Kadr z filmu „Jak Fernando Pessoa uratował Portugalię"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

zaniu ze składnikiem napoju w postaci pochodnych liści koki oraz generalną nieufnością względem USA doprowadziło do prewencyjnego wstrzymania eksportu coca-coli, ponoć miała to być decyzja samego Antónia Salazara.

Bez znaczenia, czy była to bardziej kwestia pochodzenia i składu nowego nieznanego napoju czy też może raczej słów użytych przez młodego poetę – całą zawartość lizbońskich magazynów skonfiskowano, a następnie wylano do Tagu. Coca-cola miała powrócić do Portugalii dopiero po „rewolucji goździków", czego Pessoa już niestety nie doczekał.

Mistyczny i racjonalny

Co ciekawe, będąc niejako w tej sytuacji ofiarą salazaryzmu, w kolejnych latach stał się jednym z czołowych pisarzy ówczesnej Portugalii, a „Wyznanie" z 1934 r., nagrodzone przez państwowy Sekretariat Propagandy Narodowej, uznaje się za najwybitniejszy przejaw nurtów luzytanizmu i neosebastianizmu, związanych z odrodzeniem mitów

Hasło, które ułożył poeta: „Najpierw zachwyca, potem nasyca", okazało się trudne do przyjęcia… dla rządu

portugalskich, opartych na konkwiście i odkryciach geograficznych. „Mistyczny nacjonalista, racjonalny sebastianista" uznawał ustrój monarchiczny za najbardziej właściwy dla państwa tradycji imperialnych, jak Portugalia, lecz równocześnie za niemożliwy do przywrócenia współcześnie (stąd poparcie dyktatury wojskowej po przewrocie w 1926 r.).

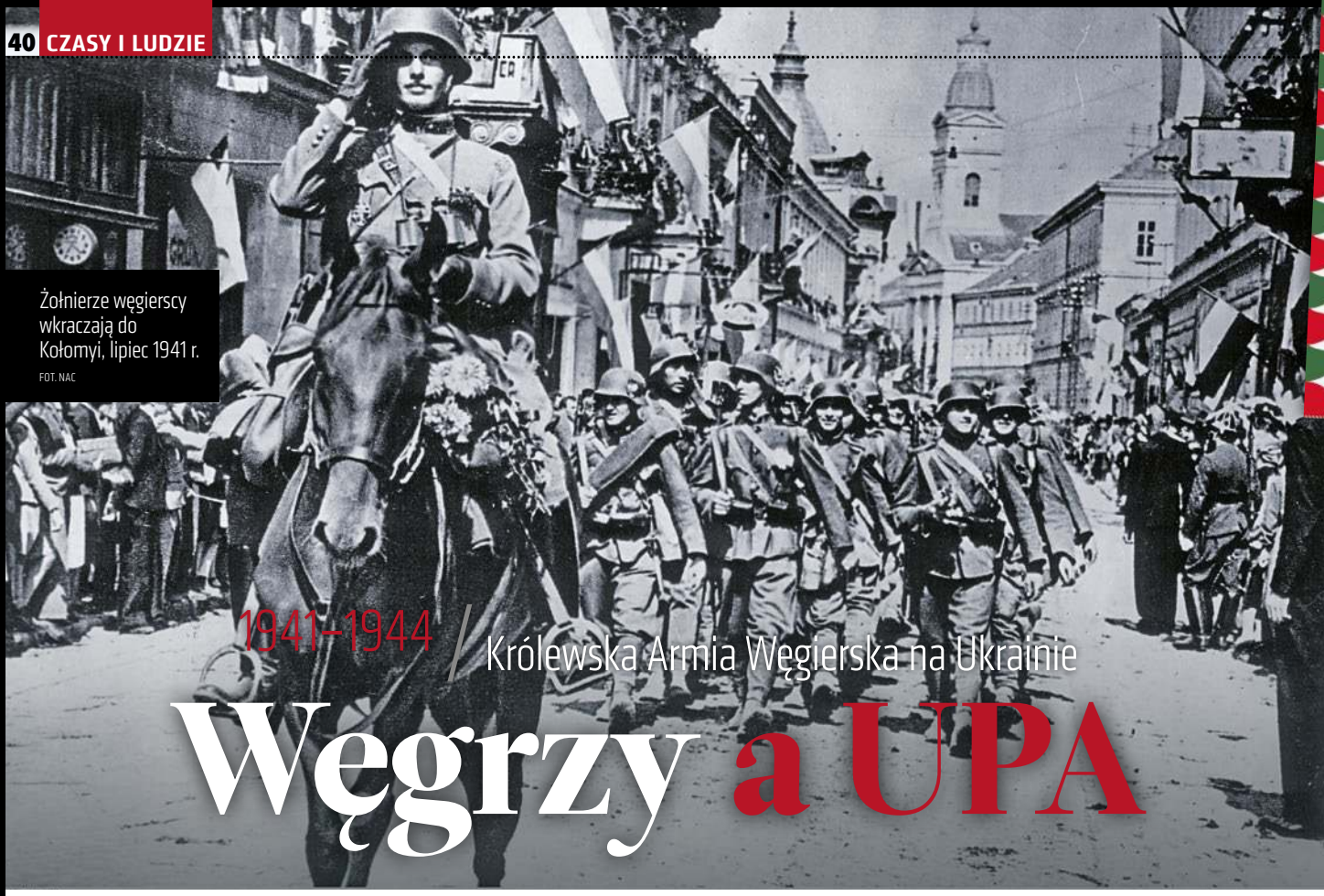
Nie oznaczało to bynajmniej przesadnego politycznego zaangażowania „samotnika z Lizbony" (nazywanego tak ze względu na specyficzny tryb życia). Jacek Bartyzel zwraca uwagę, że można tu raczej mówić o pogardzie dla tzw. zaangażowania, a sam Pessoa jednemu ze swoich heteronimów (fikcyjnych alter ego autora, wyrażających różne strony jego złożonej osobowości) włożył w usta stwierdzenie następujące: „Stan najgodniejszy dla istoty wyższej to nie wiedzieć, kto jest szefem rządu jej kraju; nie wiedzieć, czy żyje w monarchii czy w republice". Tego samego Pessoę stać było jednak na znacznie radykalniejsze wyznanie, które z pewnością mogło się utrwalić czytelnikom nieodżałowanego „Stańczyka": „Być rewolucjonistą to służyć wrogowi. Być liberałem to nienawidzić ojczyzny. Współczesna demokracja to orgia zdrajców".

Dziś coca-colę można kupić w każdym sklepie i barze Lizbony, a Fernando Pessoa stał się wizytówką tego pięknego miasta, gdzie dziś stawia się mu pomniki i gdzie otworzono kameralne muzeum jego imienia – Casa Fernando Pessoa. Koszulki i plakaty ze sklepów dla turystów przypominają także tamten zapomniany nieco slogan z 1928 r., do którego co prawda Coca-Cola nigdy już nie wróciła, ale który wciąż pozostaje najbardziej poetycką reklamą najmniej poetyckiego z napoi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem m.in. z książki Jacka Bartyzela „Umierać, ale powoli! O monarchistycznej i katolickiej kontrrewolucji w krajach romańskich 1815–2000" (Kraków 2006) oraz z nowych wydań utworów Fernanda Pessoi (i jego heteronimów) w tłumaczeniu Wojciecha Charchalisa.

eprasa.pl 374c0e181c



Żołnierze węgierscy wkraczają do Kołomyi, lipiec 1941 r.
FOT. NAC

1941–1944 / Królewska Armia Węgierska na Ukrainie

Węgrzy a UPA



Arkadiusz Karbowiak

Honwedzi starali się pomóc Polakom. Choć prowadzili rozmowy z UPA – to bronili polskich wiosek

W rozpoczętej 22 czerwca 1941 r. wojnie niemiecko-sowieckiej obok oddziałów Wehrmachtu wzięły także udział armie sojusznicze Włoch, Rumunii, Finlandii, Słowacji oraz Węgier. Żołnierze „Grupy Karpackiej" Magyar Királyi Honvédség (Królewskiej Armii Węgierskiej) znaleźli się na południowym odcinku frontu wschodniego. Już 4 lipca 1941 r. zajęli Kołomyję, a dzień wcześniej wkroczyli do opanowanego już przez bojówki OUN-B Stanisławowa.

W okolicach Kołomyi doszło nawet do przypadkowego starcia pomiędzy 500-osobowym oddziałem ounowskich powstańców, dowodzonym przez M. Charkewycza „Stepana" a węgierską jednostką wojskową. Podczas wymiany ognia zginęło czterech Węgrów, a kilku wzięto do niewoli. Dopiero wówczas ounowcy zorientowali się, że ich przeciwnikami nie byli czerwonoarmiści, jak przypuszczali, ale honwedzi. Jeńców zwolniono, a incydent został załagodzony. Zabitych zarówno po węgierskiej, jak i ukraińskiej stronie uroczyście pochowano z należytym ceremoniałem wojskowym.

6 lipca 1941 r. w mieście doszło do spotkania pomiędzy dowódcą LII Korpusu Armijnego gen. Kurtem von Brisenem i przedstawicielami armii węgierskiej a ukraińskimi władzami miasta i kierownictwem okręgowej struktury OUN-B. Rozmowy niczego konkretnego nie przyniosły, poza ogólnymi stwierdzeniami reprezentanta Wehrmachtu, że traktuje Ukraińców jako sojuszników w walce z bolszewikami. Natomiast dowódca 1. Brygady Zmotoryzowanej gen. Jenö Major tuż po spotkaniu wygłosił z balkonu kołomyjskiego ratusza uroczyste przemówienie skierowane do miejscowej ludności, które zakończył słowami „Sława Ukrainie", co wywołało wśród słuchaczy nieskrywany entuzjazm.

Dla działaczy OUN-B pojawienie się wojsk węgierskich w dawnym województwie stanisławowskim było pewnym problemem. Zaistniała sytuacja zmuszała ich bowiem do ustanowienia z nowymi włodarzami w miarę poprawnych relacji, co nie było łatwe, choćby ze względu na pamięć o zlikwidowanej przez Węgrów niepodległej Ukrainie Zakarpackiej i brutalnych represjach podejmowanych wobec jej obrońców, żołnierzy Siczy Karpackiej. Nie może więc dziwić to, że Węgrów w propagandzie OUN-B przedstawiano jako głównych wrogów samostijnej Ukrainy. Jednak w powstałych okolicznościach to ich postrzeganie, przynajmniej w sferze oficjalnej, musiało ulec pewnej zmianie. Ostatecznie, w związku ze współpracą z III Rzeszą, Madziarów uznano za „sojusznika naszych sojuszników". Jednak pamięć o tragicznej przeszłości, pomimo rozlicznych deklaracji o potrzebie współdziałania, nie pozwoliła Ukraińcom całkowicie wyzbyć się nieufności i podejrzliwości,

eprasa.pl 374c0e181c



dlatego struktury OUN-B zajęły stanowisko wyczekujące, obserwując zachowanie węgierskich okupantów.

Konflikt na Wołyniu

W połowie lipca 1941 r. uległ pewnej ewolucji początkowo pozytywny stosunek Węgrów do Ukraińców. Wpływ na tę reorientację miało słuszne skądinąd przekonanie, że tworzenie ukraińskich struktur administracyjno-policyjnych odbywa się nie w porozumieniu z władzami niemieckimi, ale wbrew nim. Stąd w miastach i miasteczkach pojawiły obwieszczenia nakazujące ukraińskiej milicji złożenie broni i samorozwiązanie. Podobnie rzecz wyglądała z aparatem administracyjnym, choć starano go sobie raczej podporządkować niż całkowicie zlikwidować. W incydentalnych przypadkach wykazujący tradycyjnie propolskie sympatie Węgrzy władzę w miasteczkach przekazywali Polakom. Tak było w Borszowie, gdzie – jak stwierdzał raport jednego z działaczy OUN-B – przeszła ona w ręce „Polaków i Żydów". Czasami zdarzało, że Madziarzy sięgali w stosunku do Ukraińców po bardzo radykalne środki represji. Przypadek taki miał miejsce w Horodence. W tej miejscowości 30 lipca 1941 r. żołnierze królewscy wkroczyli do siedziby tamtejszej Ukraińskiej Milicji Ludowej i aresztowali, a 2 sierpnia rozstrzelali komendanta posterunku Petra Waskuła.

Napięte relacje pomiędzy Węgrami a ukraińskim podziemiem narodowym pogłębiły się wiosną 1943 r., co było konsekwencją wywołanej przez UPA rebelii na Wołyniu. Na terenach nią objętych stacjonowały oddziały węgierskie podlegające Dowództwu Węgierskiej Armii Okupacyjnej, a konkretnie VII Korpusowi Armijnemu dowodzonemu przez gen. Ernö Gyimesyego, a następnie gen. Istvána Kissa. W jego składzie znajdowały się lekkie dywizje piechoty – 18., 25., 121. i 124. Na terenie Generalnego Okręgu Wołyń-Podole Węgrzy zostali rozmieszczeni wzdłuż szlaków komunikacyjnych Lwów – Kijów i Kowel – Kijów. Ich zadaniem była ochrona linii kolejowych, drogowych, obiektów gospodarczych oraz zwalczanie oddziałów sowieckiej, polskiej i ukraińskiej partyzantki. Na Wołyniu rozlokowana była 124. Lekka Dywizja Piechoty.

Aktywizacja działalności partyzantki ukraińskiej spowodowała, że węgierskie pododdziały stały się celami ataków Ukraińskiej Powstańczej Armii. Do pierwszych starć doszło już w marcu 1943 r. Na początku tego miesiąca oddział UPA Hordyja Wrotnowskiego „Hordyjenki" podczas przemarszu w pobliżu dworca kolejowego w miejscowości Ożenin został ostrzelany przez ochraniającą go załogę węgierską. Inna sotnia dowodzona przez „Bursaka" (NN) rozbroiła 60 Węgrów z ochrony mostu kolejowego w miejscowości Sytne. 19 kwietnia 1943 r. pod wsią Buderaż starła się z kompanią honwedów wspartych przez Niemców sotnia UPA Ewhena Basiuka „Czarnomorca". Zginęło siedmiu upowców, a dwóch odniosło rany.

Wraz z rozpoczęciem przez UPA akcji depolonizacyjnej węgierskie punkty oparcia czy garnizony stały się miejscem schronienia dla uciekających przed rzezią Polaków. Taką rolę odgrywał m.in. węgierski posterunek kolejowy w Sitarówce. W trakcie odpierania jednego z ataków UPA na tę miejscowość poległ jeden z żołnierzy węgierskich. Podobną enklawą bezpieczeństwa był Wiśniowiec, gdzie stacjonował garnizon niemiecko-węgierski. Reagując na ataki UPA i mordy dokonywane na Polakach, Węgrzy nie cofali się przed pacyfikacjami wsi ukraińskich. W trakcie operacji antypartyzanckich spalono Marianówkę, Stepanówkę, Iwaczkiw i Bilaszów. W tej ostatniej wsi zabito sześciu Ukraińców i spalono 62 gospodarstwa.

Rozmowy w Koniuszkach

Jednak UPA, tocząc w drugiej połowie 1943 r. zacięte walki z Niemcami, Sowietami, AK i polskimi samoobronami, dążąc do zmniejszenia liczby formacji walczących z ukraińską partyzantką oraz licząc na możliwość pozyskania broni i amunicji, zdecydowała się podjąć próby zneutralizowania Węgrów. W powiecie zdołbunowskim wydano specjalną ulotkę skierowaną do żołnierzy węgierskich, w której apelowano, by nie brali wspólnie z Niemcami udziału w grabieży Ukrainy oraz nie uczestniczyli w walkach z Ukraińską Powstańczą Armią. Nawoływano też do stworzenia wspólnego frontu



Żołnierze węgierscy na ziemiach ukraińskich FOT.DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 374c0e181c



Sowieccy żołnierze poddający się Węgrom FOT. GETTY IMAGES

walki przeciw Niemcom i bolszewikom. Ulotka kończyła się słowami: „Wyciągamy do was przyjazną dłoń. Przyjmijcie ją".

W drugiej połowie sierpnia 1943 r. Iwan Kłymyszyn „Kruk", dowódca prowadzącego aktywną działalność krzemienieckiego kurenia UPA, otrzymał od dowódcy garnizonu węgierskiego w Dubnie list z prośbą o rozejm. O tym fakcie „Kruk" poinformował szefa oddziału wywiadowczego okręgu WO „Bohun" (okręg wojskowy „Bohun" obejmował obszar krzemienieckiego i równieńskiego obwodu) Andrija Dolnyćkiego „Nemo". Ten wydał polecenie „Krukowi" odbycia spotkania z Węgrami. Jednak interlokutor kurinnego chciał rozmawiać tylko z wyższym rangą oficerem miejscowego sztabu UPA. Na kolejne rozmowy w Koniuszkach udał się zastępca „Hołubenki" (drugi pseudonim Dolnyćkiego) Koreniuk „Palij". Na początku września wziął w nich udział także „Nemo". Rozmówcami Ukraińców byli trzej oficerowie oddziału 1-B (wywiad i kontrwywiad) sztabu najprawdopodobniej 24. Dywizji Piechoty (w literaturze podawana jest jako 124. Dywizja Piechoty, choć od 1942 r. była to 124. Lekka Dywizja Piechoty, która została 10 sierpnia 1943 r. przekształcona w 24. DP).

Na początku rozmów strony uznały, że zbrojna konfrontacja nie leży w ich interesie. Węgrzy w czasie negocjacji zobowiązali się nie brać udziału samodzielnie lub wspólnie z Niemcami w akcjach przeciw UPA, nie dokonywać aresztowań członków siatki cywilnej OUN-B, nie represjonować ukraińskich mieszkańców wsi i nie dokonywać w nich rekwizycji. W zamian domagano się, by UPA zaprzestała ataków na linie telefoniczne i kolejowe, bo te znajdowały się pod nadzorem armii królewskiej. Ukraińcy zgodzili się nie atakować tylko tych znajdujących się w pobliżu węgierskich placówek. Zadeklarowano jednocześnie zaprzestanie atakowania garnizonów, gdzie stacjonowali Madziarzy, oraz wojskowych patroli.

Zawarta umowa miała charakter lokalny i dotyczyła tylko obszaru działania 24. Dywizji Piechoty. Dowódca WO „Bohun" Petro Olijnyk „Enej" pozytywnie ocenił porozumienie. Podobny pogląd wyraziło także dowództwo wołyńskiej UPA z Dmytrem Klaczkiwśkim „Kłymem Sawurem" na czele. 8 października 1943 r. „Enej" wydał rozkaz nr 21 wstrzymujący wszelkie działania zbrojne przeciwko jednostkom armii węgierskiej. Podobny rozkaz, choć rozszerzony o zakaz atakowania oddziałów rumuńskich, słowackich i łotewskich, wydał 28 października 1943 r. „Kłym Sawur". Analogicznie polecenia przekazał swym podwładnym w grudniu, podczas narady sztabowej odbytej w miejscowości Piaski, dowódca 19. Dywizji Rezerwowej (naukowcy polscy i ukraińscy podają, że dywizja nosiła numer 25, i rzeczywiście tak było do 10 sierpnia 1943 r., a więc w chwili zmiany numeracji na 19), gen. Imre Kálman, który przypomniał o konieczności nieprowokowania starć z ukraińską partyzantką. Wyrazem dążeń do pogłębienia i poszerzenia dotychczasowych kontaktów była wizyta delegacji węgierskiej z płk. Francem Mertonem, goszczącej pomiędzy grudniem a styczniem w sztabie WO „Bohun". Węgrzy zostali wówczas przyjęci przez zastępcę dowódcy UPA-Północ Rostysława Wołoszyna „Pawlenkę".

Wizyta w Budapeszcie

Wcześniej, w końcu października, na stacji w Mirochoszczy reprezentanci UPA – „Nemo", „Palij" i Omelian Lohusz „Iwaniw" – spotkali się z czteroosobową grupą węgierskich oficerów, na której czele stał ppłk Jenő Padányi, szef wydziału 1-B sztabu VII Korpusu Armijnego. Efektem negocjacji była węgierska propozycja ich kontynuowania na wyższym szczeblu w Budapeszcie. Mykoła Łebed „Ruban", szef referatu spraw zagranicznych działającego przy CP OUN-B, do stolicy Węgier wydelegował jako przewodniczącego Myrona Łućkiego, byłego oficera batalionu Nachtigall i jednocześnie członka UNDO Iwana Hryniocha oraz znającego język węgierski byłego siczowca Jehwena Wrecionę.

Pod koniec listopada 1943 r. delegaci ukraińscy odlecieli samolotem ze Lwowa do Budapesztu, ubrani w mundury armii węgierskiej. W stolicy przyjął ich w połowie grudnia szef sztabu generalnego, gen. Ferenc Szombathelyi. W czasie rozmów strona węgierska zgodziła się przekazać pewną ilość broni i amunicji oraz środków łączności oddziałom UPA, ale nie w sposób jawny, tylko w ramach fikcyjnie przeprowadzanych i uzgadnianych wcześniej ataków na transporty. Podobnie wyglądała sprawa oficerów szkoleniowych kierowanych do UPA. Mieli oni występować w roli dezerterów. Zgodzono się na przyjmowanie na terenie Węgier ukraińskich uchodźców. Natomiast odpowiedź na prośbę w sprawie ustanowienia stałego, ale nie mającego statusu dyplomatycznego przedstawicielstwa ukraińskiego mieli ukraińscy negocjatorzy otrzymać po konsultacjach z premierem, który jednak w związku z obawą ujawnienia faktu współpracy z UPA przed Niemcami odniósł się do tej propozycji negatywnie.

Oficerem łącznikowym UPA do kontaktów ze stroną węgierską mianowano Andrija Dolnyćkiego. Warto wspomnieć, że nie znalazła uznania ze strony ukraińskiej podniesiona przez Węgrów propozycja mediacji w sporze polsko-ukraińskim. Ukraińcy odrzucili ją, twierdząc, że

eprasa.pl 374c0e181c

oczekują na zakończenie trwających właśnie rozmów bezpośrednich (te akurat rzeczywiście trwały do 8 lutego). Porozumienie zawarto w formie ustnej. Trudno powiedzieć, na ile zdołano wypełnić je rzeczywistą treścią. Wydarzenia w Galicji Wschodniej pokazały, że nie było to takie proste, jak mogłoby się wydawać.

Konfrontacja w Galicji

O ile na Wołyniu pod koniec 1943 r. relacje węgiersko-ukraińskie można określić po zawarciu paktu o nieagresji jako neutralne, o tyle w Galicji Wschodniej sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Tam kwestią konfliktogenną okazały się rekwizycje dokonywane przez honwedów, do czego czasami zmuszały ich braki zaopatrzeniowe. Jakiekolwiek były ich przyczyny, takie postępowanie wywoływało irytację zarówno ukraińskich mieszkańców, jak i dowódców oddziałów UPA. Potwierdzeniem zaistnienia tego problemu jest krytyczna wypowiedź wyrażona 8 maja 1944 r. na posiedzeniu władz GG przez SS-Oberführera Ericha Neumanna, który skonstatował: „Na zajętych przez Węgrów terenach dystryktu Galicja panuje kompletny chaos, gdyż Węgrzy obrabowują ludność ze wszystkiego, zabierając m.in. materiał siewny, a tym samym należyte wykonanie wiosennych prac rolnych jest niemożliwe".

Wpływ na stosunki ukraińsko-węgierskie miała też zmiana postrzegania Węgrów przez Komendę Główną UPA, która wydała w związku z tym 5 maja 1944 r. rozkaz o następującej treści: „Od czasu militarnej okupacji Węgier przez Niemców Węgrzy faktycznie stracili państwowe prawo do prowadzenia samodzielnej polityki. Obecnie Węgrzy… zaprzęgli się do niemieckiego wozu i całkowicie wykonują polityczne i militarne zadania dyktowane przez Berlin. Z tego powodu nasz stosunek do Węgier nieco się zmienił. Pozwala się na rozbrajanie węgierskich oddziałów wojskowych, ale przy tym nie znieważać Węgrów i nie konfiskować ich rzeczy, z rozbrojonymi Węgrami postępować korekt i po przesłuchaniu zwolnić… W ewentualnych wypadkach współpracy Węgrów z Polakami i ich wspólnych napadów na nasze wioski i ludność można użyć wszelkich sposobów samoobrony, ale i przy tych akcjach wziętych do niewoli Węgrów… wypuścić".

Jak widać, w Galicji Wschodniej, pomimo zawartych wcześniej porozumień na Wołyniu i rozmów w Budapeszcie, UPA nie zamierzała traktować Węgrów w sposób neutralny. W efekcie doszło do zbrojnej ukraińsko-węgierskiej konfrontacji, co odczuła boleśnie ukraińska ludność cywilna. 29 marca 1944 r. we wsi Pukaczowce Węgrzy rozstrzelali 18 ukraińskich mieszkańców w odwecie za zaginięcie siedmiu swoich żołnierzy. Trzy dni wcześniej sotnia ochrony szkoły oficerskiej UPA „Ołeni", dowodzona przez Mychajła Galo „Konyka", pomiędzy wsiami Stary i Nowy Mizun rozbroiła 180 Węgrów. W odpowiedzi 4 kwietnia 1944 r. honwedzi rozstrzelali we wsi Stary Mizuń ponad 70 osób. We wsiach Grabówka i Sadzawa spalono 166 gospodarstw i rozstrzelano 34 osoby.

Starcia pomiędzy armią królewską a UPA toczyły się niejako w cieniu konfliktu polsko-ukraińskiego. Pozytywnie nastawieni do Polaków Węgrzy stawali często w obronie zagrożonej eksterminacją polskiej ludności cywilnej. Potwierdzały to meldunki polskiego podziemia. W jednym z nich czytamy: „Obecność wojsk węgierskich w Małopolsce Wschodniej jest z punktu widzenia polskiego wysoce korzystna. Wszędzie, gdzie są Węgrzy, stan bezpieczeństwa wybitnie się poprawił. Stosunek Węgrów do Polaków jest niemal z reguły dobry, a często nawet przyjazny. Węgrzy bezwzględnie tępią antypolskie wystąpienia band ukraińskich i zdarzają się często wypadki, że oddziały węgierskie specjalnie udają się do miejscowości, gdzie ludność polska może być zagrożona ze strony band ukraińskich, aby przewieźć ją wraz z mieniem do bezpiecznych ośrodków".

Zdarzały się sytuacje, kiedy Polacy i Węgrzy wspólnie zbrojnie konfrontowali się z ukraińską partyzantką. Potwierdzenie tego, że takie sytuacje miały miejsce, stanowi meldunek o wydarzeniach w Siwce Kałuskiej: „Około 20 kwietnia 1944 r. zaatakowała bardzo silna banda, dobrze uzbrojona, Węgrów w Siwce Kałuskiej. Węgrzy musieli się cofnąć do Kałusza, gdzie rozdali broń Polakom i wspólnie odparli bandę. Następnie przeprowadzili w Siwce Kałuskiej gruntowaną pacyfikację".

Należy wspomnieć, że podobnie jak na Wołyniu zarówno Węgrzy, jak i Ukraińcy podejmowali próby pokojowego ułożenia wzajemnych relacji. Wskazuje na to wydana 9 czerwca 1944 r. przez komendanta WO „Buh" Wasyla Lewkowycza „Woronego" i prowydnyka lwowskiego obwodu OUN-SD Mychajła Szkambarę „Skałę" instrukcja, nakazująca unikanie starć z wojskami węgierskimi, ich rozbrajania i rozstrzeliwania jeńców. Na terenie okręgu „Buh" doszło również do kontaktów członków UPA z oficerami węgierskimi, m.in. z oficerem wywiadu 1. Armii ppłk. Karolem Molnarem. Ich efekty trudno ocenić, ale jest faktem, że starć i potyczek do chwili opuszczenia terytorium Galicji Wschodniej przez oddziały Królewskiej Armii Węgierskiej nie udało się całkowicie wyeliminować.



Węgierski oddział w Karpatach FOT. WIKIPEDIA

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 374c0e181c

1831 r. / Dzisiejsza Łotwa i Emilia Plater



Emilia Plater na czele kosynierów. Obraz Jana Rosena FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Pasowana na rycerza pannę



Sławomir Koper

– Dwadzieścia pięć lat i już bohater – podkreślił Piłsudski z dumą. – Dwadzieścia pięć lat i jeszcze dziewica – burknął ze zgrozą Foch

Rzyszła legenda powstania listopadowego urodziła się w Wilnie w listopadzie 1806 r., a jej rodzice pochodzili z niemieckich, mocno spolonizowanych rodów inflanckich. Nie zmienia to faktu, że ojciec, Franciszek Ksawery Plater, prowadził wyjątkowo hulaszczy tryb życia, co zakończyło się rozpadem małżeństwa. W 1815 r. matka hrabianki, Anna z Mohlów, opuściła męża i osiadła wraz z córką w Liksnie w Łatgalii. Właścicielką majątku była Izabela Syberg-Plater, zagorzała katoliczka i wielka polska patriotka, co wywarło wielki wpływ na losy Emilii. Wielokrotnie odwiedzając polskie Inflanty, nie mogłem pominąć postaci Emilii Plater, która młodość spędziła w Łatgalii i zawsze czuła się związana z tą krainą.

Pałac w Liksnie

Z tamtejszego pałacu Platerów niewiele się zachowało, pozostał bowiem tylko niewielki fragment ściany, a właściwie chyba komin. To ceglany słup kilkumetrowej wysokości z bocianim gniazdem na szczycie. Trudno uwierzyć, że kiedyś była to reprezentacyjna budowla o trzech kondygnacjach, do której prowadził potężny, arkadowy ganek. Pałac nie miał jednak szczęścia, jeszcze w drugiej połowie XIX w. został poważnie uszkodzony przez pożar i właśnie w takim stanie przedstawił go Napoleon Orda na jednym ze swoich rysunków. Wprawdzie rezydencja została odbudowana, ale została całkowicie zrujnowana podczas pierwszej wojny światowej.

Przetrwała natomiast dawna kaplica pałacowa, chociaż dzisiaj znajduje się w fatalnym stanie. Mury sprawiają wrażenie, jakby miały się za chwile rozpaść, a do przodu budowli przylega ogromna drewniana szopa. Kaplica od lat pełni funkcje magazynu i raczej nie można się spodziewać jej restauracji.

eprasa.pl 374c0e181c



Pałac w Liksnie (Łotwa), w którym Emilia Plater mieszkała 15 lat. Rysunek Napoleona Ordy FOT. WIKIPEDIA

Emilia Plater spędziła w Liksnie 15 lat. Dorastająca panienka znacznie różniła się od swoich rówieśnic, gdyż gorliwie ćwiczyła jazdę konną, fechtunek i strzelanie z pistoletów. Nie oddawała się też marzeniom o miłości czy zamążpójściu, a w zamian pragnęła walczyć o niepodległość ojczyzny.

Ciekawy był dobór jej ulubionych bohaterów z historii. Nie mogło tam zabraknąć Joanny d'Arc i Tadeusza Kościuszki, poza tym wielkie wrażenie zrobiły na niej dzieje Greczynki Laskariny Bubuliny, zasłużonej podczas powstania przeciwko Turkom. Pośmiertnie stała się bohaterką popularnych powieści, które z zachwytem pochłaniała Emilia. Jej portret wisiał zresztą w sypialni hrabianki obok wizerunków Dziewicy Orleańskiej, Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego.

Jednocześnie Platerówna była otwarta na bieżące wydarzenia i śledziła wydarzenia na Uniwersytecie Wileńskim, a szczególnie proces filomatów. Znała też oczywiście pierwsze wydania poezji Adama Mickiewicza. Dużo podróżowała wraz z matką po terenach Inflant i dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, odwiedziła też Warszawę, Częstochowę i Kraków. Przy okazji była na polu bitwy pod Raszynem, gdzie dowodził jej ulubiony bohater, książę Józef. „W Pieskowej Skale – pisał jeden z biografów – zwrócił jej uwagę portret mniszki, która według podania, pochodząc z familii Wielopolskich, w czasie najścia wrogów zbrojno walczyła w szeregach, a później musiała zamknąć się w klasztorze przed potępieniem towarzyskim męskiego jej wystąpienia".

Niewiele wiadomo o jej życiu uczuciowym, podobno ze względów patriotycznych odrzuciła ofertę matrymonialną pewnego bogatego Rosjanina. Opowiadano również, że przeżyła nieszczęśliwą miłość do miejscowego ziemianina, ale brakuje na ten temat bliższych informacji. Natomiast wielkim ciosem dla Emilii była śmierć matki w 1830 r.

Hrabianka i powstanie

„Znałem jej życie – wspominał sąsiad Platerówny, Józef Straszewicz. – Widziałem ją, jak dorastając, marzyła o sławie polskiej, gdy inne dziewczęta marzą o swych mężach przyszłych, jak się żywiła wspomnieniami naszej dawnej narodowości, jak to uczyniła swym kultem, przedmiotem swego uwielbiania. Zgadywałem, że kiedy ozwie się pobudka, Emilia stanie w szeregu i pochwyci za lancę".

Chociaż wybuch powstania zaskoczył ziemian na Łotwie, to natychmiast zaczęła agitować za insurekcją na terenie Inflant. Irytował ją fakt, że wszyscy w Łatgalii czekali na rozwój wypadków, podczas gdy w Królestwie Kongresowym trwały już walki. Z tego powodu jeździła od dworu do dworu, nawołując do zbrojnego wystąpienia. Snuła plany opanowania twierdzy w Dyneburgu, licząc, że pomogą jej dwaj kuzyni i ich kolega, którzy jako rosyjscy podchorążowie pełnili tam służbę.

„Młoda panienka – wspominał jeden z pamiętnikarzy – niemająca prawa rządzenia samą sobą – uroczyście przyrzekła kazać kilku tysiącom ludu rzucić się na Dyneburg; trzej uczniowie szkoły wojskowej, mniej możni od najniższego oficera, obiecali wydać twierdzę, która jeśli nie niczym więcej, to przynajmniej dla nich była mocnym więzieniem. Te krótkie i treściwe układy zakończyła ceremonia również znacząca. Podchorążowie starożytnym obyczajem pasowali swoją nową towarzyszkę na rycerza pannę i jakby dlatego właśnie, że ten rycerz miał być powstańcem litewskim, zamiast przypasać miecz do boku, darowali mu małą strzelbę myśliwską".

Z planów jednak nic nie wyszło, gdyż podchorążowie zostali przeniesieni w głąb Rosji i Emilia zajęła się sprawą przygotowań do powstania na Litwie. Wyprawa do Wilna zakończyła się jednak niepowodzeniem, gdyż znalazła tam odzew tylko w środowiskach studenckich. Ostatecznie jednak insurekcja na terenach Wielkiego Księstwa wybuchła i Emilia przyłączyła się do oddziału dowodzonego przez kuzyna, Cezarego Platera.

Jednakże, wbrew legendzie, nigdy nie brała bezpośredniego udziału w walkach. Jej rolą było zagrzewanie powstańców do boju, podnoszenie morale oddziałów i agitacja wśród ludności za przyłączeniem się do insurekcji. Była znakomitym trybunem ludowym, jednak jej osoba stanowiła poważne zmartwienie dla dowódców. Oprócz zwyczajnych problemów, które pociąga za sobą obecność kobiety w męskich oddziałach, oddzielny kłopot stwarzał fanatyczny zapał hrabianki. Chciała, aby powstańcy atakowali przeciwnika zawsze i wszędzie, nie zwracając uwagi na dysproporcję sił czy położenie strategiczne. Czasami publicznie zarzucała przełożonym tchórzostwo, co groziło rozkładem dyscypliny w polskich oddziałach.

Śmierć trybuna ludowego

Panna Emilia nigdy też nie była pułkownikiem, wiadomo, że dostała nominację na kapitana, ale nigdy nie dowodziła żadnym oddziałem. Nie była też specjalne urodziwa, jej późniejsze portrety zdecydowanie ją idealizowały. Dziewica bohater musiała być przecież piękną dziewczyną. „Co do panny Platerównej – zauważał Stanisław Goczałkowski – to nie odznaczała się ona szczególnymi wdziękami: mała, podsadkowata blondyna, cery śniadej, strój męski bynajmniej jej urody nie podnosił".

Opinia ta nie była odosobniona, powszechnie bowiem uważano, że Platerówna „jest nie arcywyszukanych wdzięków" i wygląda na „ze 30 lat mającą pannicę". Potwierdzał to Ignacy Domeyko, który uważał, że była „niskiej urody, blada, niepiękna, ale okrągłej, przyjemnej,

eprasa.pl 374c0e181c

sympatycznej twarzy, błękitnych oczu, kształtnej, ale niesilnej budowy; była poważną, bardziej surową niż ujmującą w obejściu się, mało mówiąca i spojrzeniem nakazująca dla siebie należne względy i przyzwoitość".

O wiele ładniejsze były natomiast jej dwie nieodłączne przyjaciółki: Maria Raszanowiczówna i Antonina Tomaszewska. To podobno ze względu na ich urodę (!) dowódcy powstańczych oddziałów przyjmowali Platerównę do swoich formacji. Wiedzieli jednak, że oznacza to kolejne problemy, gdyż Emilia szybko stała się ikoną powstania i nad jej bezpieczeństwem zawsze musiało czuwać kilku specjalnie wyznaczonych żołnierzy. Upływ czasu nie ostudził jej zapału i dalej wtrącała się do wszystkich spraw. A gdy przełożeni namawiali ją do powrotu do domu, odpowiadała, że nie odejdzie od powstania dopóty, „dopóki Polska nie odzyszcze zupełnej wolności".

Gdy powstanie na Litwie chyliło się ku upadkowi, Emilia ostro protestowała przeciwko wyprowadzeniu wojsk powstańczych do Prus. Uznawała internowanie za skandal i twierdziła, że lepiej byłoby „umrzeć z chlubą, aniżeli skończyć z tak haniebnym upokorzeniem". Pozostając wierną sobie, razem z najbliższymi towarzyszami przedzierała się w kierunku Warszawy, ale w okolicach Sejn powaliła ją choroba. Nie był to pierwszy tego rodzaju przypadek, już wcześniej zdarzyło się jej zasłabnąć, po czym przez kilka dni dochodziła do zdrowia w jakiejś wiejskiej chacie. Ale tym razem organizm zbuntował się na dobre i choć Emilia znalazła opiekę w dworze w Justianowie, to nie powróciła jednak już do zdrowia. Ostatecznie dobiła ją informacja o kapitulacji Warszawy i upadku powstania. Zmarła w wieku 25 lat, dzień przed Wigilią 1831 r. Pochowana została na cmentarzu w pobliskim Kopciowie, a jej grób zachował się do dziś.



Grób Emilii Plater w Kopciowie (Litwa) FOT. WIKIPEDIA/KAZIK 144

Pośmiertna sława

Początkowo nikt nie zamierzał czynić z hrabianki superbohatera. Owszem, opowiadano o jej zapale i miłości do ojczyzny, ale – jak wiadomo – umiejętna propaganda potrafi czynić cuda. Na emigracji wydawano panegiryczne broszury na jej cześć, które były tłumaczone na inne języki. Docierały też do kraju, a informacje przekazywane z ust do ust jeszcze bardziej utrwalały jej sławę. Jak zwykle każdy dodał coś od siebie, podawał nowe fakty, które nie miały nic wspólnego z rzeczywistością, a ich autorzy traktowali życiorys Platerówny wyjątkowo twórczo. Dodawali od siebie heroiczne wyczyny, które nie miały miejsca, zrobili z niej dowódcę oddziału powstańczego, a przy okazji też retuszowali wygląd zewnętrzny. Skoro hrabianka była bohaterem, to przecież też musiała być wyjątkowej urody.

Dużą rolę propagandową odegrał też wiersz Adama Mickiewicza „Śmierć pułkownika". Ale mistrz Adam, który do powstania nie dojechał, wybierając wdzięki hrabianki Konstancji Łubieńskiej w Wielkopolsce, po upadku insurekcji stał się nadzwyczajnym piewcą zrywu i wynosił pod niebiosa jego bohaterów. A skoro kazał Julianowi Ordonowi wysadzić się prochami podczas obrony Woli, to dlaczego miał nie zrobić z hrabianki pułkownika?

Przyznam się, że osobiście nigdy nie przepadałem za osobą Emilii. Zawsze odczuwałem niechęć do różnego rodzaju trybunów ludowych stawiających ideologię ponad zdrowy rozsądek. Tacy ludzie faktycznie są potrzebni w godzinie próby, gorzej jednak, gdy wtrącają się do działań militarnych. Natomiast sama Emilia zawsze wydawała mi się typem kobiety będącej skrzyżowaniem Joanny d'Arc z Wandą Wasilewską.

Nie zmienia to jednak faktu, że Emilia stała się patronką szkół, ulic i drużyn harcerskich, i to bez względu na obowiązujący akurat w naszym kraju ustrój. Stała się też patronką 1. Samodzielnego Batalionu Kobiecego sformowanego w Sielcach. Inna sprawa, że pododdział ten po latach stał się obiektem niemałych kontrowersji, gdy ujawniono przypadki seksizmu i przemocy erotycznej w armii Berlinga.

W Liksnie postać Emilii Plater jest jedną z atrakcji miejscowego parku. Kilka lat temu uroczyście otwarto ścieżkę historyczną poświęconą jej pamięci, szkoda tylko, że dojście do niej jest tak słabo oznakowane, tak że miałem problemy z jej odnalezieniem. Zdziwił mnie natomiast niepomiernie pomnik dziewicy bohatera, który przedstawia wyłącznie stylizowane, rozwiane włosy. Nie powiem jednak, by mi się nie podobał, nigdy nie lubiłem wykutych w kamieniu postaci o nadętych spojrzeniach. To było coś nowego, ożywczego i tak niepasującego do legendy Platerówny, że wzbudziło moje uznanie.

Dzisiejsi Łotysze zdecydowanie nie interesują się jednak osobą pułkownika bohatera, zatem dla turystów przygotowano ścieżkę folklorystyczną połączoną z placem piknikowym. W tym kraju ludowość jest popularna, a miejscowe władze uczyniły z niej ważny atut propagandowy. Zdając sobie sprawę, że dzieje Łotwy to głownie historia innych nacji, postawili na folklor. W Parku w Liksnie znajdujemy stylizowane postacie i zwierzęta z pni i korzeni, efektowne sanie, karetę i wozy rozsiane wśród zieleni, a do tego miejsca przeznaczone na ogniska i grillowanie. Blisko do Dźwiny, a w pobliżu znajdują się jeszcze stawy. Chwilami miałem wrażenie, że poszukując śladów Emilii Plater, byłem tutaj nie na miejscu. Na koniec jednak przypomniałem sobie pewną anegdotę dotyczącą hrabianki, którą opowiadano przed wojną w Warszawie. Parsknąłem śmiechem i dobrze, że nikogo w pobliżu nie było, gdy zaśmiewałem się do łez przy pierwszej stacji ścieżki edukacyjnej poświęconej Platerównie.

Otóż pod jakimś pomnikiem czy tablicą na jej cześć składali kwiaty marszałkowie – Piłsudski i Foch. Polak wyjaśniał Francuzowi napisy określające hrabiankę jako dziewicę bohatera, która zmarła w wieku 25 lat.

– Dwadzieścia pięć lat i już bohater – podkreślił Piłsudski z dumą.

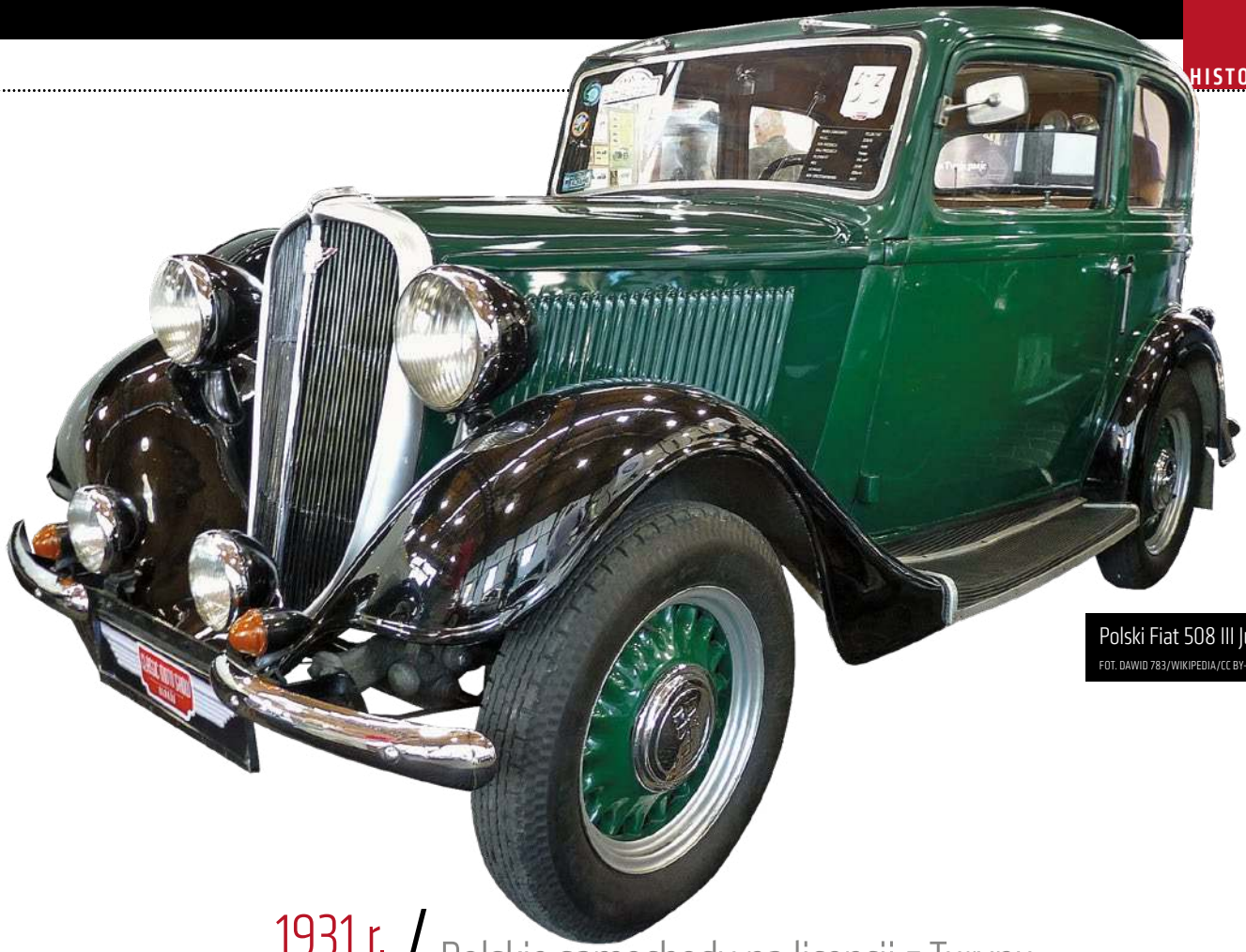
– Dwadzieścia pięć lat i jeszcze dziewica – burknął ze zgrozą Foch.

Cóż, każdy naród ma własne priorytety.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

B. Limanowski, „Emilia Plater, szkic biograficzny", „Biblioteka Warszawska" 3/1910.
S. Majchrowski, „Niezwykłe postacie z czasów powstania listopadowego", Warszawa 1989.
„Pamiętniki polskie" (red. Xawery Bronikowski), t. 2, Paryż 1845.

eprasa.pl 374c0e181c



Polski Fiat 508 III Junak

FOT. DAWID 783/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

1931 r. / Polskie samochody na licencji z Turynu

Fiat 508 – czyli osesek polskiej motoryzacji



Piotr Semka

„I na mym wozie pierwszej klasy wyruszam sobie, hen w daleki świat, i niesie mnie przez wsie i lasy nasz Polski Fiat, nasz Polski Fiat!...” – śpiewała Lena Żelichowska

91 lat temu, 21 września 1931 r., przedstawiciele polskiego rządu podpisali umowę licencyjną z kierownictwem koncernu Fiat w Turynie. Zatwierdzono produkcję polskiego samochodu na bazie modelu Fiat 508 Balilla. Ta ładna nazwa pochodziła od imienia włoskiego chłopca, który rozpoczął antyhabsburską rewoltę w Genui w XVIII w. Dla Polaków to miano było mało czytelne, więc wymyślono znacznie atrakcyjniejszą dla odbiorców nad Wisłą nazwę Polski Fiat. To stosunkowo niewielkie autko zapoczątkowało proces motoryzacji kraju.

Polacy pokochali to stosunkowo wytrzymałe i ekonomiczne „wozidełko” i do dziś otaczane jest ono w polskich muzeach motoryzacji ogromnym sentymentem.

Dziecko sanacji

Polska motoryzacja długo nie mogła ruszyć z miejsca. Zniszczenia wojenne i brak własnych tradycji wynikających z ponurego dziedzictwa zaborów nie ułatwiały sprawy. Nawet zdolni inżynierowie, którzy tworzyli niekiedy całkiem udane prototypy samochodów, nie byli w stanie znaleźć kredytodawców

eprasa.pl 374c0e181c

do rozkręcenia masowej produkcji. Pionierami na tym polu byli Stefan Kozłowski i Antoni Frączkowski, którzy w 1922 r. zbudowali prototyp samochodu SKAF (od inicjałów projektantów). Samochód był całkiem udany, ale żadnego z banków nie udało się skłonić do finansowania produkcji. W 1927 r. podjęto z kolei montaż aut o nazwie AS. I w tym wypadku polską motoryzację prześladował pech – producenta zniszczył kryzys finansowy. Pierwszy producent polskich samochodów na nieco większą skalę pojawił się w 1926 r. Centralne Warsztaty Samochodowe w Warszawie rozpoczęły wytwarzanie w krótkich seriach wozu CWS T-1.

Kwestia rozwoju motoryzacji przyciągnęła uwagę ekipy sanacyjnej po zamachu majowym w 1926 r. Ówcześni liderzy polskiej gospodarki z jednej strony zauważali, że takie sąsiednie kraje jak Czechy czy Niemcy przeżywały w latach 20. motoryzacyjny boom. Takie wytwórnie jak Skoda czy Opel produkowały już nie tylko luksusowe limuzyny, lecz także samochody małolitrażowe, na które mogła sobie pozwolić klasa średnia, a nawet bardziej wykwalifikowani robotnicy. W wypadku Polski oczekiwanie na własny samochód terenowy artykułowało też Wojsko Polskie, które na razie musiało sprowadzać z Francji samochody terenowe Citroën-Kegresse.

Sanacyjni pułkownicy dość szybko porzucili pomysły stworzenia własnej polskiej marki. Dość realistycznie zorientowano się, że jeśli produkcja samochodów ma być wprowadzona w życie szybko i masowo, to trzeba zdecydować się na zakup licencji od dużego zagranicznego producenta, a licencja powinna dotyczyć modelu, który jest już produkowany i okazał się udaną konstrukcją. Specjalny zespół rządowy wybrał do badań oferty czterech wytwórni, które mogły się pochwalić samochodami średniej klasy o dużej wytrzymałości i dobrej opinii wozów bezawaryjnych. Pod lupę wzięto oferty francuskich firm Citroën i Renault, czeskiej Skody i włoskiego Fiata.

Ostatecznie podjęto decyzję o zgodzie na propozycję koncernu z Turynu. Pewien wpływ mogła mieć na to także polityka międzynarodowa. Rządy sanacyjne uważały, że francuski kapitał zbyt pewnie szarogęsi się nad Wisłą, a w wypadku Czechosłowacji, z której pochodziły samochody Skoda, nie chciano premiować republiki Tomasza Masaryka, która nie przepadała za Polską. Za to Włochy pod rządami Benita Mussoliniego demonstrowały wolę przyjaźni z Polską, a nie były jeszcze postrzegane w Warszawie jako satelita Niemiec. 21 września 1931 r. reprezentanci kierownictwa włoskiego Fiata i szefowie Państwowych Zakładów Inżynierii w Warszawie zawarli umowę licencyjną na montaż samochodów osobowych i ciężarowych w Rzeczypospolitej.

Dokładnie rok później salon samochodowy w Mediolanie był areną prezentacji nowego modelu Fiata 508 Balilla. Motoryzacyjni spece z wielu krajów uczciwie przyznawali, że była to jedna z najlepszych konstrukcji na skalę Europy. Nic dziwnego, że polskie Państwowe Zakłady Inżynierii postanowiły zacząć produkcję samochodów nad Wisłą montowanych z włoskich części od razu od najnowszego Fiatowskiego modelu.

Trzeba dodać, że pięćsetósemka zrobiła karierę nie tylko w Polsce, lecz także w innych krajach. We Francji samochody te montowano pod marką Simca, w Niemczech montowano je i sprzedawano pod nazwą Fiat-NSU, a w Czechosłowacji produkowano je jako „waltery". Już w 1932 r. pierwsze serie samochodów Fiat 508 zaczęły schodzić z taśmy montażowej Spółki Akcyjnej Polski Fiat w Warszawie przy ul. Sapieżyńskiej 6. Te pierwsze polskie fiaty otrzymywały kryptonimy oznaczane rzymskimi cyframi I i II.

Od 1934 r. zaczęto jednak budować nową fabrykę, nowe zakłady o nazwie Fabryka Samochodów Osobowych i Półciężarowych, które mieściły się w Warszawie przy ul. Terespolskiej 34. Tam też dopiero od czerwca 1935 r. ruszyła produkcja znacznie zmodernizowanego nowego modelu, który nosił oznaczenie 508. Samochód Polski Fiat dobrze odpowiadał potrzebom polskiego rynku samochodowego. Był trwały, dobrze





Polskiego Fiata 508 zachwalała aktorka Lena Żelichowska. Autorem plakatu reklamowego był Wojciech Kossak

FOT. MAZOWIECKA BIBLIOTEKA CYFROWA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl 374c0e181c

poruszał się na kiepskich drogach i nie wymagał skomplikowanego serwisu.

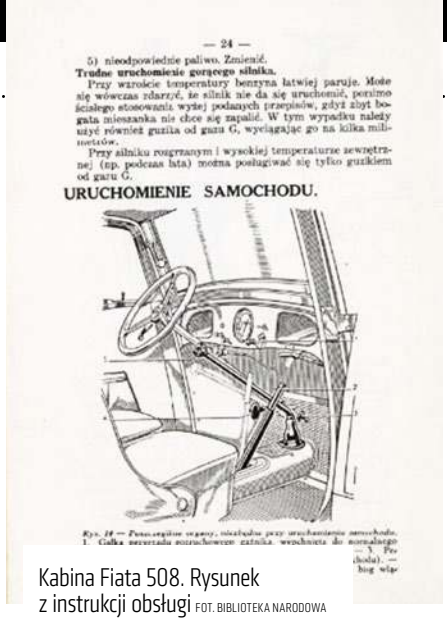
Krok za krokiem

Początkowo zamierzano wytwarzać dziennie 10 samochodów w czterech różnych odmianach. Oczywiście pierwszą był samochód osobowy model 518. Ale w ofercie były też półciężarówka Fiat 618 oraz 2,5-tonowa ciężarówka Fiat 621. Cena tzw. karety Polski Fiat 508 wynosiła ok. 5 tys. zł, co było dość rozsądną sumą na tle drożyzny wcześniej importowanych samochodów z zagranicy, które w ramach polityki finansowej sanacji obciążano cłem typowym dla dóbr luksusowych. Polskie Zakłady Inżynieryjne były rozliczane przez rząd z rozwijania kooperacji z rodzimymi zakładami w kraju.

Naciskano też żeby PZInż. opanowały własną produkcję silników, następnie układu napędowego i kierowniczego, i wreszcie były w stanie tłoczyć elementy podwozia i blachy karoserii. O ile do 1935 r. dominował montaż przysyłanych podzespołów z Włoch, o tyle od 1936 r. rosła liczba części produkowanych w Polsce. Ale skala produkcji w porównaniu z czołowymi krajami zachodnimi była skromna. Rok 1936 zakończono liczbą 3,5 tys. samochodów, które zeszły z linii montażowych, a jednak produkcja z roku na rok rosła. Od początku 1939 r. – w którym ze zrozumiałych powodów produkcja zakończyła się w początkach września – PZInż. wypuściły już 7 tys. pojazdów, w tym 3,8 tys. wozów ciężarowych. Wzrost produkcji ciężarówek wiązał się oczywiście z przygotowaniami do konfliktu z Niemcami. Kontrakt z Fiatem zawarto na 10 lat i w 1942 r. miał być ewentualnie przedłużony o kolejną dekadę. Wojna była szybsza.

Cudowne dziecko reklamy

W promocję pierwszego polskiego quasi-masowego samochodu zaangażowano najlepszych ówczesnych speców od reklamy. Przed seansami w najlepszych kinach wyświetlano – jak to wówczas nazywano – „sketch" muzyczny z muzyką popularnej wówczas orkiestry Tadeusza


— 24 —

5) nieodpowiednie paliwo. Zmienić.

Trudne uruchomienie gorącego silnika.

Przy wzroście temperatury benzyna łatwiej paruje. Może się wówczas zdarzyć, że silnik nie da się uruchomić, pomimo ścisłego stosowania wyżej podanych przepisów, gdyż zbyt bogata mieszanka nie chce się zapalić. W tym wypadku należy użyć również guzika od gazu G, wyciągając go na kilka milimetrów.

Przy silniku rozgrzanym i wysokiej temperaturze zewnętrznej (np. podczas lata) można posługiwać się tylko guzikiem od gazu G.

URUCHOMIENIE SAMOCHODU.

Kabina Fiata 508. Rysunek z instrukcji obsługi FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Górczyńskiego i udziałem dwóch gwiazd estrady i filmu: Adama Astona (właśc. Adolfa Loewinsohna) z Chóru Warsa oraz Leny Żelichowskiej, jednej z najbardziej popularnych gwiazd srebrnego ekranu. „Sketch" zaczynał się wówczas od popularnego sloganu reklamowego Fiata: „Ja (go) mam, ty masz, on będzie miał". Adam Aston śpiewał: „Dla pięknych dam / ja również mam / swej chluby dnie i chwały. / Nie wzdycham już / nie daję róż/ bo sekret mam wspaniały. / Czy w deszcz, czy w mróz / zabieram wóz / o kształcie smukłej strzały. / I prosto tam / podjeżdżam sam / do mej madame".

Równie wdzięczna była piosenka śpiewana przez Żelichowską: „Gdy humor zły / dokucza mi / lub coś do głowy strzela / nie myślę kląć, / bo bądź co bądź / wiem, że mam przyjaciela. / Przychodzę doń, / wyciągam dłoń, / w dni smutku czy wesela. / Maleńki ruch / i ten mój druh / leci lekki jak puch. / I na mym wozie pierwszej klasy / wyruszam sobie, hen w daleki świat, / I niesie mnie przez wsie i lasy / nasz Polski Fiat, Polski Fiat!".

PR-owcy firmy wykorzystywali popularność aktorską Leny Żelichowskiej w bardzo wyrafinowany sposób. Na okładce magazynu „Kino", które wówczas było jednym z najbardziej wysokonakładowych periodyków w Polsce, znana aktorka pozowała na tle fiata 508 w bardzo udanych kompozycjach. Ale ta niezwykle przemyślana reklama Polskiego Fiata wyprzedzała poziom zamożności ówczesnych Polaków. Samochód był czymś oczywistym tylko w największych miastach. Na wsi wciąż był kojarzony albo z urzędnikami państwowymi, albo z bogatymi właścicielami dworów ziemiańskich.

Na dodatek zbliżająca się wojna zmuszała Państwowe Zakłady Inżynieryjne do przeznaczania coraz większej ilości środków i mocy produkcyjnych na produkcję uterenowionego Fiata 508 II o nazwie Łazik. Była to autorska wersja pojazdu zaprojektowana w biurze studiów PZInż., przystosowana do kiepskich polskich dróg. Zwracała uwagę konstrukcja szyby przedniej terenówki, którą wyposażono w specjalne zawiasy umożliwiające zamontowanie na masce karabinu. Dziełami polskimi były też konstrukcja blokady mechanizmu różnicowego oraz terenowe przełożenie przekładni głównej.

Ile w końcu wyprodukowano samochodów Polski Fiat 508? Dokładne liczby nie są niestety znane i w różnych źródłach podawane są różne. Do dziś ocalały tylko pojedyncze egzemplarze. We wrześniu 1939 r. większość cywilnych fiatów skonfiskowało wojsko i wiele z nich zniszczono w walce, a po klęsce wrześniowej ocalałe egzemplarze przejął Wehrmacht. Po wojnie polskie fiaty także nie cieszyły się popularnością. Ich posiadanie w prywatnych rękach w czasach stalinowskich wywoływało podejrzenie, że ich właściciele byli przed wojną sanacyjnymi urzędnikami. O wiele bezpieczniej było posiadać samochody poniemieckie, które można było przedstawiać jako wyremontowany złom, porzucony przez Wehrmacht podczas ucieczki z Polski.

Fiat po drugiej wojnie światowej próbował w 1947 r. powrócić do pomysłu produkowania masowego małolitrażowego samochodu w Polsce. Ale tę nieśmiałą próbę kontynuowania udanej przedwojennej kooperacji z Turynem przerwały brutalnie sowieckie naciski. W rezultacie powstała w Warszawie Fabryka Samochodów Osobowych, która produkowała na licencji Sowietów ciężkie limuzyny Warszawa na potrzeby nomenklatury PRL.

Pomysł na masową produkcję samochodów małolitrażowych „dla każdego Polaka" został odłożony na półkę aż do epoki Gierka. Turyński Fiat cierpliwie czekał na kolejną szansę i otrzymał ją w 1967 r., kiedy na Żeraniu rozpoczęto montaż samochodu 125p, a od początku lat 70. popularnego Fiata 126p zwanego „maluchem". Jak się okazuje, czasem warto uzbroić się w cierpliwość. A nazwa Polski Fiat wciąż wywołuje ciepłe wspomnienia u Polaków powyżej pięćdziesiątki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 374c0e181c



Jan Matejko „Sejm w Łęczycy 1182", z cyklu „Dzieje cywilizacji w Polsce" FOT. WIKIPEDIA

XII w. / Historia ukryta w portretach Matejki i Pillatiego

Piastowski zamach stanu



Leszek Lubicki

Piastowcy książęta angażowali się w zacięte spory o sukcesję. Jeden z nich uwiecznił na płótnie Matejko

Po śmierci Bolesława Kędzierzawego w 1173 r., drugiego w kolejności z synów Bolesława Krzywoustego, tron krakowski według ustawy sukcesyjnej, znanej powszechnie jako „testament Krzywoustego", obejmuje następny w kolejności senior rodu Mieszko III Stary władający do tej pory w Wielkopolsce. Nie wszystkim to się jednak podoba... Następnym w kolejności z synów Bolesława III był Kazimierz zwany później Sprawiedliwym, choć w rzeczonym testamencie w ogóle niewymieniony. Jego starszy brat, Henryk Sandomierski, bowiem już nie żył, poległ w 1166 r. w walce z Prusami. Zapisał on Kazimierzowi przynależną mu ziemię sandomierską i tam najmłodszy z synów Krzywoustego w spokoju rezydował.

Zatem wszystko dzieje się tak, jak „Bóg przykazał", a ustawa sukcesyjna przewidziała. Postępując według zapisów Krzywoustego, każdy z najstarszych następców domu piastowskiego mógł mieć nadzieję, że kiedyś obejmie tron w Krakowie wraz z dzielnicą senioralną, zachowując przy tym swoją domenę. Zadowoleni są też możni, gdyż taki układ pozwala im stawać się liczącą siłą w swojej prowincji i nie podlegać krakowskim elitom. Kędzierzawy dzierżył tron wielkoksiążęcy lat 27 i okres ten był w miarę spokojny w kraju. Nie poszedł śladem swojego starszego brata, Władysława, nazwanego później Wygnańcem, który chciał rządów jednowładczych i źle na tym wyszedł. Za Kędzierzawego, owszem, były konflikty z Niemcami, którzy wstawili się za wygnanym Władysławem, ale – jak pisał Kadłubek – Bolesław to „przemyślny mąż", który „walczy bez wojny, zwycięża baz bitwy".

Na wschodzie kraju mieliśmy spokój, ponieważ princeps ożenił się z córką ruskiego księcia Wsiewołoda i utrzymywał dobre stosunki z książętami kijowskimi. Niczym szczególnym Kędzierzawy jednak się nie wyróżnił, ale możnowładcy go popierali, ot choćby dlatego, że nie dążył do władzy absolutnej, co było im na rękę. Takiego księcia pożądano i dlatego wszystkie polskie dzielnice uznawały jego zwierzchnią władzę, zachowując przy tym swoją pewną autonomię. Przytoczę tu krótkie podsumowanie rządów Kędzierzawego pióra Andrzeja Nowaka, aby zobrazować, jaką Polskę przejmował jego następca. „Nie była to

eprasa.pl 374c0e181c



Mieszko III Stary. Rysunek Jana Matejki
FOT. WIKIPEDIA



Kazimierz Sprawiedliwy. Rysunek Jana Matejki
FOT. WIKIPEDIA

[…] władza szczególnie efektowna. Nie widać w niej wielkiej ambicji. A jednak pozwoliła Polsce spokojnie się rozwijać. Raczej w głąb aniżeli na zewnątrz, ale na tle zamętu i autoagresji, jaka pochłaniała Ruś – i to nie było mało. Zgoda między książętami przeważająca (poza Śląskiem) nad konfliktami, a także zdolność podtrzymywania konsensusu ze społecznymi elitami, nie hartowały może wielkich charakterów, ale pomagały żyć".

Po śmierci Kędzierzawego już tak „spokojnie" nie było. Wspomnieliśmy wyżej, że objęcie tronu krakowskiego przez seniora rodu Mieszka Starego po śmierci Kędzierzawego nie wszystkim się podobało, choć jak najbardziej zaszczyt ten mu się należał z mocy testamentu, ale i autorytetu, i siły, jaką władał. Próbowano jednak osadzić na nim najmłodszego z synów Krzywoustego. „Nie wiadomo – pisze Jerzy Wyrozumski – czy Kazimierz nie czuł się dość silny, aby się przeciwstawić kolejnemu seniorowi Mieszkowi Staremu, czy też stronnictwo możnych, na których mógł się oprzeć, nie było jeszcze dość skonsolidowane". Kazimierz zatem odrzuca propozycję władzy w Krakowie, czyli – jakby nie patrzeć – udziału w buncie przeciwko seniorowi dynastii.

Dodajmy do tego jeszcze jeden z możliwych powodów tej odmowy, ponieważ – jak zauważa Józef Dobosz – wówczas Kazimierz „był zajęty umacnianiem swej pozycji w księstwie sandomierskim". Obawiano się władzy wielkoksiążęcej Mieszka, ponieważ miał on ciągoty jednowładcze wzorowane na swoim ojcu, o czym dobrze wiedziano. Mieszko Stary, świadomy, że może zostać jednak niedopuszczony do krakowskiego tronu przez możnych, którzy wolą widzieć tam młodszego i słabszego, a tym samym bardziej im uległego Kazimierza, zajmuje stolicę. Pisze dalej J. Wyrozumski: „Jednak gdy do Krakowa wprowadził swoich wielkopolskich urzędników, a rządy jego okazały się i autokratyczne, i twarde, przepojone nadmiernym fiskalizmem, doszło ok. 1177 r. do buntu panów krakowskich, którzy po raz drugi wysunęli przeciwko Mieszkowi Staremu Kazimierza Sprawiedliwego".

Ambicje Mieszka Starego sięgały wysoko, choć on w przeciwieństwie do Wygnańca nie próbował pozbawiać panowania w swoich dzielnicach pozostałych książąt. Pisał Stanisław Smolka: „Księciem Polski tytułował się Bolesław Kędzierzawy, Mieszkowi nie dość tego było, bo i Kazimierz, Leszko Mazowiecki [syn Bolesława Kędzierzawego – przyp. L.L.], lub Bolesław Śląski [syn Władysław Wygnańca – przyp. L.L.] byli książętami polskimi, kazał więc nazywać się księciem najwyższym i monarchą, dux maximus et princeps, lub przynajmniej dla odróżnienia od innych księciem całej Polski. Dworacy nazywali go nawet królem i kto wie, czy sam Mieszko nie myślał o tem, żeby tytuł książęcy pozostawić bratu i synowcom, a pokusić się samemu o dostojność królewską, wydobywając z zapomnienia dawny majestat polskiej korony, który z Bolesławem Śmiałym zstąpił do grobu".

Dalej biograf starego księcia stwierdza, że Mieszko chciał być jak cesarz. Gromadzić pozostałych książąt na swoim dworze, aby podnieść swój majestat, wizytować dzielnice, a gdy któryś z książąt wyda jakiś dokument, to ma być zapisane, mówiąc dzisiejszym

eprasa.pl 374c0e181c

językiem, że on go parafował. Znając obecnie późniejsze losy kraju okresu rozbicia dzielnicowego, możemy pokusić się o stwierdzenie, że nie był to wcale zły zamysł. Ale wówczas na pewno nie podobał się książętom dzielnicowym, szczególnie śląskim synom Władysława Wygnańca, którzy chcieli być udzielnymi książętami.

Przypatrzymy się wizerunkowi Mieszka Starego z pocztu Jana Matejki. Marian Gorzkowski, sekretarz Mistrza Jana, zapisał: „Mieszek Stary zdzierał lud, więc Matejko wyjątkowo przedstawił go jako chciwie trzymającego worek pieniędzy". Ową legendarną chciwość starego księcia podkreślił także Henryk Pillati, robiąc ilustrację do książki J.I. Kraszewskiego „Wizerunki książąt i królów polskich", gdzie zamieszczono podpis: „Liczże pieniądze z piętnem królewskim, a nie te plewy". Od dawien dawna wiadomo, że do pełni władzy potrzebne są pieniądze. Ot, choćby po to, aby sprzymierzeniec był dalej wierny, a dotychczasowy wróg stał się sprzymierzeńcem. Mieszko miał tego świadomość i zapełniał swój skarbiec, w sposób okrutnie zachłanny psując pieniądz.

W jaki sposób? Stanisław Rosik: „Ściągano monetę z rynku i przetapiano na nową, która zawierała już mniej srebra, ale za to było jej w obiegu więcej". Nie tylko polityka fiskalna zrażała możnych, szczególnie krakowskich, do princepsa, który czuł się bardzo silny, ale jednak się... przeliczył i to nie tylko w psutym pieniądzu. „Mieszko – pisze Marek K. Barański – choć był wielkim księciem, nie rezydował w Krakowie, lecz w Gnieźnie. Wybranie starej stolicy na książęcą siedzibę było trudne do przyjęcia dla możnych krakowskich. [...] Krakowianie przyzwyczaili się już do tego, że to oni są najważniejsi w państwie". Zatem małopolscy możni świeccy i duchowni, z bp. Gedką na czele, zaczęli myśleć o „wymianie księcia".

Przy takim stanie rzeczy dopiero wówczas Kazimierz zdecydował się wystąpić przeciwko starszemu bratu. Ten w rzeczy samej zamach stanu, bo tak trzeba to wydarzenie nazwać, na szczęście odbył się bezkrwawo i bez oporu. Nawet zbrojna załoga Krakowa, dotychczas wierna staremu księciu, opuściła gród i witała z radością nowego władcę, który – jak zauważa Tadeusz Wasilewski



Mieszko III Stary. Rysunek Ksawerego Pillatiego FOT. WIKIPEDIA

– „skupił w swym ręku prawie wszystkie ziemie polskie wraz z Gnieznem i Kaliszem. Podporządkowali mu się książęta: Odon poznański, Bolesław Wysoki wrocławski i Konrad głogowski, a nawet brat ich Mieszko Plątonogi, sprzyjający początkowo wygnanemu Mieszkowi Staremu. Sprawował także opiekę nad małoletnim Leszkiem Bolesławowicem, księciem Mazowsza i Kujaw".

Mieszko oczywiście nie akceptował tego stanu rzeczy, czuł się zdradzony przez młodszego brata. Szukał nawet pomocy u swoich zięciów na Pomorzu, ale nic początkowo nie wskórał. Do tego doszedł bunt przeciwko niemu jego syna Odona w Wielkopolsce i stary Piast musiał uchodzić z kraju. Udało mu się powrócić do Gniezna w 1181 r., jak twierdzi Benedykt Zientara, „przy milczącej tolerancji Kazimierza, który liczył na to, że Mieszko zadowoli się północną częścią dzielnicy senioralnej". Bracia – pisze M.K. Barański – „utworzyli odrębną administrację, każdy z nich ustanowił własnego wojewodę. Każdy z braci usiłował podporządkować sobie całą Polskę, żaden jednak nie miał możliwości zrealizowania tego planu. Wytworzyła się równowaga. Dzięki niej nie doszło do wojny domowej, Polska podzieliła się jednak na dwie niezależne części". Należy jednak wspomnieć, że w roku 1191 Mieszko zajął stołeczne miasto podczas nieobecności Kazimierza, ale tylko na chwilę. Ten odzyskał je bez problemu przy pomocy ruskich posiłków.

Kazimierz Sprawiedliwy trzy lata po objęciu władzy w Krakowie wykonał genialny ruch. Zwołał do Łęczycy zjazd w 1180 r., w którym uczestniczyli wszyscy polscy książęta (z wyjątkiem oczywiście Mieszka Starego) oraz biskupi. Wówczas, mówiąc najkrócej słowami J. Wyrozumskiego, „za cenę ustępstw na rzecz Kościoła w postaci zniesienia ius spolii (prawo księcia do ruchomości po zmarłym biskupie) oraz ograniczenia nadużyć w korzystaniu z podwodów i tzw. stacji w dobrach kościelnych uzyskał według wiarygodnej tradycji Kadłubka zatwierdzenie papieskie swego pryncypatu".

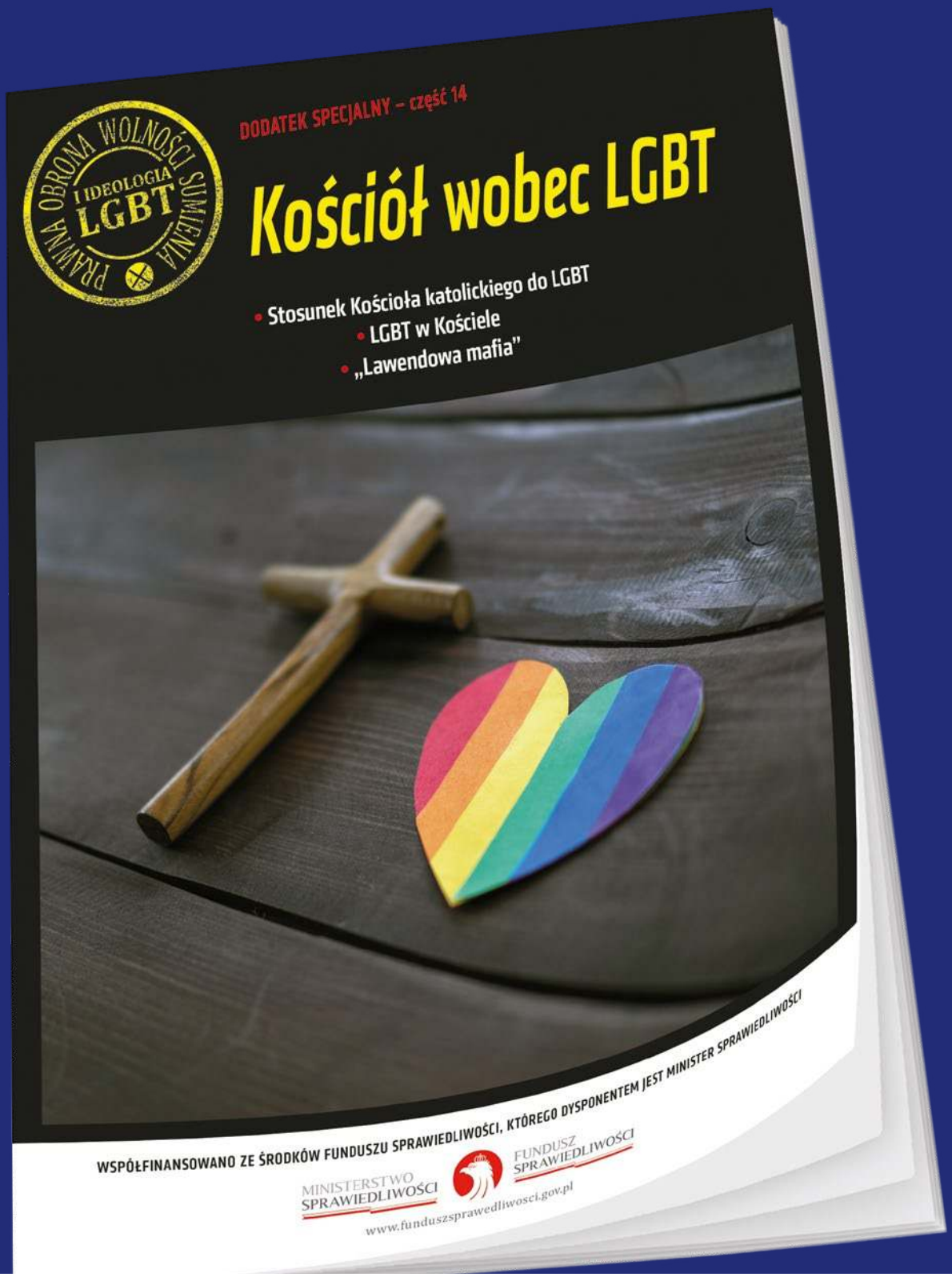
Mistrz Wincenty zapisał, że Kazimierz „zrywa pęta niewoli, kruszy jarzmo poborców, znosi daniny, wprowadza ulgi podatkowe; ciężary nie tyle zmniejsza, co zupełnie usuwa, daniny i służebności znieść każe". I tak zasiadał na krakowskim tronie przez lat 17, a umarł niespodziewanie po wypiciu kubka wina w wieku lat 56. Długowieczny Mieszko III Stary (żył bowiem ok. 80 lat) ponownie rozpocznie starania o władzę w Krakowie. Najpierw jednak stoczy bratobójczą i najkrwawszą bitwę okresu rozbicia dzielnicowego nad rzeką Mozgawą, a później – na drodze porozumień z wdową po Kazimierzu, Heleną, a następnie z możnymi krakowskimi – obejmie wielkoksiążęcy tron i będzie na nim zasiadał do końca życia. J. Wyrozumski: „Wytrwały szermierz zasady senioratu zmarł w marcu 1202 r. w Kaliszu". Kazimierz II Sprawiedliwy pozostawił jednak synów spadkobierców, więc to dopiero początek walki o tron w Krakowie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Literatura:
M.K. Barański, „Dynastia Piastów w Polsce", Warszawa 2005; J. Dobosz, „Kazimierz II Sprawiedliwy", Poznań 2014; A. Garlicki (red.), „Poczet królów i książąt polskich", Warszawa 1991; M. Gorzkowski, „Jan Matejko. Epoka lat dalszych do końca życia artysty", Kraków 1898; J.I. Kraszewski, „Wizerunki królów i książąt polskich", Warszawa 1888; M. Maciorowski, M. Maciejewska, „Władcy Polski", Warszawa 2018; A. Nowak, „Dzieje Polski", T. 1, Kraków 2014; S. Smolka, „Mieszko Stary i jego wiek", Kraków 1881; J. Wyrozumski, „Historia Polski do roku 1505", Warszawa 1984.

eprasa.pl 374c0e181c

Już 26 września w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 374c0e181c



Jakub Ostromęcki

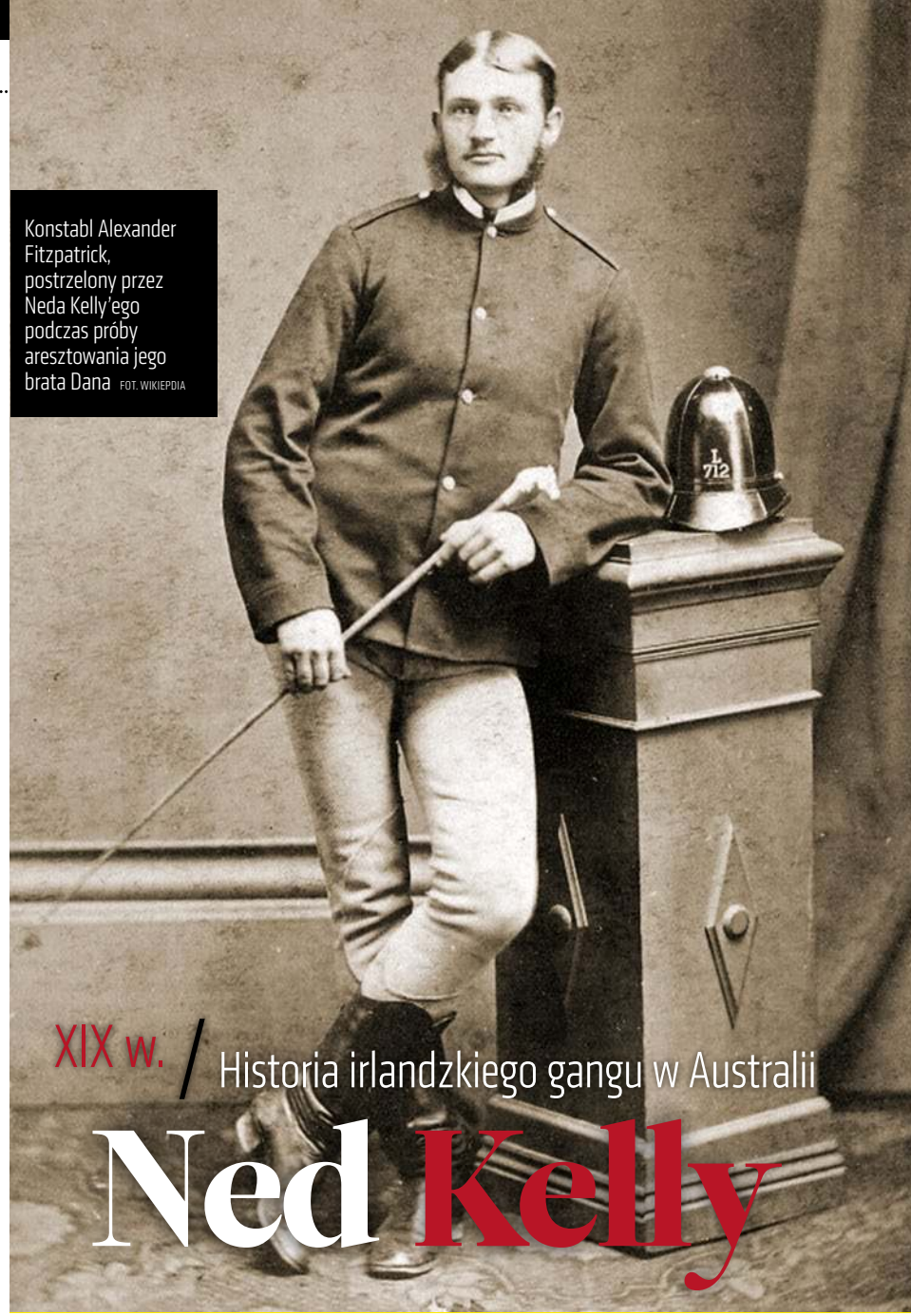
– Jestem synem wdowy wyjętym spod prawa i moje rozkazy muszą być przestrzegane ! – wołał w odezwie słynny banita

Syn irlandzkiego skazańca Ned Kelly jest słynnym australijskim XIX-wiecznym banitą. Niektórzy czczą go jako wiejskiego bojownika o sprawiedliwość społeczną. Inni uważają za wcielenie prawdziwego australijskiego ducha, jednego z ostatnich bushrangerów, czyli swawolników, odchodzącego w przeszłość twardziela, którego świat pożarty został w drugiej połowie XIX w. przez cywilizację przemysłową. Dla Irlandczyków zaś Kelly to jedna z wielu ofiar koronnego, protestanckiego ucisku. Brutalnego i aroganckiego tak samo w chmurnym Éirinn, jak na upalnych antypodach.

O gangu Kellych nakręcono kilka filmów. W tym z roku 1970 r. główną rolę grał nawet wokalista Rolling Stones Mick Jagger. W latach 40. Sydney Nolan poświecił Kelly'emu cykl swoich surrealistycznych obrazów. Idiom „game as Ned Kelly" (hardy jak Ned Kelly) wszedł na stałe do australijskiej odmiany angielskiego. Postać Kelly'ego ubrana w zbroję samoróbkę została uwieczniona na pomniku stojącym w środku osady Glenrowan, gdzie gang Kellych stoczył swoją ostatnią bitwę z policją.

W pierwszej połowie XIX w. australijskie władze kolonialne traktowały Irlandczyków z pogardą ustępującą jedynie tej zarezerwowanej dla Aborygenów. W takiej sytuacji Irlandczycy, chcąc przetrwać jako wspólnota, musieli albo chwytać za broń, albo bogacić się, by stać się równymi Anglikom. Oba sposoby okazały się skuteczne. Pierwszy doprowadził do obniżenia cenzusu wyborczego i wprowadził Petera Lalora, lidera buntu kopaczy złota, do parlamentu. Ciężkiej pracy i zmysłowi do interesów zawdzięczał zaś fotel premiera John O'Shanassy. Urodzonemu w 1854 r. Nedowi Kelly'emu obce były owe drogi. Zaczął jako koniokrad, skończył jako „zabójca gliniarzy".

Ojciec Kelly'ego, Red, niegdyś skazaniec, w 1854 r. był już wolnym człowiekiem, zrazu solidnym gospodarzem na 25 ha ziemi wydartej z buszu w prowincji Wiktoria. Stary Red popadł w długi i na początku lat 60. zaczął pić. W 1866 r. zmarł – i tak Ned stał się jedynym żywicielem rodziny. W tym momencie był już rosłym, bardzo silnym i barczystym młodzieńcem. Dobrze bił się na pięści, jeździł konno i potrafił przetrwać w lesie. Był straceńczo odważny. W roku śmierci ojca, choć nie umiał pływać, wskoczył do głębokiej, pełnej wirów rzeki, ratując swojego siedmioletniego kolegę od utonięcia. Dostał za to od rodziców uratowanego piękny zielony szal, który zakładał do końca życia na specjalne okazje.



Konstabl Alexander Fitzpatrick, postrzelony przez Neda Kelly'ego podczas próby aresztowania jego brata Dana FOT. WIKIPEDIA

XIX w. / Historia irlandzkiego gangu w Australii

Ned Kelly

Koniokrad

W rodzinie Kellych się nie przelewało, a do tego łatwo można było oberwać w nos. Matka Neda kilka razy wdawała się w bójki ze swoimi krewnymi, płacąc za to potem grzywny. W 1868 r. w domu Kellych pojawił się brat zmarłego Reda, Jimmy, recydywista. Pokłócił się o coś z Ellen, a ta przepędziła go z domu, waląc

eprasa.pl 374c0e181c



Ujęcie Harry'ego Powera FOT. WIKIPEDIA

jeszcze na odchodne butelką po ginie w głowę. Wujek Jimmy wrócił jednak pijany i podpalił dom Kellych. Cudem nikt nie zginął. Jimmy dostał 15 lat ciężkich robót, sąsiedzi złożyli się na nową chałupę, a Ellen spłaciła długi, szyjąc po nocach ubrania. W tym czasie Ned, choć miał już w ręku kilka przydatnych rzemieślniczych fachów, przystał do tzw. łobuziaków. Byli to z reguły młodzieńcy z biednych rodzin, trudniący się złodziejstwem, rozbojami, lubiący popić i szpetnie kląć. Owej działalności próbowali dodać nawet sentymentalnego sznytu, jak głosiła jedna z ludowych piosenek, irlandzkiego – jakżeby inaczej! – pochodzenia, pt. „Dziki chwat z kolonii", opowiadająca „o zabieraniu bogatym i dawaniu biednym":

Dalej, bracia, ku wzgórzom szerokim marsz
Razem będziemy pędzić, grabić, kraść
Przez doliny i równiny niech galop poniesie nas
Nie dla nas spokojny żywot, kajdany zrzucić czas.

W 1869 r., mając 14 lat, Ned przystał do Harry'ego Powera, znanego w okolicy bandyty, który słynął z tego, że wymykał się policji. Jedną z pierwszych ich ofiar był miejscowy lekarz J.P. Rowe, któremu rabusie ukradli dwa konie. Bogatemu Robertowi McBeanowi zrabowali na gościńcu buty i zegarek, innemu podróżnemu zaś siodło i uzdę. Power został ostatecznie schwytany przez policję w jakiejś jamie na odludziu, ale w sądzie nikt nie potrafił precyzyjnie zidentyfikować jego młodego pomocnika. W tym czasie do domu Kellych zawitał pewien chiński domokrążca. Poprosił o szklankę wody. Według późniejszych zeznań starsza siostra Neda, Annie Gunn, miała obrazić Chińczyka, podając wodę ze strumienia zamiast ze studni. Domokrążca miał ją za to zwyzywać. Doszło oczywiście do bójki, do której wmieszał się Ned, bijąc Azjatę jego własną bambusową lagą. Gość natychmiast udał się na policję, ale w obliczu sprzecznych zeznań Nedowi upiekło się po raz drugi.

Kilka miesięcy później los się od niego odwrócił. Odwiedził go bowiem niejaki Isiah „Wild" Wright, siłacz i znajomy farmer. Przyjechał na kradzionym koniu – o czym Ned nie wiedział. Rano rumak uciekł w dzicz. Ned dał więc kompanowi swojego własnego konia, za co Wright pozwolił mu przygarnąć uciekiniera, jeśli oczywiście uda się go złapać. Ned po jakimś czasie schwytał konia Wrighta i pojechał do pobliskiej osady Wangaratta się zabawić. Tam przydybał go pewien policjant, od dawna cięty na Kelly'ego, i ostatecznie Ned trafił za kratki na trzy lata. Po odsiadce spotkał oczywiście w barze Wrighta, który wyrządził mu niedźwiedzią przysługę. Efektem spotkania był bokserski pojedynek na gołe pięści, trwający kilka godzin. Ned pokonał dotychczasowego lokalnego lidera pięściarstwa i ostatecznie tych dwoje zostało przyjaciółmi. Ned powrócił oczywiście do złodziejskiego rzemiosła – tym razem kradł konie ze swoim ojczymem do czasu, aż ów nagle zniknął. Ellen została po raz drugi sama w swojej chacie na równinach nieopodal Glenrowan.

Fitzpatrick

Kluczową postacią w życiu Neda stał się konstabl Fitzpatrick. Po spotkaniu z nim życie Neda miało już nigdy nie być takie samo. Według apologetów Kelly'ego był to człowiek skorumpowany, zepsuty, alkoholik i kłamca. W kwietniu 1878 r. przyjechał do Kellych, aby aresztować Dana, młodszego brata Neda, pod zarzutem – co stało się już tradycją tej rodziny – kradzieży koni. To, co stało się w chacie, nie jest do końca jasne. W czasie późniejszych rozpraw Kelly utrzymywali, że Fitzpatrick przyszedł do domu pijany i czekając, aż Dan zje obiad, zaczął niełądnie umizgiwać się do siostry Kellych, Kate. Mając tego dość, Dan odepchnął go od Kate. Konstabl miał wówczas zacząć strzelać, na co Ned postrzelił go w samoobronie, a Ellen przyłożyła łopatą w głowę. Ranny konstabl zdołał uciec.

Kłopot w tym, że zeznania te były ze sobą sprzeczne, a Kelly często zmieniali swoje wersje. Fitzpatrick faktycznie zebrał negatywne opinie od swoich przełożonych, ale zaczęły się one pojawiać dopiero dłuższy czas po próbie aresztowania Dana Kelly'ego i żadna z nich nie dotyczyła alkoholizmu czy kłamstwa. Fitzpatrick, jadąc do domu Kellych, wypił szklankę brandy i lemoniadę – wówczas jednak spożycie takiej ilości alkoholu w pracy czy po dłuższej podróży konnej uznawano za rzecz absolutnie normalną. Dan Kelly chciał po prostu uniknąć aresztowania, wykorzystując być może fakt zainteresowania, które Fitzpatrick okazał Kate. Dość powiedzieć, że za feralny cios łopatą aresztowano matkę Kellych. Kobieta przesiedziała w więzieniu trzy lata.

Dan i Ned zaś zniknęli i od tego momentu do końca swoich dni byli już banitami. Do dwójki dołączyli wkrótce Joe Byrne i Steve Hart, recydywiści i bliscy koledzy Kellych. Czteroosobowa banda czmychnęła rychło w głęboki busz, zaszywając się nad potokiem Bullock w porośniętych eukaliptusami lasach na wzgórzach zwanych Wombat Ranges. Ich kryjówka była znakomicie ufortyfikowana, jednak gang miał tylko krótką broń. Kelly wiedział również, że prędzej czy później policja wpadnie na ich trop. Postanowił więc ze zwierzyny przeistoczyć się w myśliwego i zrabować broń szukającym go policjantom. Okazja nadarzyła się 26 października 1878 r. Gang Kellych odkrył, że nieopodal nad potokiem Stringybark obozuje dwóch policjantów, a dwóch kolejnych patroluje okolice dość daleko. Kelly mieli więc chwilową przewagę liczebną i element zaskoczenia. Wyrośli nagle pośrodku policyjnego obozowiska, rozbrajając i wiążąc zaskoczonego kompletnie konstabla Thomasa McIntyre'a. Drugi z funkcjonariuszy nie zamierzał jednak złożyć



Ned Kelly FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 374c0e181c



Dom rodziny Kellych w Beverigde FOT. WIKIPEDIA

broni. W momencie, gdy próbował wskoczyć za przewalony pień, Kelly trafił go prosto w czoło. Podchodząc do zabitego policjanta, stwierdził z ponurym uśmieszkiem, że to konstabl William Loningan. Ten sam, który w czasie jednego z wielu zatrzymań, które Kelly miał na koncie, wykręcał mu boleśnie jądra. Banici usiedli wokół ogniska, posilając się policyjnymi zapasami i pilnując jeńca.

Po kilku godzinach w obozie pojawiło się dwóch kolejnych nieświadomych niczego policjantów. Rozgorzała strzelanina, w której górą byli lepiej ukryci i wciąż mający przewagę banici. Kolejnych dwóch policjantów padło martwych. Wykorzystując zamieszanie, konstabl McIntyre zerwał jednak więzy, wskoczył na konia i ruszył gwałtownie w busz. Po jakimś czasie kompletnie wyczerpany uderzył w konar i spadł z konia, który pobiegł dalej w dzicz. Policjant przeczekał noc w norze wombata i następnego dnia pieszo dotarł do oddalonego o 30 km posterunku w Mansfield już na równinach.

Za zabójstwo policjantów cała czwórka została wyjęta spod prawa – oznaczało to, że każdy, kto napotka teraz kogokolwiek z gangu Kelly'ego, może go bezkarnie zastrzelić. Kiepska perspektywa, ale okazało się jednocześnie, że w pobliskich wsiach i miasteczkach wyrosła Kelly'emu całkiem spora grupa sympatyków, głównie irlandzkiego pochodzenia. „Jeśli Fitzpatrick nie zostanie ukarany, to urządzę tu rzeź straszniejszą niż ta, którą Święty Patryk sprawił wężerom i ropuchom w Irlandii" – grzmiała pierwsza z odezw Kelly'ego wysłana do gazet w Melbourne. Grono sympatyków wzrosło jeszcze bardziej, gdy policja rozpoczęła aresztowania „na chybił trafił" wśród farmerów w okolicach, gdzie grasował Kelly, licząc na wyłuskanie w ten sposób jego bliskich współpracowników.

Rychło po strzelaninie w Stringybark Kelly postanowił obrabować bank. Pierwszą ofiarą padła instytucja w miasteczku Euroa, oddalonym od Wombat Ranges o ok. 80 km. Poszło łatwo. Banici przecięli linie telegraficzne i bez ceregieli, z bronią, niczym nasi szopenfeldziarze, wparowali do małego banku, rabując prawie 3 tys. funtów, co jak na tak zuchwały czyn nie było kwotą oszałamiającą. Kelly wziął również zakładników, co stało się typowe dla kolejnych organizowanych przez niego napadów. Wygłosił do nich mowę, w której przedstawił się jako ofiara kolonialnego systemu i policyjnej opresji. Zakładnicy – zarówno ci z Euroa, jak i późniejszego Jerilderie – wspominali potem, że Kelly traktował ich przeważnie z szacunkiem i galanterią. Innego zdania była oczywiście żona uwięzionego w Jerilderie policjanta, której Kelly groził śmiercią i spaleniem domu, jeśli ta wezwie pomoc. Ten napad był jeszcze bardziej zuchwały niż w Euroa – gang Kellych paradował bowiem przez miasto przez kilka godzin w policyjnych mundurach zdobytych na pobliskim komisariacie.

Nie jest prawdą, że zrabowane pieniądze gang Kellych dawał jakimś anonimowym „biednym" dobranym według klucza majątkowego. Większość oddał swoim rodzinom – stąd właśnie eleganckie suknie i nowe siodło zakupione przez Ellen Kelly. Reszta poszła na podtrzymanie lojalności współpracowników „w terenie" – faktem jest, że wielu z nich było biednymi dzierżawcami irlandzkiego pochodzenia.

„Jestem synem wdowy wyjętym spod prawa i moje rozkazy muszą być przestrzegane!" – wołał w kolejnej odezwie Kelly. O tym zaś, że słynny banita niezbyt nadaje się na bohatera współczesnej lewicy, mówił inny fragment listu, który Kelly wysłał do premiera Nowej Południowej Walii, Henry'ego Parksa: „Rzeknę Panu, Panie Henryku, że rozboje na gościńcach są jeszcze w powijakach, gdyż biała ludność dopiero od niedawna jest wypychana z rynku pracy przez potop Mongołów [to o Chińczykach – przyp. J.O.], a gdy doprowadza się białego człowieka do rozpaczy, to nadchodzą czasy bardzo ciężkie".

Nastał rok 1880 r. Ned Kelly z rabusia przeistoczył się w przywódcę plebejskiego buntu. Jego epicentrum miało znaleźć się w Glenrowan. Kelly chciał zwabić do wsi pociąg, wykoleić go, zabić lub pojmać jadących w nim policjantów, zdobyć broń i rozdać ją zgromadzonym w okolicach gospody, w pobliżu stacji, zwolennikom. To właśnie wtedy z okolicznych farm zaczęły znikać żelazne pługi i lemiesze. Gang Kellych wykuwał z nich zbroje – okazały się jednak tak ciężkie, że pełną ich wersję, z hełmem przypominającym te noszone przez XIII-wieczne rycerstwo, mógł nosić tylko siłacz Ned.

Tory w Glenrowan udało się zniszczyć, jednak od tego momentu cały plan zaczął się sypać. Wabikiem dla policji miało być zabójstwo policyjnego informatora Alana Sheritta, dokonane głośno i za dnia. Z jakiegoś jednak powodu policja dowiedziała się tego ze sporym opóźnieniem. Kelly, licząc na rychłe przybycie pociągu, pozwolił swoim kamratom na spoufalenie się z zakładnikami pochwyconymi na poczcie i w knajpie – wśród których, po prawdzie, trudno było odróżnić prawdziwych zwolenników gangu od osób postronnych. Kelly wypuścił też kilku zakładników z małymi dziećmi. Jednym z nich był lokalny nauczyciel Thomas Curnow, który popijając wcześniej z jednym z członków gangu, dowiedział się o całym planie powstania. Ruszył więc wzdłuż torów i machając czerwonym szalikiem, zatrzymał nadjeżdżający w końcu pociąg. „Uważajcie, Kelly tu są!" – krzyknął do maszynisty i zniknął. Tymczasem Kelly zorientował się, że z zasadzki nici. Wycofał się więc ku tawernie, do której podchodziło już kilkudziesięciu policjantów.

Tak rozpoczęła się uwieczniana w kinematografii i komiksach strzelanina. Pierwszy zabity został Joe Byrne, kiedy beztrosko relaksował się w pobliżu okna, ze szklaneczką brandy, czekając na walkę. Kelly zaś w zbroi zaczął bronić się zza przewalonego eukaliptusa bądź z werandy tawerny. Pociski odbijały się od jego pancerza, jednak gdy Ned podniósł rękę do strzału, policyjna kula trafiła go pod pachę, a inne dotkliwie raniły nogi. W zamieszaniu zakładnikom i zwolennikom gangu udało się uciec z tawerny, jednak zostali tam Dan Kelly i Steve Hart – zginęli w ogniu podłożonym pod budynek przez policję. Ned Kelly został natomiast opatrzony, przewieziony do Melbourne, gdzie powieszono go 11 listopada 1880 r. W jego obronie zebrano ponad 30 tys. podpisów, co z grubsza odpowiada procentowemu udziałowi Irlandczyków w całej australijskiej społeczności okolic Melbourne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 374c0e181c

Już 12 września w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 374c0e181c



Szarża 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich pod Wólką Węglową na obrazie Michała Byliny FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

1939 r. / Pułkownicy Edward Godlewski i Adam Epler

O dwóch kawalerach Złotego Virtuti



Marek Gałęzowski

„kiedy Ojczyzna zażąda od nas rachunku, będziemy mogli odpowiedzieć na każde pytanie. Niech pan powie swym żołnierzom, że umieli bić się o honor swej Ojczyzny”

O szarży 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich pod Wólką Węglową we wrześniu 1939 r. pisał włoski korespondent Mario Apellius. Obserwował on bohaterskich kawalerzystów polskich w momencie, gdy po bitwie nad Bzurą, z szablą w ręku, usiłowali się przedrzeć do Warszawy. A zagradzał im drogę niemiecki pułk, którego patronem był Adolf Hitler.

„Dowództwo polskie wykonywało swoją setną próbę przedarcia się, okupując ją straszliwą hekatombą krwi... Nagle bohaterski zespół kawalerzystów w sile około dwustu ludzi wyłonił się w galopie z zarośli. Nacierali oni, mając w środku rozwinięty sztandar. Tak piękna była ta ostatnia ofiara, że wszystkie niemieckie ckm-y umilkły, a tylko działa strzelały. Ich ogień stworzył zaporę na przestrzeni trzystu metrów przed liniami niemieckimi. Polscy kawalerzyści nacierali całym pędem jak na średniowiecznych obrazach. Na czele wszystkich galopował dowódca z podniesioną szablą. Widać było, jak malała odległość pomiędzy grupą polskich kawalerzystów a ścianą niemieckiego ognia. Szaleństwem było kontynuować ten bieg naprzeciw śmierci. Był to ostatni akt zbiorowego samobójstwa. Odległość malała. W końcu grupa kawalerzystów zniknęła wśród wytrysków płomieni, dymów i wybuchów

eprasa.pl 374c0e181c





Pułkownik Edward Godlewski i marszałek Edward Śmigły-Rydz FOT. NAC

eksplodujących pocisków. Gdy dym się rozwiał, nie było już grupy kawalerii. Jeszcze tylko kilku ułanów, cudem ocalałych, szaleńczo nacierało dalej na pozycje niemieckie, niektórzy bez hełmów, w polówkach. I im właśnie poddawały się załogi czołgów niemieckich…".

Gnali jak burza

Dowódcą pułku, który wydał rozkaz do ataku na Niemców i osobiście poprowadził przeciw nim swoich żołnierzy, był płk Edward Godlewski. Urodzony w 1895 r., w czasie pierwszej wojny światowej służył w kawalerii rosyjskiej, a po utworzeniu jednostek polskich w Rosji, w drugiej połowie 1918 r., bił się z bolszewikami w Dywizjonie Jazdy Polskiej 4. Dywizji Strzelców gen. Lucjana Żeligowskiego. Z nią też wrócił do kraju i od razu wziął udział w wojnie polsko-ukraińskiej, odznaczając się męstwem w bitwie pod Jazłowcem 11–13 lipca 1919 r. Na pamiątkę tego zwycięstwa w sierpniu 1919 r. oddział Godlewskiego przekształcono w 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich, który nie mniejszym męstwem odznaczył się także w wojnie z bolszewikami. Sam Godlewski wyróżnił się odwagą m.in. pod Niestanicą 14 sierpnia 1920 r. oraz pod Chłopiatynem. Dzielność okazana w bojach z Armią Czerwoną przyniosła młodemu porucznikowi Virtuti Militari.

W niepodległej Polsce był rzadkim przykładem oficera, który przez większość służby nie tylko pozostawał w macierzystym pułku, lecz także objął jego dowództwo. Pełnił w nim funkcję dowódcy szwadronu, krótko kwatermistrza, a od lutego 1928 r. zastępcy dowódcy, czasowo, w zastępstwie – także dowódcy pułku, 1 stycznia 1930 r. mianowany podpułkownikiem. W końcu tego roku objął dowództwo 20. Pułku Ułanów im. Króla Jana II Sobieskiego z miejscem postoju w Rzeszowie, na pięć lat rozstając się z ułanami jazłowieckimi. Kiedy jednak 1 stycznia 1936 r. mianowano go pułkownikiem, wrócił do nich jako dowódca.

Był znakomitym oficerem, co znalazło wyraz w wybitnych ocenach służbowych, w których podkreślano jego energię, pracowitość, obowiązkowość, wysoki poziom wyszkolenia wojskowego, inteligencję i – co nie mniej zwracające uwagę – zainteresowanie potrzebami żołnierza i dbałość o niego. „Posiada dużo cech bojowego dowódcy kawalerii: ruchliwość, opanowanie, dużą przytomność umysłu. Korpus oficerski i podofic. [erski] prowadzi bardzo dobrze, wśród których jest ogólnie lubiany. Dobry organizator całokształtu pracy w pułku, którego ogólny poziom od chwili objęcia przez niego dowództwa wyraźnie się podniósł. […] Pod każdym względem bardzo dobry dowódca pułku w czasie pokoju i na wojnie".

eprasa.pl 374c0e181c

We wrześniu 1939 r. ułanów jazłowieckich przydzielono do Podolskiej Brygady Kawalerii Armii „Poznań". Pomyślnie walczyli oni z Niemcami pod Uniejowem, a następnie, po chwalebnym udziale w bitwie nad Bzurą, ruszyli w kierunku Warszawy przez Puszczę Kampinoską. I na jej skraju 19 września 1939 r. płk Godlewski poprowadził uderzenie pułku pod Wólką Węglową. Było ono jedną z kilku wrześniowych szarż polskiej kawalerii, na pewno jednak największą, a przede wszystkim zwycięską, ponieważ ułani przełamali pozycje niemieckie i przebili się do oblężonej stolicy. Wbrew słowom Apelliusa szarża nie była też „aktem zbiorowego samobójstwa".

„O godz. 15 w linii rozwiniętych szwadronów ruszył pułk do szarży. Na czele szedł 3. szwadron por. Mariana Walickiego, przy nim dowódca pułku i – jak dobrze zauważył włoski korespondent – poczet sztandarowy. Ułani gnali jak burza. Gwałtowny ogień niemieckich dział, granatników i kaemów czynił liczne wyrwy w ławie szarżujących, ale nie zdołał ich powstrzymać. Niemcy zaczęli porzucać stanowiska. Szarża trwała 18 minut. Przebiła przejście przez rygle stanowisk oraz czołgów i baterii niemieckich. Otworzyła drogę Grupie Operacyjnej Kawalerii, za którą wpłynęły w wyłom resztki wojsk gen. Kutrzeby [czyli Armii „Poznań"]. Miała więc nie tylko znaczenie taktyczne, lecz także operacyjne" – trafniej, chociaż bez romantycznej emfazy Włocha, oceniał przyczyny i przebieg szarży Jerzy Ślaski.

Wyjątkowe bohaterstwo okazane przez 14. pułk, który miał już na sztandarze Virtuti Militari, dało jazłowczykom szczególne wyróżnienie – prawo umieszczenia na jego wstędze słów o niezwykłym męstwie, okazanym w pamiętnym wrześniu, a płk. Godlewskiemu Złoty Krzyż Virtuti Militari (a miał też Krzyż Walecznych z czterema okuciami).

W konspiracji

W chwili kapitulacji Warszawy płk Godlewski był chory na zapalenie płuc i przebywał w Szpitalu Ujazdowskim. Zdecydował się nie iść do niewoli i kontynuować walkę. Po wyleczeniu zbiegł ze szpitala i w końcu października 1939 r. był już w Krakowie. Tam, wspólnie z dwoma innymi



Pułkownik Adam Epler

FOT. WIKIPEDIA

oficerami kawalerii – płk. Tadeuszem Komorowskim i płk. Klemensem Rudnickim – utworzył konspiracyjną organizację Kaerge (od pierwszych liter nazwisk jej dowódców), w której objął funkcję zastępcy Komorowskiego i dowódcy „w rezerwie", na wypadek aresztowania dotychczasowego jej szefa. Jak wspominał Rudnicki, w lutym 1940 r. wraz z Godlewskim miał nakłaniać mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala", do rozwiązania jego oddziału partyzanckiego, czemu ten odmówił.

Wiosną 1941 r. płk Godlewski przeszedł do Okręgu Białystok ZWZ, gdzie miał spędzić trzy lata, większość jako komendant Obszaru nr 2 Białystok. Po likwidacji Obszaru wrócił do Warszawy. Był już kwiecień 1944 r., okupacja niemiecka zbliżała się do końca, Armia Krajowa zaś przygotowywała się do uderzenia na Niemców. Godlewski objął wówczas, pod pseudonimem Garda, stanowisko komendanta Okręgu Kraków AK. To on kierował odtwarzaniem sił zbrojnych przewidywanych do użycia w akcji „Burza" – były to 6., 21. i 24. dywizje piechoty oraz Krakowska Brygada Kawalerii. 25 lipca 1944 r. został mianowany dowódcą Grupy Operacyjnej „Kraków" AK i trzy dni później wydał rozkaz rozpoczęcia „Burzy" na terenie swojego okręgu, szczegółowo określając zadania inspektoratów w walce z Niemcami. 29 lipca przekazał komendę nad okręgiem gen. Stanisławowi Rostworowskiemu, ale po jego aresztowaniu przez Niemców (i rychłym zamordowaniu) 11 sierpnia ponownie objął to stanowisko.

Podobnie jak gen. Rostworowskiemu i „Gardzie" nie dane było przeżyć wojny. 20 października 1944 r. w drodze do Kielc, dokąd udał się na wezwanie gen. Leopolda Okulickiego, został aresztowany przez Niemców, gdy w czasie rewizji przy towarzyszącym mu łączniku Okręgu Radomsko-Kieleckiego znaleziono dokumenty konspiracyjne. Nie wiadomo, czy aresztowanie było przypadkowe czy spowodowane donosem. Warto jednak zauważyć, że co najmniej od 10 marca 1944 r. gestapo znało personalia Godlewskiego – taką datę nosi dokument zawierający charakterystykę jego służby w WP, sporządzony w Archiwum Wojsk Lądowych Gdańsk-Oliwa na prośbę komendanta Policji i Służby Bezpieczeństwa na Dystrykt Krakowski. Pułkownik Godlewski, przewieziony 24 października do Krakowa, został uwięziony w słynnej katowni gestapo przy ul. Montelupich. Podjęte przez jego podkomendnych próby wykupienia nie powiodły się, a sam Godlewski odrzucił propozycję współpracy wojskowej z Niemcami. 6 lub 8 grudnia 1944 r. wywieziono go do niemieckiego obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, a w lutym 1945 r. – do Mauthausen. Zachorował tam na różę i został umieszczony w bloku śmierci lub w szpitalu obozowym. Zmarł z głodu w przededniu zakończenia drugiej wojny światowej. Wcześniej z rąk Niemców zginęła jego żona Ida, łączniczka AK, zastrzelona w chwili aresztowania pod Juraciszkami w Nowogródzkiem za spoliczkowanie jednego z nich.

W SGO „Polesie"

Kiedy ułani jazłowieccy przedzierali się do Warszawy, na dalekim Polesiu zakończyło się organizowanie dywizji – trzonu SGO „Polesie" gen. Franciszka Kleeberga – wojska, które wkrótce miało stoczyć ostatnią bitwę polskiego września. Na jej czele stanął płk Adam Epler. Urodzony w starej, zasłużonej rodzinie lwowskiej, był starszy od płk. Godlewskiego o cztery lata i w odróżnieniu od niego jako poddany Franciszka Józefa I w czasie pierwszej wojny światowej służył w c.k. armii. Wówczas uzyskał stopień oficerski, a jako broń wybrał sobie artylerię.

Natychmiast po rozpadzie armii austriackiej wstąpił do WP. Dowodził baterią, później dywizjonem 3. pułku artylerii polowej. Uczestniczył w wojnie z Ukraińcami, a po jej zakończeniu natychmiast został przeniesiony na front walk z bolszewikami. Wielokrotnie odznaczył się walecznością – pod Ostrogiem, Równem, Włodawą, wreszcie w ciężkiej bitwie pod

eprasa.pl 374c0e181c

Brzostowicą Wielką. Przełożeni uważali go za wybitnego oficera bojowego, „który swą odwagą i decyzją trafną w najgorętszych sytuacjach był przykładem dla innych oficerów". To dało mu tak samo jak płk. Godlewskiemu Virtuti Militari i Krzyż Walecznych z czterema okuciami.

Nie może dziwić, że taki oficer pozostał w czynnej służbie niepodległego państwa, do końca lat 20., w macierzystym pułku, już w 1924 r. awansując do stopnia podpułkownika. Otrzymywał bardzo dobre i wybitne opinie służbowe. Podkreślano jego wysokie wyszkolenie fachowe, zdolności organizacyjne, sumienność. „Pułkownik Adam Epler jest oficerem niepospolitej wartości. Cechuje go wysoka prawość charakteru i niezwykła wytrwałość w pracy. Doskonały, o dużej i twórczej inicjatywie, dowódca pułku. Dbały o dobro moralne i materialne pułku oraz żołnierza". Później został dowódcą 28. pułku artylerii polowej, przez pewien czas równocześnie był komendantem garnizonu w Dęblinie. Mimo że w kwietniu 1934 r. ukończył z wynikiem bardzo dobrym VII Kurs Wyższych Dowódców Artylerii przy Wyższej Szkole Wojennej, 15 października 1935 r. został przeniesiony na stanowisko drugiego dowódcy piechoty dywizyjnej 20. Dywizji Piechoty w Baranowiczach, a w czasie mobilizacji w sierpniu 1939 r. objął dowództwo jej Ośrodka Zapasowego w Słonimiu.

Po wybuchu wojny, między 9 a 14 września 1939 r., na rozkaz gen. Franciszka Kleeberga Epler utworzył 60. Dywizji Piechoty Rezerwowej „Kobryń" (głównie z ośrodków zapasowych 30. i 20. DP). Była ona największą i najlepszą w sensie bojowym wielką jednostką SGO „Polesie". Od 14 września jej oddziały toczyły pomyślne walki z Niemcami pod Kobryniem. Po agresji sowieckiej i cofnięciu się Niemców na zachód grupa gen. Kleeberga rozpoczęła marsz w kierunku Warszawy. 30 września oddziały dywizji płk. Eplera starły się zwycięsko z Armią Czerwoną pod Jabłonią i Milejowem. Kiedy w drugim z tych bojów sowiecki dowódca zaproponował Polakom kapitulację, kilku żołnierzy Eplera obrzuciło czerwonoarmistów granatami, pociągając za sobą uderzenie pozostałych oddziałów polskiej dywizji na bagnety, co sam dowódca skwitował: „Los bolszewików był przesądzony [...]. Oddział sowiecki przestał istnieć".



Spieszona polska kawaleria w bitwie pod Kockiem

FOT. WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE/CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

Od 1 października 1939 r. Epler brał udział w ostatniej bitwie kampanii polskiej pod Kockiem. Dowodzona przez niego dywizja szczególnie odznaczyła się w boju pod Wolą Gułowską. Pułkownik był przeciwny kapitulacji, której decyzję podjęto 5 października z powodu wyczerpania amunicji – chwilę wcześniej otrzymał bowiem meldunek, który streścił w swoich wspomnieniach: „Charlejów zajęty – jesteśmy na tyłach Niemców – nieprzyjaciel rzuca broń i rynsztunek i cofa się w popłochu".

Na Zachodzie

Tylko dwa dni płk Adam Epler przebywał w niewoli niemieckiej. Po ucieczce z przejściowego obozu jenieckiego w Radomiu przedostał się do Krakowa, gdzie wkrótce, wspólnie z działaczem Stronnictwa Narodowego Tadeuszem Surzyckim, przystąpił do tworzenia organizacji konspiracyjnej, w meldunku płk. Stefana Roweckiego określonej nazwą „Epler" (w źródłach występują również inne warianty nazwy – Krakowska Organizacja Wojskowa i Organizacja Wojskowa Krakowa). Zapewne na początku 1940 r. Epler zetknął się z pułkownikami Godlewskim, Komorowskim i ppłk. Rudnickim i włączył swoją grupę do kierowanej przez nich organizacji Kaerge. Działalność konspiracyjna płk. Eplera nie trwała jednak długo. Zagrożony aresztowaniem przez Niemców, w czerwcu 1940 r. przedostał się na Węgry. Internowany, zbiegł do Jugosławii, a następnie przez Turcję i Cypr dotarł do oddziałów polskich, formujących się na Bliskim Wschodzie.

W marcu 1941 r. objął dowództwo Legii Oficerskiej w Egipcie, którą latem skierowano do broniącej Tobruku Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. W październiku Epler dotarł drogą morską do twierdzy wraz z grupą kwatermistrzowską, której zadaniem było przygotowanie przyjęcia całej Legii Oficerskiej. Wobec zbombardowania konwoju, którym płynęła Legia, i jego zawróceniu do Aleksandrii stanął na czele samodzielnej baterii przeciwpancernej. Udział w obronie Tobruku był dlań jednak tylko epizodem, gdyż w listopadzie 1941 r. ów oddział również wrócił do Aleksandrii. W późniejszym czasie Epler został przeniesiony do I Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w Anglii, gdzie służył do końca wojny.

Zmarł 20 lat później, w 1965 r., na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii – jeden z nielicznych polskich oficerów, odznaczonych za 1939 r. Złotym Krzyżem Virtuti Militari, któremu w chwili kapitulacji ostatni walczący generał polski mógł z pełnym przekonaniem, bez fałszywego patosu, powiedzieć: „Nic sobie nie mamy do zarzucenia. Zachowaliśmy honor żołnierski do końca. Kiedyś, kiedy Ojczyzna zażąda od nas rachunku, będziemy mogli odpowiedzieć na każde pytanie. Niech pan powie swym żołnierzom, że umieli bić się o honor swej Ojczyzny".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl 374c0e181c



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Rozmowa / Z dr. Damianem Markowskim

rozmawia Piotr Zychowicz

Gehenna Polaków w Galicji

Zbrodnie w Galicji Wschodniej znajdują się w cieniu Wołynia. UPA wymordowała tam co najmniej 30 tys. Polaków

PIOTR ZYCHOWICZ: Co się stało 16 czerwca 1944 r. w pociągu jadącym z Bełżca do Rawy Ruskiej?

DR DAMIAN MARKOWSKI: Pociąg został zatrzymany w pobliżu wsi Zatyle przez bojówkę Służby Bezpieczeństwa OUN. Banderowcy sprawdzili dokumenty podróżnych. Oddzielili Niemców, Ukraińców i folksdojczów od Polaków. Tych ostatnich odprowadzili do lasu. W grupie byli mężczyźni, kobiety, kilkuletnie dzieci, starcy. Ofiary zostały obrabowane, a następnie zastrzelone. Rannych dobito bagnetami i bronią białą.

Podobno wśród ofiar była 19-letnia dziewczyna. Podobno oddała ukraińskiemu nacjonaliście biżuterię i on obiecał, że jej nie zabije. Ale chwilę później została zgładzona przez innego oprawcę. Czy to prawda?

Znana jest taka historia. Czy jest prawdziwa – nie wiadomo na sto procent. Kilku Polakom udało się natomiast uniknąć masakry, bo udawali, że nie mają dokumentów. I podali się za Ukraińców.

Wkrótce po odejściu oprawców na miejsce przybyli miejscowi AK-owcy. Wojciech Iwulski „Kazik" zrobił serię wstrząsających zdjęć ofiar.

Dzięki temu zachowała się unikalna dokumentacja. Na fotografiach widzimy stosy ciał leżące w lesie. Uwieczniony został moment, gdy transportowano je do Tomaszowa na drezynie kolejowej. Najbardziej wstrząsająca jest fotografia dwuletniej dziewczynki ze straszliwymi obrażeniami. Gdy ogląda się te zdjęcia, na myśl od razu przychodzi Wołyń.

Czy to był jednostkowy przypadek?

Nie. Masakra pod Zatylem była tylko jednym z tysięcy krwawych epizodów ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach w Galicji Wschodniej. Niestety, o tej tragedii mówi się niewiele. Gehenna tamtejszych Polaków znalazła się w cieniu Wołynia.

Ilu ludzi zginęło pod Zatylem?

Około 70.

Dlaczego ukraińscy nacjonaliści ich zabili?

Bo byli Polakami. W zamyśle OUN wszystkie tereny sporne – a do takich należała Galicja Wschodnia – miały zostać „oczyszczone" z polskiej ludności.

eprasa.pl 374c0e181c

Na czym polegała różnica między Wołyniem a Galicją?

OUN zdawała sobie sprawę, że w Galicji nie pójdzie jej tak łatwo jak na Wołyniu. Na Wołyniu Polaków przed wojną było zaledwie 16 proc. Społeczność ta została dodatkowo przetrzebiona przez sowieckie wywózki. W Galicji Wschodniej w 1944 r. mieszkało zaś co najmniej milion Polaków. Byli lepiej zorganizowani, zamieszkiwali zwarte obszary. Do tego należy dodać duże miasta, gdzie byli ludnością dominującą. Na czele ze Lwowem.

Kiedy kierownictwo OUN podjęło decyzję, że ludobójstwo należy przenieść z Wołynia do Galicji?

Plany snuto od dawna. Jeszcze przed atakiem Niemiec na Związek Sowiecki przywódcy OUN zakładali, że pozbędą się polskiej ludności. Zamysł ten zaczął się jednak krystalizować pod koniec 1943 r. W październiku Roman Szuchewycz, jeden z czołowych działaczy ruchu, pojechał na inspekcję na Wołyń. Wizytował całe tereny opanowane przez UPA. Zrobiło to na nim wielkie wrażenie. Uznał, że scenariusz wołyński należy powtórzyć w Galicji Wschodniej.

Podobno decyzja o wymordowaniu Polaków w dowództwie OUN nie zapadła jednogłośnie. Szuchewycz natrafił na opór towarzyszy. Mykoła Łebed i inni działacze uważali, że to będzie plama na honorze ukraińskiej sprawy.

W OUN rzeczywiście istniały różne frakcje. Ścierały się rozmaite poglądy. Za radykalnym Szuchewyczem – którego zdanie ostatecznie przeważyło – stanęła frakcja tzw. Wołyniaków. Czyli działaczy, którzy byli odpowiedzialni za ludobójstwo na Wołyniu.

Kim był Szuchewycz?

Przedwojennym bojowcem UWO. W 1926 r. brał udział w zamachu na kuratora oświaty Stanisława Sobińskiego. Sobiński został zastrzelony na lwowskiej ulicy na oczach żony. Potem Szuchewycz aktywnie działał w komórkach OUN wykonujących wyroki i inne zadania bojowe. Podczas wojny służył w stworzonym przez Abwehrę batalionie „Nachtigall", a potem w niemieckiej policji. W niemieckim mundurze brał udział w działaniach pacyfikacyjnych na Wschodzie. Jako człowiek z wielkim „doświadczeniem bojowym" z czasem został mianowany dowódcą UPA.





Ofiary zbrodni pod Zatylem koło Lubyczy Królewskiej

FOT. ROPWIM, IPN





Skąd jego nienawiść do Polaków? W II RP siedział w obozie w Berezie Kartuskiej. Podobno Polacy się nad nim tam pastwili. Czy to miało wpływ na jego nastawienie?

No, na pewno nie pomogło mu to złagodnieć. Ale poglądy ukraińskich nacjonalistów, którzy trafili do Berezy, były już w pełni ukształtowane. Późniejsze ludobójstwo na Polakach nie było prywatną wendetą za krzywdy, które przywódcy OUN doznali ze strony II RP. To była realizacja koncepcji Ukrainy dla Ukraińców. OUN była formacją faszystowską i takie stosowała metody. Ale oczywiście nie ma co ukrywać, że przed wojną część nacjonalistów rzeczywiście odsiadywała wyroki w ciężkich polskich więzieniach i w Berezie. Pierwszą polską wsią wymordowaną na Wołyniu była Parośla. Do masakry doszło w lutym 1943 r. Oddziałem UPA dowodził Hryhorij Perehijniak „Dowbeszka", który w II RP odsiadywał długi wyrok za zabójstwo.

Czyli celem ludobójstwa była Ukraina „czysta jak łza"?

Tak. Plus przygotowanie gruntu pod przyszłą konferencję pokojową. Szuchewycz mówi, że robimy to, co robią wielkie państwa. A jednocześnie przygotowujemy sobie „wygodne pozycje przy zielonych stołach". Uważał, że skoro po wojnie na terenie Galicji nie będzie polskiej ludności, to teren ten zostanie przyznany Ukrainie. A nie Polsce.

Czy kiedy mówił o tym, że UPA robi to, co robią wielkie państwa, miał na myśli Holokaust?

Możemy zakładać, że tak.

Czyli wiemy już, że decyzję o zagładzie Polaków w Galicji podjął Szuchewycz. A kto miał paść ofiarą czystki? Zachowały się rozkazy OUN, które nakazywały zabijanie samych mężczyzn. Kobiety i dzieci miały zostać oszczędzone.

Taki rozkaz wydał m.in. Wasyl Sydor „Szełest", dowódca grupy UPA „Zachód". To on – na szczeblu dowódczym – był bezpośrednim wykonawcą zbrodni. Rzeczywiście w pierwotnej wersji OUN zakładała, że Polaków będzie trzeba przede wszystkim wystraszyć. Część zamordować, tak aby reszta w przerażeniu uciekła na Zachód. Na tereny, które nacjonaliści określali mianem „rdzennej Polski".

Tyle teoria. A praktyka?

W praktyce przypominało to Wołyń. W zaatakowanych miejscowościach UPA zabijała wszystkich. Kobiety, dzieci, starców. I tam samo jak na Wołyniu były dwie fale przemocy. Najpierw atak oddziałów UPA. A potem mordy i grabieże dokonywane przez sąsiadów. Czyli ukraińskich chłopów. Polacy z dnia na dzień stawali się zwierzyną łowną, ludźmi wyjętymi spod prawa.

Dlaczego sąsiedzi brali w tym udział?

Możliwość łatwego wzbogacenia się. Grabieży zwierząt gospodarczych, przedmiotów codziennego użytku, butów, odzieży. W warunkach okupacji niemieckiej doszło do drastycznego zubożenia ludności. Czystka rozpętana przez OUN dawała możliwość zdobycia cennych dóbr. Czemu z niej nie skorzystać? Stanisław Leszczyński z podolskiej wsi Giermakówka stracił ojca i część rodziny w napadzie na wesele w lutym 1944 r. UPA zabiła wtedy 30 osób. Opowiadał później, że jego sąsiedzi uwierzyli, że wystarczy zabić Polaków, aby mieć

eprasa.pl 374c0e181c



Kościół i klasztor w Podkamieniu

FOT. WIKIPEDIA/PETRO VLASENKO

więcej kur, świń i narzędzi gospodarczych.

Czyli OUN wywołała klimat dla ludobójstwa. Dlatego pierwotne rozkazy o mordowaniu samych mężczyzn pozostały na papierze?

Nastąpiła radykalizacja dołów. Zarówno bojowców z oddziałów UPA, jak i sąsiadów. Ale również samego kierownictwa, które dawało na to przyzwolenie. Znany jest rozkaz wydany dołom, w którym napisano wprost, żeby podczas akcji antypolskich nie okaleczać ofiar. Nie ucinać rąk, nóg, nie wyrywać języków, nie wybijać oczu. Skoro wspomina się o takich potwornościach, to wiadomo, że do nich dochodziło.

Istnieje opinia, że rzeź galicyjska została dokonana łagodniejszymi metodami niż wołyńska.

Większość ofiar rzeczywiście zginęła od strzałów karabinowych. Ale nie wszystkie. Przytoczę kolejny rozkaz. W pewnej wsi nakazano nacjonalistom aresztować 10 mężczyzn. Następnie zgromadzić całą polską ludność i na jej oczach ściąć 10 nieszczęśników siekierami. Następnie ogłosić, że taki los spotka wszystkich Polaków, jeżeli w 48 godzin nie opuszczą tej miejscowości.

Kiedy to się zaczęło?

W Galicji mordy pojedynczych Polaków zdarzały się już od połowy 1943 r. To byli przedstawiciele lokalnych elit: leśnicy, księża, sołtysi. Ludzie, którzy mogli zorganizować polską społeczność do oporu. Potem nacjonaliści zaczęli zabijać całe rodziny, a na końcu palić całe miejscowości. Pierwsze łuny pożarów nad Galicją Wschodnią pojawiły się w styczniu 1944 r. To rozwijało się strefowo. Wszędzie, gdzie na bazie lokalnej samoobrony powstawały oddziały UPA, dochodziło do masowych zabójstw ludności polskiej. Ludobójstwo apogeum osiągnęło wiosną 1944 r.

Jaką rolę odegrały bojówki Służby Bezpieczeństwa OUN?

Dokonywały mniejszych likwidacji. Gdy w miejscowości mieszkało kilka polskich rodzin, nie było sensu wysyłać tam całej sotni UPA. Na miejsce przybywało komando egzekutorów z SB. Traktowano to jako zaprawę dla bojowców przed większymi masakrami. Mieli „poczuć krew". Zachowały się wspomnienia dowódcy takiej grupy Dymytra Kupiaka „Kleja". Po wojnie razem z żoną uciekł do Polski na dokumentach zamordowanego polskiego małżeństwa. Organizował PPS na tzw. Ziemiach Odzyskanych, został przedsiębiorcą. We „Wspomnieniach nierozstrzelanego" napisał, że po tych „akcjach szkoleniowych" musiał wyrzucić kilka osób z bojówki, bo nie wytrzymywały psychicznie.

Gdzie doszło do największej masakry?

W Podkamieniu. W marcu 1944 r. na terenie miasteczka i klasztoru nacjonaliści zamordowali – w zależności od źródeł – od 350 do 600 polskich cywilów. Straszliwa masakra. Rozmawiałem z jednym ze sprawców, który – podobnie jak „Klej" – na dokumentach zamordowanego uciekł na Zachód. A konkretnie – wstąpił do armii Berlinga.

Przyznał się do winy? Wyraził skruchę?

Nie. Nie było na to szans. Ale był bardzo zdziwiony, że go odnalazłem. Do końca życia mieszkał w Polsce. Zmarł sześć lat temu.

Mówił pan, że w Galicji Polacy byli lepiej zorganizowani niż na Wołyniu. Co zrobiła AK, aby ratować rodaków?

Polacy koncentrowali się na dwóch działaniach. Pierwsze: odwet punktowy. Czyli zamachy na ważnych Ukraińców, np. komendantów policji pomocniczej. Drugie: samoobrona w polskich miejscowościach. Niestety, ta ostatnia akcja mocno kulała. To jest dla mnie coś niepojętego. Już we wrześniu 1943 r. wydane zostały rozkazy o konieczności organizowania samoobrony. Ale niewiele z tego wyszło. Dopiero przystąpienie przez UPA do masowej akcji antypolskiej na początku 1944 r. otrzeźwiło polskie podziemie. Ale wtedy było już za późno.

A odwet?

On również był fatalnie zorganizowany. Przykład: spalenie ukraińskiej miejscowości w powiecie Przemyślany. Na terenie, na którym do tej pory nie było mordów na Polakach. Polscy partyzanci zabili tam z zimną krwią ponad 120 osób narodowości ukraińskiej. To byli spokojni ludzie, którzy nie mieli nic wspólnego z antypolską czystką. Między innymi księża, kobiety i dzieci. Lokalna sieć AK wysłała potem meldunek do Lwowa: „Co wy zrobiliście?! Podlaliście tylko oliwy do ognia. Odwet spadł nie tam, gdzie spaść powinien. Teraz nas wymordują".

Odwet z reguły jest ślepy.

Tak. Na ogół organizowała go AK, ale czasami był spontaniczny. Pewien chłopak – wówczas 19-letni – przeżył wymordowanie własnej rodziny tylko dlatego, że 22 godziny przesiedział w psiej budzie. Wyszedł z niej półżywy i dołączył do polskiej samoobrony. Był samotnym wilkiem. Wymykał się nocami – cały obwieszony bronią, amunicją, bagnetami – i wracał po kilku dniach cały we krwi. Po tym, co zobaczył, treścią jego życia stała się zemsta. Mówiąc o odwecie, pamiętajmy jednak o dwóch sprawach. O tym, kto zaczął. I o tym, że dysproporcja ofiar po obu stronach była kolosalna.

Jaką rolę odegrały Polskie Komitety Opiekuńcze?

To była działająca legalnie organizacja, która pomagała Polakom w Galicji Wschodniej. PKO miały gęstą sieć placówek lokalnych i ich działacze lepiej niż Armia Krajowa zdawali sobie sprawę z koszmaru, który rozgrywał się na prowincji. Dlatego wpadli na pomysł, że Polacy – aby bronić się przed banderowcami – powinni wziąć karabiny od władz niemieckich.

I tu doszło do konfliktu z AK.

Armia Krajowa, a przynajmniej jej komenda na szczeblu okręgu, stała na nieprzejednanym stanowisku: Polacy nie mogą brać broni od Niemców. Znany jest rozkaz komendanta tarnopolskiej AK wydany w lutym 1944 r. A więc w trakcie kulminacji pierwszej fali mordów na Polakach. Oficer ten zapowiadał, że każe rozstrzelać na miejscu tych, którzy zgodzą się na wzięcie broni od Niemców.

To jest szokujące. Dobry Polak powinien dać się zastrzelić upowcom, byle tylko nie „zhańbić się" wzięciem karabinu od Niemców.

eprasa.pl 374c0e181c

Galicyjska Armia Krajowa była wierna politycznej linii Komendy Głównej w Warszawie i polskiego rządu w Londynie. Chodziło o to, żeby zamanifestować przed Sowietami niezłomną wolę walki z Niemcami. Z tej koncepcji zrodziła się akcja „Burza".

To jaką ofertę AK miała dla zagrożonych Polaków?

Sugerowano, aby się organizować. Żeby w polskich miejscowościach powieszono gongi alarmowe, aby – w momencie nadejścia UPA – ludność uciekała do lasów. Problem w tym, że te rady były niepraktyczne. Często niemożliwe do wykonania. Gdy na wieś napadała grupa kilkudziesięciu dobrze uzbrojonych, dobrze zorganizowanych bojowców UPA, z reguły otaczała miejscowość szczelnym pierścieniem. A wtedy można było już tylko liczyć na cud.

A więc w Galicji powtórzyło się to, co miało miejsce na Wołyniu. AK miała inne priorytety niż ochrona ludności.

Myślę, że ochronę ludności traktowano jako cel równorzędny z akcją „Burza". Pytanie tylko, czy nie powinien być to cel priorytetowy. Polakom groziła fizyczna zagłada. Oczywiście bądźmy sprawiedliwi. Były również miejscowości, w których AK zorganizowała skuteczną samoobronę.

Czy przyjście Sowietów automatycznie położyło kres ludobójstwu w Galicji?

Absolutnie nie! Mimo że zmienił się okupant, banderowskie uderzenia w Polaków trwały nieustannie. Napady i mordy nasiliły się jeszcze bardziej, gdy Sowieci ogłosili, że wywiozą Polaków na Zachód, do nowej komunistycznej Polski. Oczywiście mowa o tzw. repatriacji.

Przecież to absurd! Polacy mieli i tak wyjechać. Po co ich mordować?

Ukraińscy nacjonaliści używali wówczas określenia: „Pomóżmy Polakom w wyjeździe". To miał być dodatkowy bodziec skłaniający polską ludność do wsiadania do wagonów.

UPA przedstawiała się jako siła antysowiecka. A to była de facto współpraca z bolszewikami.

Oczywiście to nie było jawne współdziałanie. Wystąpił po prostu wspólny cel. Zarówno Sowieci, jak i banderowcy chcieli oczyścić Galicję z polskiej ludności. W listopadzie 1944 r. doszło do kolejnej fali mordów. Także – o czym rzadko się mówi – na Bukowinie, która przed wojną wchodziła w skład Rumunii i nie była przedmiotem polsko-ukraińskiego sporu terytorialnego.



Roman Szuchewycz, dowódca UPA, i upamiętniający jego stulecie urodzin (2007 r.) znaczek pocztowy

FOT. WIKIPEIDA/UIA, DOMENA PUBLICZNA

Kiedy ten horror się skończył?

Masowe napaście na polskie wsie stopniowo wygasły do końca wiosny 1945 r.

Co się wtedy stało?

Doszło do pierwszego porozumienia między UPA a polskim podziemiem.

Dopiero wtedy zorientowano się, że obie strony mają wspólnego wroga – Sowietów?

To jeden powód. Drugi był taki, że UPA zdała sobie sprawę, że nie ma już sensu mordować Polaków. Polski opór wobec sowieckich deportacji pękł i ludzie zaczęli masowo wyjeżdżać na Zachód. Paradoksalnym zakończeniem tej historii jest fakt, że ostatni poakowski oddział działający na terenie ziemi lwowskiej utrzymał się dzięki pomocy lokalnej sieci OUN. Działał do końca czerwca 1945 r.

Jaki jest bilans ludobójstwa w Galicji?

W świetle moich badań zginęło 31,5 tys. Polaków. Nie wliczam w to ofiar, które padły z rąk oddziałów niemieckich pacyfikujących polskie wioski. Nawet jeżeli tych pacyfikacji dokonywały osoby narodowości ukraińskiej. Mam tu na myśli zbrodnie Ukraińskiej Policji Pomocniczej czy pułków policyjnych złożonych z ochotników do Dywizji Waffen-SS „Galizien". Udało mi się ustalić personalia niespełna 16 tys. ofiar. Ponad połowa to kobiety i dzieci. Taki jest stan badań na dziś. Ale te cyfry mogą się zmienić.

A ile ofiar pochłonął polski odwet?

Nie więcej niż 2 tys. Dwa tysiące wobec 30 tys. zgładzonych Polaków. To najlepiej pokazuje, że narracja o „obopólnych rzeziach" i „wojnie domowej" jest fałszywa.

Jak potoczyły się losy Szuchewycza?

Toczył bezpardonową walkę z Sowietami jako dowódca UPA. W 1950 r. w Biłohorszczy pod Lwowem został otoczony przez grupę operacyjną sowieckiej bezpieki i zabity. To sprawia, że trafił do panteonu bohaterów narodowych.

Ukraińska poczta wydała znaczek z jego podobizną. Stawia się mu pomniki, nazywa na jego cześć ulice.

W Tarnopolu jest nawet stadion imienia Szuchewycza.

Jak na to powinna reagować Polska?

Oczywiście jesteśmy pełni podziwu dla heroicznej walki, którą współcześni Ukraińcy prowadzą przeciwko rosyjskiej napaści. Nasze stanowisko musi być jednak jasne: Szuchewycz był człowiekiem odpowiedzialnym za ludobójstwo. Nie możemy tego odpuścić. Jesteśmy to winni ofiarom.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Damian Markowski jest historykiem Instytutu Pamięci Narodowej. Znawcą dziejów konfliktu polsko-ukraińskiego. Napisał wiele artykułów i książek, m.in. „Płonące Kresy", „Anatomia strachu", „Dwa powstania 1918. Bitwa o Lwów", „Lwów 1944". W przyszłym roku ukaże się jego monografia o rzezi galicyjskiej „W cieniu Wołynia" (Wydawnictwo Literackie).

eprasa.pl 374c0e181c



1933–1999 / Autor powieści historycznych, słuchowisk i dramatów

Widma Władysława Terleckiego



Krzysztof Masłoń

W zapomnienie odchodzi jego twórczość, która mogłaby służyć za wzór licznym autorom współcześnie pisanych książek historycznych...

Autor „Dwóch głów ptaka", Władysław Lech Terlecki, mówił: „Nie zajmuje mnie tzw. odtwarzanie faktów historycznych. Chcę natomiast pokazać to, co z tych faktów wynika dla współczesnego człowieka. Uważam, że historia nigdy nie powtarza się mechanicznie, ale u różnych generacji budzi zbieżne dylematy do rozstrzygnięcia".

Niewątpliwie przeciwstawiał się on mitowi zbiorowej wyobraźni ukształtowanemu pod wpływem romantyzmu przez Orzeszkową czy Żeromskiego. I opowiadał nie o oczywistych bohaterach 1863 r., a – jak w „Spisku" (1966) – o poległym w bratobójczym pojedynku pierwszym naczelniku powstańczej Warszawy Stefanie Bobrowskim czy – jak w „Dwóch głowach ptaka" (1970) – o jej ostatnim naczelniku, uznawanym za zdrajcę Aleksandrze Waszkowskim. A w „Cyklopie" (1988) o margrabim Wielopolskim.

Rewizje historyczne Terleckiego wpisywały się w cały antyheroiczny bunt pokolenia roku 1956, którego najgłośniejszym wyrazem, a zarazem wystąpieniem programowym był artykuł Stanisława Grochowiaka opublikowany w 1959 r. we „Współczesności", a zatytułowany wymownie: „Karuzela zostanie na strychu". Autorowi „Dwóch głów ptaka" obce były jednak, i to gruntownie, szyderstwo, kpina i ironia wobec „narodowych pamiątek", tak charakterystyczne dla tego, co pisali – oczywiście Grochowiak też – ale przede wszystkim Mrożek, jak również – w tamtym czasie – Bryll. „Jeśli tak jak wielu podważa wizję historii postrzeganej przez filtr literackich wzorców – podkreślała Ewa Wąchocka – to nie

eprasa.pl 374c0e181c



FOT. PAP/CAF/ZBIGNIEW MATUSZEWSKI

deprecjonuje przecież przeszłości, lecz polemizuje z jej zakrzepłym obrazem".

Ta sama autorka, pisząc o pisarstwie Terleckiego, skonstatowała, że „jego pozycję określiła i stopniowo ugruntowała nowa formuła prozy historycznej, rozpoznawalna od chwili ukazania się powieści »Spisek« w 1966 r. i zdecydowanie odbiegająca od tradycji gatunku". Obok Teodora Parnickiego – choć w tamtym czasie uważano, że raczej w jego cieniu – dokonał on w tym gatunku jeśli nie rewolucji, to zasadniczej zmiany.

Przeciw widowni

Zainteresowania Terleckiego ukształtowały się na studiach we Wrocławiu, gdy w Ossolineum badał przywiezione ze Lwowa rękopisy z czasów powstania styczniowego. Później, w poszukiwaniu materiałów do powieści, będzie jeździł do Moskwy i Leningradu, by wertować tamtejsze archiwa. Ale nie była jego celem rekonstrukcja faktów historycznych, lecz ich włączenie w fabularną tkankę, którą tworzył on – nikt inny. Najważniejsze były dla niego ludzkie intencje i motywacje. Postrzegane i oceniane współcześnie. I tu zdarzały się niespodzianki. Ewa Wąchocka przypomina: „Obraz historii doświadczonej i doświadczającej, groźnej, koresponduje z dniem dzisiejszym w takim sensie, że zakłada ryzyko zniesienia dystansu. Nie jesteśmy wolni od przeszłości – sugeruje Terlecki – to, co przeszłe, może trwać nadal. Konstrukcja historyczności pozbawiona iluzji odgrodzenia od tego, co było, wydobywała w okresie PRL-u zbiorowe niepokoje odbiorców, dławione w oficjalnym życiu publicznym. Zdarzało się, że wymowa analogii miała niezwykłą siłę oddziaływania, o czym świadczy przedstawienie »Dwóch głów ptaka« w Teatrze Dramatycznym w Warszawie (30 grudnia 1982 r.), wystawione w chmurnej atmosferze wprowadzonego rok wcześniej stanu wojennego. »Waszkowski [...] dojrzewa do świadomości klęski swojej racji: narody silne zwyciężają, narody słabe giną, złudzenia nie mają sensu« – pisał po premierze Janusz Majcherek. Prowadzony przez policję dyskurs historiozoficzny jest bezlitosny. Dawno nie widziałem spektaklu, który z taką konsekwencją grany jest przeciw widowni niemal do końca".

Z zupełnie innych powodów do pierwszej premiery sztuki Terleckiego, „Odpocznij po biegu" (Teatr Powszechny w Warszawie, 1976 r.), mogło nie dojść ze względu na interwencję, bynajmniej nie cenzury, co byłoby normą, ale... Kościoła katolickiego. Zaadaptowana na potrzeby sceniczne i wystawiona przez Zygmunta Hübnera powieść nawiązywała do dawnej głośnej zbrodni popełnionej przez Macocha, zakonnika z klasztoru na Jasnej Górze. Wystawienie sztuki oprotestowała Kuria Generalna Zakonu Paulinów, wskazując na możliwość obrazy uczuć religijnych, i dopiero osobista interwencja księdza prymasa Stefana Wyszyńskiego zgasiła zarzewie konfliktu. A sztuka została dobrze przyjęta, do czego prawdopodobnie przyczyniła się jej szeptana „reklama".

Dużym powodzeniem cieszyły się powieści Terleckiego, takie jak wielokrotnie wznawiany „Czarny romans" (1974), w którym za kanwę tematu posłużyło autorowi słynne zabójstwo aktorki Marii Wisnowskiej, dokonane w 1890 r. w Warszawie przez jej kochanka, rosyjskiego oficera Bartenjewa (o sprawie pisał przed laty noblista Iwan Bunin w powieści „Sprawa korneta Jełagina"). Maria Janion zwróciła wtedy uwagę, że Terlecki, tworząc swoje misternie skomponowane utwory, owszem, „korzysta z życia, to znaczy opracowuje powieściowe postawy i konflikty, które doznały już »życiowej artykulacji«, które znamy z jakichś przekazów historycznych (dodajmy – najczęściej mętnych i niedopowiedzianych), ale nadaje im całkiem inny wymiar znaczeniowy niż ten, do jakiego przywykliśmy".



Aleksander Wielopolski. Fotografia Karola Bayera

FOT. WIKIPEDIA/MBC CYFROWEMAZOWSZE.PL

W „Czarnym romansie" narracja prowadzona jest przez zabójcę – Rosjanina, wroga Polaków i polskości. Tym boleśniej odczuwa on zdradę – i tej, której się dopuszcza, i tej, której doznaje. Trawiony obsesją zdrady – kobiety, rodziny, kraju

eprasa.pl 374c0e181c

– zabija ukochaną, ale nie siebie, a miało to być podwójne samobójstwo. Bartenjew spowiada się potem: „Pomyślałem, że umyka chwila, w której powinienem do siebie strzelić. Wiedziałem już, że nie sięgnę po rewolwer. Będę umierał wiecznie". „Dodajmy – pisała Maria Janion – i zdradzał wiecznie […]. Opowieść o miłości i śmierci rosyjskiego porucznika dragonów z pułku stacjonującego w Warszawie na początku XX w. [Terlecki przesunął przedstawione wydarzenia z roku 1890 na pierwszą dekadę zeszłego stulecia – przyp. K.M.] ujawnia jego śmierć w okropności jej niedokonania, jego miłość-zdradę w jej nieskończonym trwaniu".

Piotr Kuncewicz podkreślał wyraźne w książce Terleckiego filiacje z Dostojewskim, Janion zobaczyła w niej opowieść o losie docierającą „do granic, które wyznaczył jej Conrad". Te paralele nie były wcale na wyrost; autorowi „Dwóch głów ptaka" i „Czarnego romansu" zdarzało się osiągać najwyższe szczeble literackiego wtajemniczenia.

Inteligenckie rozterki

Władysław L. Terlecki urodził się w 1933 r. w Częstochowie, tam też skończył szkołę, by w 1951 r. podjąć studia polonistyczne we Wrocławiu. Następnie pracował w prasie PAX-owskiej, debiutując tomem reportaży „Kocie łby" (1956), a dwa lata później wydał zbiór opowiadań „Podróż na wierzchołku nocy", zwracając uwagę krytyki wnikliwie przyglądającej się wówczas fali młodych pisarzy, która wywróciła do góry nogami obowiązującą w czasach stalinowskich literacką hierarchię. Ale prawdziwy pisarski „Terlec" (albo Leszek, bo koledzy mówili o nim i tak, i tak) narodził się z chwilą opublikowania „Spisku".

Od 10 lat mieszkał już wtedy Terlecki w Komorowie pod Warszawą, stale współpracując z Polskim Radiem, w którym niebawem podjął pracę w redakcji literackiej, zasilając ją świetnymi słuchowiskami, na ogół będącymi wariantami jego opowieści prozatorskich. Był też autorem scenariuszy filmowych, m.in. „Bolesław Śmiały" (z Witoldem Lesiewiczem), „… Gdziekolwiek jesteś, Panie Prezydencie", „Gwiazda Piołun". Odrębny rozdział to dramaty, także wywodzące się z jego powieści i opowiadań. Tu należy jednak wspomnieć, że Jacek Łukasiewicz, krytyk przychylny przecież autorowi, zauważył, że jego książki „lepiej czują się w okładkach niż przeniesione na scenę".

A te w swoich okładkach czuły się znakomicie. Andrzej Mencwel, wskazując na dialogowy psychologizm opowiadania Terleckiego i jego historyczną syntetyczność widzenia (cokolwiek by to znaczyło), przekonywał, że „twórczość ta przynosi jedną z najbardziej sugestywnych wizji historii w naszej literaturze – historii pojętej jako przestrzeń ludzkich przeżyć, myśli i działań".

Prozę autora „Spisku" zdominować miała tematyka roku 1863. W 1985 r. w dyskusji zamieszczonej w „Tygodniku Powszechnym" mówił o tym, jak wydarzenia roku 1863 stały się dla niego punktem wyjścia do refleksji nad integralnością narodu: „Sądzę, że insurekcja styczniowa tym się różni od zrywu z 1830 r., że możliwość powodzenia w 1863 r. zredukowana była do minimum. Tu dopiero rodzi się pytanie, które pisarz adresuje do przywoływanych przez siebie widm. Czy mając od początku świadomość klęski, można podejmować takie zadania? W imię czego? Co jest z poczuciem odpowiedzialności?".

To w tamtym czasie widział początek procesów, które określiły kształt polskiej współczesności: „A dlaczego powstanie styczniowe? Bo jest to epoka – powiadał – w której formuje się pewien typ myślenia bliski współczesności. Bo wtedy przecież pojawia się inteligent polski i wszystkie jego rozterki. Bo wyłaniają się wówczas podziały, które do dziś nie straciły swego znaczenia".

Łono Katarzyny II

Włodzimierz Odojewski, który pracował z Terleckim w Polskim Radiu, a później wpłynął na podjęcie przez niego współpracy z Radiem Wolna Europa, tak go charakteryzował: „[…] Był urodzonym konspiratorem, myślę, że coś z tego tkwiło już w jego charakterze. Uprawiać tajną działalność, tu coś szepnąć, tam coś popchnąć naprzód, przekazać jakąś wiadomość, zrobić coś, co mogło nadać inny bieg różnym wypadkom, zmienić kształt jakichś ważnych spraw, wyprowadzić w pole przeciwnika, to była jego



Stefan Bobrowski
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Stanisław Brzozowski
FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 374c0e181c

pasja, ja to nazywałem »ugniataniem rzeczywistości«. A równocześnie chyba prawie nigdy nie naraził się komunistycznej władzy, a w każdym razie poważnie, jakkolwiek większość jego utworów poświęcona była sprawom newralgicznym, polsko-rosyjskim, rewizji różnych utartych poglądów historycznych, też newralgicznych, potrafił to zrobić tak, że cenzura nie łapała go za rękę, a z drugiej strony nie zależało mu na opinii bohatera w środowisku tak zwanej »warszawki«. Był zawsze osobno".

Obok głównego nurtu prozy Władysława Terleckiego warto też zwrócić uwagę na jego powieść z 1988 r.: „Drabina Jakubowa albo Podróż". Ta historia łotrzykowska opowiadająca o misji zleconej przez Stanisława Augusta Poniatowskiego, który mocno poniewczasie proponuje małżeństwo Katarzynie II, ujawnia gdzie indziej tylko sygnalizowane zamiłowanie autora do groteski, a do tego całość stylizowana jest na powiastkę filozoficzną. Ale rzecz czyta się wyśmienicie, a finał powieści, w którym jeden z dwóch królewskich emisariuszy, prawda, że karzeł, wchłonięty zostaje przez łono Semiramidy Północy, jest brawurowy i pozostaje w pamięci jak mało która scena z polskiej prozy ostatniego półwiecza.

W 1980 r. ukazała się po raz pierwszy powieść Terleckiego „Zwierzęta zostały opłacone", zaliczona później przez autora – chyba pochopnie – do utworów quasi-detektywistycznych i wraz z „Czarnym romansem", „Odpocznij po biegu" i „Pismakiem" wydana w jednym pokaźnym tomie pt. „Maski", wyraźnie odróżniając je od „Twarzy", nawiązujących wprost do powstania styczniowego. „Zwierzęta zostały opłacone" powstały na motywach biografii Stanisława Brzozowskiego i choć autor zastrzegał, że „pełna prawda jest w tej opowieści zmyśleniem", to odbiorcy odczytywali powieść przez pryzmat rozgrywających się wydarzeń ostatnich lat przedsolidarnościowych, porównując ją zarazem z „Człowiekiem wśród skorpionów" Czesława Miłosza i innymi utworami odnoszącymi się do głośnego oskarżenia Brzozowskiego o współpracę z carską ochraną. Istota sprawy ujęta została w słowach jednego z bohaterów „Zwierząt…": „Ten, który zdradził, musi zginąć. Ten, który przed zarzutem zdrady ochronić się nie może, musi zginąć również…".

W powieści tej przekonuje Terlecki, że główną przyczyną naszych niepowodzeń jest głęboki rozłam społeczny. „Nie widzimy tu walki z zaborcą – pisała Agnieszka Czarkowska – ale polowanie na pomówionego o zdradę Brzozowskiego. Okazuje się zatem, że mamy u Terleckiego do czynienia z krytyczną oceną polskiego społeczeństwa i jawi się ono jako głęboko podzielone i niejako walczące samo ze sobą. Jednocześnie jednak towarzyszy nam świadomość, że ów podział nie jest wynikiem tylko narodowej wady, ale ma głębokie zakorzenienie w sytuacji politycznego zniewolenia. Skąd bowiem wiadomo, kto jest »obcy«, a kto »swój«? Jak rozpoznać agenta w gąszczu tylu podobnych do siebie twarzy?".

Niewątpliwie wymowa powieści „Zwierzęta zostały opłacone" i dziś jest wciąż niepokojąco aktualna.









Oficerek z Petersburga

Władysław Leszek Terlecki zmarł w maju 1999 r.; nie doczekał swoich 66. urodzin. Trudno zapomnieć jego charakterystyczną sylwetkę: bardzo szczupłego, wysokiego mężczyzny, zawsze odzianego starannie z dozą ostentacyjnej staroświeckości. Ale, niestety, w zapomnienie odchodzi jego twórczość, która mogłaby służyć za wzór licznym autorom współcześnie pisanych książek historycznych, może i zgodnych z faktami, i słusznych politycznie, ale łopatologicznych i płaskich niczym deski klozetowe.

Namawiam zatem młodszych czytelników, by poszukali w bibliotekach książek twórcy „Dwóch głów ptaka", a starszych – by przypomnieli je sobie. Osobiście, powróciwszy do tej właśnie powieści, zdumiałem się jej wizjonerstwem. Oto, co w przededniu procesu szykującemu się na śmierć Waszkowskiemu mówi „gadatliwy Oficerek z Petersburga", człowiek, który sprawił, że poddany praniu mózgu powstańczy naczelnik swoim zeznaniem zaprzeczył de facto wszystkiemu, w co wierzył i co robił do tej pory.

„Społeczeństwo […] potrzebuje urzędów kontrolujących wszelkie społeczne przeobrażenia. […] Należy tworzyć mocny system organizacyjny. Nie burzyć, ale zakładać konieczność zmian. Bez metod rewolucyjnych, bez obalania instytucji państwowych, które będą działać niezależnie od tego, kto będzie siedział na tronie i jakie ustalą się strefy wpływów, bez anarchistycznego bezwładu i bez beznadziejnych zrywów. Istnieje zalążek podobnej siły. Jest nią policja. […] Rehabilitujemy to pojęcie. Potrzebni są w takiej policji ludzie wybitni, mający świadomość zachodzących przeobrażeń i umiejący z tego rozeznania wyciągnąć odpowiednie wnioski. Nie stosujemy przy tym tradycyjnych podziałów etycznych. To, co dla państwowego dostojnika będzie zbrodnią wymagającą najbardziej gniewnego potępienia – Pan Bóg, jak widać, musi być we wszystko wmieszany – dla rewolucyjnego szaleńca może stanowić najwyższą etyczną wartość. I odwrotnie. […] Można doprowadzić do sparaliżowania sił, które z obu stron prą do zwarcia. Ale jest potrzebna do tego głęboka wiedza. Potrzeba nam zatem ludzi, którzy byliby wzorowymi urzędnikami, ale którzy byliby również policjantami. Nie można kontrolować rozwijającego się społeczeństwa, jeśli nie posiada się gruntownej wiedzy o wszystkich istniejących w tym społeczeństwie wektorach. Myślę o ptaku posiadającym dwie głowy".

W Rosji, niezależnie od obowiązującego systemu politycznego, ten najwyższy policyjny krąg zawsze miał wyjątkową pozycję. A za najwybitniejszych uchodzili w nim tacy, jak pewien operacyjny oficer KGB, który, sięgając po władzę, przybył do Moskwy z Petersburga właśnie. Znamy go jako Władimira Władimirowicza Putina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 374c0e181c



Berghof. Ewa Braun ze swym terierem szkockim i Hitler z suką owczarka niemieckiego – kolejną Blondi

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Książka miesiąca / Zwierzęta III Rzeszy

Ezop ze swastyką

Czytelnik bierze do ręki tę książeczkę i nie spodziewa się, jak wstrząsającą treść znajdzie w środku. W tytule są wprawdzie „zwierzęta III Rzeszy", ale nie chodzi o licznych zbirów z SS i gestapo ani o prawdziwą menażerię, jaką tworzyło to stado typów spod ciemnej gwiazdy – czyli przywódców „Tysiącletniej Rzeszy" ze swym „samcem alfa" Adolfem Hitlerem na czele. Nie chodzi nawet o studium socjologiczno-psychiatryczne całego zoologu, którym były Niemcy lat 1933–1945. Chodzi o stosunek do zwierząt różnych gatunków i ras, pozornie bez zarzutu, ale niemiecki autor w fascynujący sposób potrafi dotrzeć do jego korelacji z wykształconymi w Niemcach okrucieństwem, pogardą i rasową wyższością w stosunku do innych narodów.

Narracja narodowych socjalistów przypominała baśnie Ezopa, który w cechach poszczególnych gatunków zwierząt odkrywał, dobre czy niedobre, zachowania ludzi. Oto typowy niemiecki chłopiec Hans. W wieku 10 lat mógł wstąpić do Deutsches Jungvolk, a po ukończeniu 14 lat do Hitler Jugend, gdzie już szykowano go do służby wojskowej i przechodził pranie mózgu oraz ostrą zaprawę fizyczną. Atmosfera otoczenia w domu i szkole była tak silna, że Hans – jak większość rówieśników – z dumą do HJ wstępował. Po marcu 1939 r. nie miałby już wyboru. Do Hitler Jugend musiałby obowiązkowo wstąpić już w wieku 10 lat, a po skończeniu 18 lat na ogół już prosto do Waffen-SS. W 1945 r. brali do Waffen-SS nawet 16-latków.

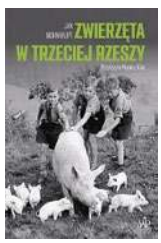
W szkole i w kinie Hans dowiadywał się, że istnieją zwierzęta pożyteczne i pasożyty. Pożyteczne są świnie, bo dają wysokokaloryczne mięso, i dlatego przed zarżnięciem trzeba o nie dbać. Pasożytami są szczury, które trzeba bezlitośnie tępić, bo żerują na ludziach i roznoszą choroby. Wśród ludzi szczurami są Żydzi. Na filmie „Wieczny Żyd" z 1940 r. widać w piwnicach i na ulicach masy szczurów, a spiker mówi: „Są podstępni, tchórzliwi i okrutni i zwykle występują w dużych stadach. Wśród zwierząt reprezentują element podstępnej, podziemnej zagłady, podobnie jak Żydzi wśród ludzi". W październiku 1939 r. ministerstwo propagandy poinstruowało niemieckie gazety: „Nawet ostatniej niemieckiej posługaczce od krów uświadomić, że polskość to tyle samo co podludzkość".

Wcześniej Hansa z kolegami obarczano też obowiązkiem hodowli jedwabników, a potem zbierania kokonów z larwami. Kiedy nadchodzi czas, kokony gotuje się w kadziach, aby zwierzątka uwolniły cienkie i wytrzymałe nici, z których powstają spadochrony dla wojsk powietrzno-desantowych. Na jeden spadochron potrzeba 15 tys. kokonów. Martwymi larwami nikt sobie głowy nie zaprząta. Prawda, jakie to pouczające?

Obszerny rozdział Mohnhaupt poświęca koniom kawaleryjskim, które tysiącami zdychały w pełnej błota lub zasp śnieżnych Rosji, w zaprzęgach ciężkich armat i wozów z amunicją w miejsce ciągników pozbawionych paliwa. Kończyły w kotłach z zupą dla wygłodzonych żołnierzy. Nawet zabawna jest opowieść o Wielkim Łowczym Rzeszy, którym został – obok innych zaszczytnych stanowisk – Hermann Göring. Stał się wtedy zapalonym myśliwym, który masowo zabijał jelenie na zaanektowanych przez siebie państwowych terenach łowieckich, a zwłaszcza w Puszczy Rominckiej, gdzie tym zwierzętom wyrastało największe poroże. Do napadów wściekłości doprowadzali go goście zabijający jelenia, którego on sobie upatrzył.

Hitler miał w latach 1922–1945 13 psów – z jednym wyjątkiem same owczarki niemieckie. Samce zwykle nazywał Wolf, a suki Blondi. Trzecią z nich (i 5 jej szczeniaków) kazał otruć w bunkrze pod Kancelarią Rzeszy opiekunowi psów Tornowowi. Po południu 30 kwietnia 1945 r. skończyli ze sobą Ewa Braun i Hitler. Krasnoarmiejcy znaleźli ich spalone ciała oraz szczątki dwóch psów: szczeniaka i dorosłego, który miał obrożę z napisem „Zawsze z Tobą". Jak pisze autor, Hitler ujawnił swój prawdziwy stosunek do psów: muszą być mu wierne i oddane, a ponieważ jego życie straciło sens – w jego oczach sens straciło też życie Blondi. ©℗

Maciej Rosalak



JAN MOHNHAUPT
„ZWIERZĘTA III RZESZY"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

eprasa.pl 374c0e181c

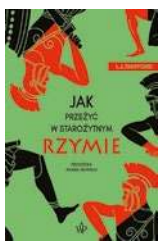
W Rzymie A.D. 95

Brytyjska pisarka historyczna, zajmująca się głównie historią starożytnego Rzymu okresu dynastii julijskiej oraz Flawiuszów, tu zastosowała rozrywkową formę poradnika dla osób obojga płci, które chciałyby się przenieść do Rzymu u schyłku rządów Domicjana w 95 r. n.e. Chciałyby też ów eksperyment przeżyć możliwie ciekawie i koniecznie bez uszczerbku na zdrowiu. Lekka forma nie kłóci się z treścią. Dowiadujemy się, jak żyją w milionowej stolicy ogromnego imperium ludzie różnych warstw – od niewolników i plebsu do ekwitów i senatorów, obcokrajowców i obywateli rzymskich, faworyzowanych przez prawo ojców rodzin oraz idących w ich ślady synów, a także ubezwłasnowolnionych prawnie córek i żon.

Autorka służy radami, z których powinien skorzystać każdy, kto nie chce być napadnięty, ograbiony, pobity lub zabity w zaułkach wśród 30 tys. domów po zapadnięciu zmroku (a jeśli już go obito – to gdzie ma opatrzyć rany). Nie chce też zatruć się poślednim jadłem i octem winnym podawanym mniej szanowanym gościom sadowionym daleko od gospodarza czy przeżywać (lub nie przeżyć!) makabrycznych żartów niektórych cesarzy. Chce zachować zdrowie oraz własne ubranie w łaźni publicznej. Chciałby też kupić odpowiedniego niewolnika. Ale jak to uczynić, skoro taki ze Wschodu bywa sympatyczny, lecz nazbyt delikatny, a taki znad Renu – ponury, ale z kolei silny i zdatny do obrony? Urodzony w niewoli unika przy tym pracy, ale jeniec germański jest skłonny do buntu…

Komentatorka lekkich obyczajów, która wspomaga autorkę, radzi niewieście plebejuszce, która już urodzi minimum troje dzieci (obowiązek każdej Rzymianki) i nie chce podlegać nadal opiekunowi (mężowi, bratu, ojcu) ani być potępianą i skazywaną za pozamałżeńskie przygody miłosne, aby się zarejestrowała jako… prostytutka. Uwolni się od apodyktycznego mężczyzny, zarobi własne pieniądze, przeżyje nareszcie namiętne romanse. Diametralnie inną drogą wiodącą ku wyzwoleniu jest zostać westalką. To rada szczególnie cenna dla tych, które lubią miejsce w pierwszym rzędzie na igrzyskach (inne tłoczą się na koronie amfiteatru), własną ochronę liktorów rozganiających tłok i „… co najlepsze, wolno wam jeździć po Rzymie dwukonnym wozem, co jest niewiarygodnie praktyczne i fajne”. ©℗

Maciej Rosalak



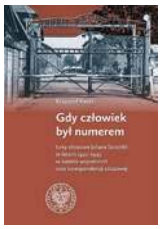
L.J. TRAFFORD
„JAK PRZEŻYĆ W STAROŻYTNYM RZYMIE”
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Wuj Sam na Ukrainie ’44

Misja „Frantic VII” ruszyła rankiem 18 września 1944 r. z brytyjskich lotnisk. 110 latających fortec pojawiło się nad Warszawą, ale tylko co czwarty z 1,3 tys. zrzuconych zasobników z zaopatrzeniem dostał się w ręce walczących powstańców. Następnie amerykańskie samoloty zaczęły lądować na lotniskach w Połtawie i Myrhorodzie na terenie sowieckiej Ukrainy. Stalin zgodził się w końcu na tę wyprawę, ale była to pierwsza i ostatnia taka misja wahadłowa. Arcyciekawa historia amerykańskich baz na Ukrainie, pełna ciągłych sporów, a nawet dzikich awantur z Sowietami, w końcu została kompleksowo opowiedziana. ©℗ ***(p.w.)***



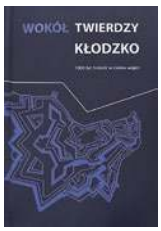
SERHII PLOKHY
„MOST NAD PIEKŁEM”
ZNAK



KRZYSZTOF KIEREŚ
„GDY CZŁOWIEK BYŁ NUMEREM. LOSY OBOZOWE JULIANA SZCZOTKI”
IPN

CZŁOWIEK W OBOZIE

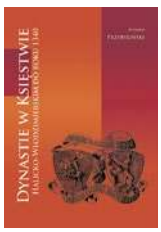
Stalin w jeden sprawie miał rację. Losy jednego skrzywdzonego człowieka poruszają bardziej niż sucha statystyka mówiąca o tym, że cierpiały miliony. Julian Szczotka był członkiem ZWZ/AK, który był więziony przez Niemców w obozach Auschwitz (nr 8100) i Buchenwald (nr 11593). Udało mu się przetrwać, dzięki czemu pozostawił wstrząsające świadectwo. ©℗ ***(p.z.)***



RED. TOMASZ PRZERWA, JACEK JĘDRYSIAK
„WOKÓŁ TWIERDZY KŁODZKO”
GAJT WYDAWNICTWO

RUINY NAD KŁODZKIEM

Dwunastu autorów tworzy ciekawą historię twierdzy, o którą Czesi walczyli z Polakami już w XI w., później cesarstwo z protestantami, Prusacy z Austriakami w XVIII w., a Francuzi i polscy ułani z Prusakami za Napoleona. Wiek XIX unowocześnił fortyfikacje, ale nie tknął ani Twierdzy Głównej, ani podziemnych korytarzy kontrminerskich. Produkcji soków i win za PRL zamek się nie oparł. ©℗ ***(m.r.)***



RYSZARD PRZYBYLIŃSKI
„DYNASTIE W KSIĘSTWIE HALICKO-WŁODZIMIERSKIM DO ROKU 1340”
INFORTEDITIONS

KSIĄŻĘTA RUSI HALICKIEJ

Autor przedstawia dzieje książąt z dynastii Rurykowiczów, panujących w księstwie halicko-włodzimierskim – niektórzy z nich sięgnęli po tytuł królewski – oraz walki o Kijów, Wołyń i Halicz. Książka kończy się na roku 1340, w którym został zamordowany przez bojarów Bolesław Jerzy II, syn księcia mazowieckiego Trojdena i córki księcia halickiego Jerzego I. Po jego śmierci rywalizację o księstwo z Litwą i Węgrami wygrała Polska. ©℗ ***(t.s.)***

eprasa.pl 374c0e181c

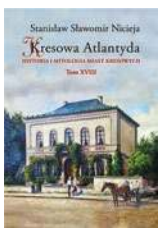


Klasztor karmelitów bosych w Berdyczowie
FOT. WIKIPEDIA/VALENTYN PANCHUK

Siedem miast

W XVIII tomie „Kresowej Atlantydy" prof. Stanisław Nicieja zabiera czytelnika w podróż do dawnych Berdyczowa, Ostroga, Mizocza, Sarn, Włodzimierza Wołyńskiego, Uściługa, Zdołbunowa.

Także w tomie XVIII znajdzie czytelnik wiele nazwisk znanych i sławnych Polaków. Berdyczów wiąże się z osobami Apolla i Józefa Korzeniowskiego, znanego jako Joseph Conrad. Chrzcił go karmelita z berdyczowskiego klasztoru – trzeciego najważniejszego po Jasnej Górze i Ostrej Bramie sanktuarium maryjnego Rzeczypospolitej, zapisanego też w historii konfederacji barskiej. Autor tłumaczy znaczenie powiedzenia „pisz na Berdyczów", a wiąże się ono ze słynnymi jarmarkami berdyczowskimi.



STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA
„KRESOWA ATLANTYDA. HISTORIA I MITOLOGIA MIAST KRESOWYCH", TOM XVIII
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO, WYDAWNICTWO MS

Dzieciństwo we Włodzimierzu Wołyńskim spędził wybitny reżyser Jerzy Antczak, a w książce można przeczytać o tym, jakie reminiscencje z tamtego czasu znalazły się w jego filmowym arcydziele – „Nocach i dniach". We Włodzimierzu Wołyńskim znajdowała się szkoła podchorążych artylerii, którą ukończyli tak znani ludzie, jak Marian Eile, twórca słynnego „Przekroju", Jan Karski i drugi emisariusz Polskiego Państwa Podziemnego Jerzy Lerski oraz znakomity artysta grafik Feliks Topolski.

Autor zwraca uwagę na bohaterów drugiego planu – tych, którzy tworzyli sól kresowej ziemi, byli dla lokalnej społeczności opisywanych miast i miasteczek postaciami ważnymi, cieszącymi się uznaniem i autorytetem. Pisze również o tych, którzy taką rolę odgrywają dziś – o Larysie Wermińskiej, założycielce pisma „Mozaika Berdyczowska", przewodniczącej miejscowego oddziału Związku Polaków na Ukrainie, a także o ks. Witoldzie Józefie Kowalowie, rodem z Zakopanego, który od 30 lat pełni posługę duszpasterską na Wołyniu i jest twórcą instytucji Wołania z Wołynia, wydawcy ponad 100 książek, po polsku i ukraińsku, o dziejach tej ziemi i jej mieszkańców.

Czasy drugiej wojny światowej były dramatyczne i tragiczne dla Polaków na kresach. W książce są więc strony, na których opisano zbrodnie ukraińskich nacjonalistów, m.in. w Parośli, na początku 1943 r. Była to pierwsza masowa zbrodnia dokonana przez OUN-UPA. ©℗

Tomasz Stańczyk

Wiktoria i jej mężczyźni

W jednym z cytowanych w książce listów królowej Wiktorii pisała ona o Rosji jako o kraju barbarzyńskim, tamującym wszelką wolność i cywilizację, z którym nie można mieć normalnych stosunków dopóty, dopóki nie dostanie nauczki. Autor „Królowej Wiktorii", Lytton Strachey, to klasyk biografistyki, a jego opowieść o brytyjskiej królowej czyta się znakomicie.

W ujęciu Stracheya Wiktoria to królowa i kobieta o silnym, czasami despotycznym charakterze, niedająca sobą nikomu kierować. Jednak, co zmartwi feministki, jednocześnie potrzebowała zawsze zaufanego mężczyzny u swego boku. Był to najpierw mąż, książę Albert (drugie „ja" królowej), a gdy zmarł – jego służący, „prosty szkocki góral" John Brown (Wiktorię nazywano złośliwie „panią Brown"), a następnie inny służący, Hindus Abdul Karim.

Po śmierci Alberta królowa wpadła w depresję, długo pogrążona była w żałobie i przestała pełnić funkcje publiczne. Zamknęła się w rezydencji Balmoral, której dzisiejszy kształt nadała przebudowa nakazana przez księcia Alberta.

Zniknięcie królowej spowodowało, że stała się bardzo niepopularna. Jednak wróciła do obowiązków i odzyskała sympatię społeczeństwa. „W oszołomionych oczach swych poddanych Wiktoria była jak gdyby bóstwem unoszącym się gdzieś w przestworzach i otoczonym aureolą sławy". Strachey podkreśla, że królową cechowały prawdomówność, sumienność, prostota oraz żywość uczuć. ©℗

(t.s.)



LYTTON STRACHEY
„KRÓLOWA WIKTORIA"
MG

eprasa.pl 374c0e181c

W Konfederacji Narodu i w AKO

Warto pamiętać, że poza „Burym", „Łupaszką", „Ogniem" „Huzarem" „Orlikiem" czy „Zaporą", czyli najbardziej znanymi postaciami polskiego antykomunistycznego podziemia zbrojnego, w jego strukturach walczyło wielu innych mniej rozpoznawalnych dowódców. Jednym z nich był ppor. Jerzy Kuntz ps. Palant, Kotwicz. Jego wspomnienia „Spowiedź konspiratora i partyzanta" wydane zostały niedawno przez IPN. W okresie wojennym i powojennym prowadził działalność partyzancką. Najpierw związał się w Warszawie z Konfederacją Narodu – organizacją konspiracyjną Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga". Brał wtedy udział w nieudanej tzw. wyprawie steredyńskiej – wymarszu w pole I oddziału UBK (Uderzeniowe Bataliony Kadrowe podległe KN) w 1942 r.



JERZY KUNTZ „SPOWIEDŹ KONSPIRATORA I PARTYZANTA"
IPN BIAŁYSTOK

W marcu 1943 r. uczestniczył w kolejnej takiej próbie, tym razem w ramach oddziału partyzanckiego UBK dowodzonego przez Juliana Jagodzińskiego „Stefana Pawłowskiego", poległego potem w walkach z Niemcami 12 sierpnia 1943 r. Tymczasem Kuntz za zgodą swych przełożonych miesiąc wcześniej wstąpił do AK. Po zajęciu Suwalszczyzny przez bolszewików i przekształceniu AK w AKO został w marcu 1945 r. początkowo zastępcą kierownika samoobrony w Obwodzie AKO Augustów, a dwa miesiące później otrzymał nominację na kierownika samoobrony obwodu.

Głównym obszarem jego działalności było wykonywanie wyroków śmierci na osobach współpracujących z sowieckimi i polskimi komunistycznymi organami bezpieczeństwa. Decyzja o przeprowadzeniu dwóch takich akcji zapadła na naradzie u mjr. Aleksandra Rybnika „Rózgi", komendanta Inspektoratu Rejonowego AKO Białystok. W czasie spotkania postanowiono o likwidacji Bronisława Wojewnika, byłego pracownika sielsowietu z 1940 r., którego w meldunku AKO określono mianem przywódcy Związku Chłopskiej Samopomocy i agenta NKWD. Według wywiadu podziemia Wojewnik rozpracowywał miejscową kompanię rezerwy AKO. Dane o jego aktywnej działalności w tej materii przekazał wywiadowca podziemia ulokowany w augustowskim PUBP. Drugim kandydatem do wykonania na nim wyroku śmierci był Stanisław Piekarski. Co prawda, autor wspomnień przedstawił go jako szefa miejscowej kompartii, ale z dokumentów archiwalnych wynika, że był on organizatorem struktur Stronnictwa Ludowego.

Zlecenie wykonania obu wyroków przypadło w udziale „Kotwiczowi". Porucznik na czele sześcioosobowej grupy udał się w nocy z 16 na 17 marca 1945 r. do jego rodzinnej wsi Krasnybór. Tam konspiratorzy przedstawili się jako funkcjonariusze PUBP z Augustowa. Wojewnik, uznawszy, że ma przed sobą pracowników resortu, opowiedział szczerze o swych osiągnięciach w rozpracowaniu miejscowych struktur podziemia, po czym po zakończonej autoprezentacji został zastrzelony. Kolejnym miejscem, gdzie udali się egzekutorzy, była wieś Jesionowo. Tym razem zastosowany w Krasnymborze fortel się nie powiódł. Piekarski nie chciał otworzyć drzwi i na wezwanie odpowiedział strzałami. Do domu, w którym przebywał, wrzucono dwa granaty. W tym czasie skazany wyskoczył przez okno i uciekł żegnany intensywnym huraganem ognia. Jednak po chwili z pola, przez które uciekał, dało się usłyszeć jęk. Trzech ludzi z patrolu, w tym „Palant", zbliżyło się do miejsca, skąd dochodziły odgłosy. Okazało się, że Piekarski został ciężko ranny i wykonawcy wyroku postanowili go dobić. W październiku 1945 r. Kuntz opuścił teren swej dotychczasowej działalności i udał się na emigrację do Australii. Zmarł w 2006 r. w Melbourne. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

HISTORYCZNE BITWY

Odwet 1655

W cieniu starć zbrojnych sugestywnie opisanych w „Potopie" jest walka ze Szwedami prowadzona przez Wielkopolan. Poza haniebną kapitulacją pod Ujściem latem 1655 r. – czyli blamażem wielkopolskiego pospolitego ruszenia oraz dowodzących magnatów zakończonym zdradą ojczyzny – główny wątek powieści omija Wielkopolskę. A jak frapujące i podnoszące na duchu miały tam miejsce wydarzenia, dowiadujemy się z kolejnej pozycji w cyklu „Historycznych Bitew" Bellony. Od protestu grupy magnatów i szlachty przeciw oddaniu się pod władzę Szwedów, wpisanego natychmiast do księgi grodzkiej Poznania, brawurowego zajęcia Kościana na początku października 1655 r. przez partyzancki oddział Krzysztofa Żegockiego, a po miesiącu skoordynowanych akcji Żegockiego pod Wschową oraz Jana Piotra Opalińskiego (nie mylić z Krzysztofem…) pod Pyzdrami zaczęło się to pierwsze powstanie wielkopolskie. Wsparły je uniwersały prymasa Andrzeja Leszczyńskiego – w październiku – i króla Jana Kazimierza w listopadzie 1655 r. Zawziętość Wielkopolan wywołali sami najeźdźcy, natychmiast po Ujściu rabując oraz paląc miasteczka, wsie i dwory, niszcząc kościoły katolickie i gwałcąc siostry zakonne. W bandyckim procederze pomagał im Mikołaj Rej, prawnuk poety, niestety. Polski odwet przerodził się w pasmo zwycięstw tamtejszych chłopów (!) i szlachty. A partyzantkę sejmiki przemieniły wkrótce w bitne i ofiarne wojsko, które na koniec zmusiło Brandenburgię do zerwania sojuszu ze Szwecją, a samych Szwedów poszukało – nadal wraz z Czarnieckim – w Danii. ©℗

Maciej Rosalak



BARTOSZ STARĘGOWSKI „POWSTANIE WIELKOPOLSKIE 1655–1657"
BELLONA

eprasa.pl 374c0e181c



Rafał A. Ziemkiewicz

Paradoks Rockefellera

Nic bardziej naiwnego niż przypisywanie kapitalistom, że są za kapitalizmem. Owszem, bywają i tacy, którzy wyrażają wdzięczność wobec wolnego rynku za sukcesy, które im umożliwił, ale i oni skłonni są zwykle twierdzić, że konkurencja odegrała już swoją historyczną rolę i czas ją ograniczyć.

Zdecydowanym wrogiem wolnego rynku był człowiek, którego nazwisko stało się wręcz symbolem kapitalizmu: John Davidson Rockefeller, przez wielu wskazywany jako przedsiębiorca, który zgromadził największy majątek w dziejach. Rockefeller nie ukrywał, że konkurowanie ze sobą firm zajmujących się taką samą działalnością to jego zdaniem wielkie marnotrawstwo. W każdej dziedzinie gospodarki należy zbudować monopol – ten będzie zarządzać zasobami oszczędniej, planowo, a zarabiając na obrocie, będzie mógł obniżać ceny detaliczne. Dokładnie to samo twierdzili wszyscy klasycy komunizmu. Sam pamiętam ze szkoły: system kapitalistyczny upada, wbijano nam do głów, bo konkurencja sprawia, że stale grzęźnie w nadprodukcji albo niedostatkach, nie to, co socjalizm, gdzie wszystko jest mądrze zaplanowane i nic się nie marnuje.

Oczywiście jest zasadnicza różnica: komuniści uważali, że monopole powinny być państwowe, a państwo być rządzone przez partię. Rockefeller natomiast chciał monopolu prywatnego, swojego. I faktycznie go zbudował. Być może nie był przy tym aż takim gangsterem, jak głosiły to współczesne mu media, które zbudowały jego do dziś żywą czarną legendę, choć niewątpliwie nie stronił od metod iście gangsterskich: pogróżek, zmów monopolowych, nie mówiąc o obchodzeniu albo wprost łamaniu prawa (zresztą niszczona konkurencja szła jeszcze dalej, posuwając się do napadów na jego placówki czy podpaleń). Przede wszystkim przejmował kolejne firmy branży naftowej, w której ostatecznie zdecydował się działać, niezwykle skrupulatnym zarządzaniem i umiejętnością stałego obniżania kosztów. Co ciekawe, nie robił tego kosztem pracowników. Przeciwnie, był pierwszym, który oferował im akcje pracownicze oraz, po wysłużeniu odpowiedniej liczby lat, stałe emerytury. Za to wyrzucał bezlitośnie za próby zakładania związków zawodowych i za niemoralne prowadzenie się – np. rozwody (z tego samego powodu zerwał stosunki z rodzonym bratem).

Tu jest clou sprawy: największy bogacz USA, symbol chciwości, nie był łasy na pieniądze. Żył dobrze, ale unikał przepychu, dzieci wychowywał bardzo skromnie – jak potem wspominały, celowo kupił im tylko jeden rowerek na czworo, żeby nauczyły się dzielić z innymi. Do monopolu dążył nie po to, by wykorzystać go do zwiększania zysku: obniżał ceny nadal, gdy już go miał. Rockefeller był pobożnym baptystą, biznes traktował jako misję od Boga, a osiągnięte w nim sukcesy jako potwierdzenie, że Bóg uczynił go swym narzędziem. Najwięksi nawet wrogowie przyznawali, że trudno o większego niż on filantropa. Inna sprawa, że pobożność nie przeszkadzała mu kłamać pod przysięgą przed komisją Kongresu.

> Rockefeller był pobożnym baptystą, biznes traktował jako misję od Boga, a osiągnięte w nim sukcesy jako **potwierdzenie, że Bóg uczynił go swym narzędziem**

Kłamstwa nie pomogły, parlament USA specjalną ustawą rozbił monopol Rockefellera na 32 firmy… I to okazało się największym interesem w jego życiu, bo każda z nich musiała mu wypłacać ogromne dywidendy, zwielokrotniając jego zarobki w stosunku do poprzedniego okresu. Jest wiele przypadków napędzenia przez władze zysku kapitaliście – ale chyba tylko ten jeden raz odbyło się to wbrew jego woli. ©℗

eprasa.pl 374c0e181c



Piotr Semka

Galijski charme

Każdy, kto lubi Francję i interesuje go historia Francuzów, chętnie zagląda do tego miejsca w sieci. Institut National de l'Audiovizuel (INA) ma w swoich zbiorach niezwykle poruszający film. Nosi on tytuł „Le voyage de l'amitie – voyage en Pologne". Jest to francuski film o sześciodniowej wizycie prezydenta Charles'a de Gaulle'a w Polsce między 6 a 12 września 1967 r. Ekipa filmowa z Francji wyłapywała znacznie więcej smakowitych drobiazgów z tamtego wojażu przywódcy francuskiego po Polsce, niż pokazywały to media podlegające cenzurze PRL. Dla Polaków ówczesna wizyta francuskiego gościa była okazją do wielkiej demonstracji nadziei wiązanej z Zachodem. Wcześniej coś podobnego działo się w 1959 r. na ulicach Warszawy podczas wizyty wiceprezydenta USA Richarda Nixona.

W 1967 r. nałożyły się na siebie rachuby Władysława Gomułki z emocjami zwykłych Polaków. Gomułka chciał, aby de Gaulle wzmocnił jego pozycję w polityce wobec krajów Zachodu w kwestii uznania granic na Odrze i Nysie. De Gaulle z kolei testował niektóre kraje obozu sowieckiego, szukając okazji do rozluźnienia ich niewolniczego posłuszeństwa wobec Kremla.

Przede wszystkim jednak de Gaulle po prostu lubił Polskę. Tylko najstarsi warszawianie pamiętali, że francuski gość był w Polsce w dramatycznych miesiącach 1920 r., gdy armia Tuchaczewskiego parła na Warszawę, polskim majorem – odznaczonym Virtuti Militari – w grupie uderzeniowej znad Wieprza, która zwinęła bolszewicki front. Aluzją do tej wcześniejszej obecności w Warszawie był wtedy gazetowy rysunek Eryka Lipińskiego, w którym król Zygmunt stojący na warszawskiej kolumnie wręcza generałowi naręcze kwiatów z porozumiewawczymi słowami: „Kopę lat!". We francuskim filmie uwieczniono charakterystyczny gest warszawiaków. Na witrynach wielu prywatnych sklepów wystawiono wówczas portrety generała. Oczywiście były też one eksponowane w państwowych sklepach, np. w witrynach księgarni na Nowym Świecie, gdzie obok zdjęcia de Gaulle'a widniały napisy: „Vive la France!" i „Witamy Dostojnego Gościa".

Już pierwszego dnia wizyty, 6 września, trasa między lotniskiem Okęcie a Śródmieściem była wypełniona wiwatującym tłumem. Zwraca uwagę uwiecznione w filmie przemówienie gen. de Gaulle'a w PRL-owskim Sejmie. Charakterystyczne jest to, że o ile Gomułka przemawiał z kartki, o tyle francuski gość mówił z głowy. Jeden z moich przyjaciół, Krzysztof Nowak, opowiedział mi po latach, że gdy oglądał wtedy w telewizji to przemówienie, jego dziadek zwrócił mu uwagę, że Gomułka przemawia z kartki, a de Gaulle tego nie robi. I wyjaśnił potem zaintrygowanemu malcowi, że to dowód, iż Gomułka musi zatwierdzać swoje przemówienia w sowieckiej ambasadzie, a gość z Paryża jest wolnym człowiekiem, który może mówić, co chce.

Wzruszające są też migawki z podróży de Gaulle'a po Górnym Śląsku. Francuski gość nieprzypadkowo w Zabrzu wypowiedział słowa: „Niech żyje Zabrze – najbardziej polskie z polskich miast". Zabrze do 1945 r. było częścią Niemiec. Okrzyk de Gaulle'a potraktowano w Republice Federalnej Niemiec, która nie uznawała jeszcze granic na Odrze i Nysie, z nieskrywaną irytacją. De Gaulle – mimo że był zwolennikiem pojednania niemiecko-francuskiego – nie krył, że Bonn powinno w końcu uznać granicę powojenną i przestać niepokoić Polaków rewizjonistycznymi pomrukami. W Katedrze Oliwskiej prezydent w generalskim mundurze klęczał przed ołtarzem głównym gdańskiej świątyni i jakoś nikt nad Sekwaną nie uznawał, że prezydencka msza uchybia laickości republiki.

Na koniec swojej wizyty Charles de Gaulle przemówił do Polaków w specjalnej mowie transmitowanej z jego siedziby w trakcie wizyty – pałacu w Wilanowie: „Wszystkim Polakom mówię z głębi serca: Dziękuję Wam! Żegnajcie! Niech żyje Polska! Nasza droga, szlachetna, waleczna Polska!". Francuski gość wypowiedział te słowa po polsku, czym wywołał łzy wzruszenia w oczach milionów Polaków. W podzięce tłumy żegnające go na trasie z Wilanowa na Okęcie skandowały bez końca: „Vive de Gaulle!" i „Sto lat!". Słuchając tych wzruszających słów francuskiego przywódcy, zastanawiałem się, dlaczego obecny lokator Pałacu Elizejskiego monsieur Emmanuel Macron nigdy nie zdobył się na słowa, które wywołałyby podobny efekt u Polaków. Różnica pokoleń? Przeżyć życiowych? A może zwykły brak empatii i zwykłej serdeczności?

W powieści Frederica Forsytha „Dzień szakala" brytyjski zamachowiec snajper chybia, strzelając do prezydenta Francji, gdyż zaskakuje go pochylenie się generała nad odznaczanym weteranem Resistance, którego wielki przywódca postanawia ucałować w oba policzki. Dla zimnokrwistego Anglosasa taka życzliwość nie mieści się w głowie. A my możemy pojąć, dlaczego wielgachnego generała kochało tylu ludzi we Francji i poza jej granicami. ©℗



W witrynach sklepowych obok zdjęcia de Gaulle'a widniały napisy: „Vive la France!" i „Witamy Dostojnego Gościa!" FOT. INA

eprasa.pl 374c0e181c



Władysław Ciesielski „Chrzest Litwy" FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

1385–1410 / Jagiełło, Witold i Krzyżacy

Od Krewa do Grunwaldu



Tomasz Stańczyk

Unia Polski i Litwy była w interesie obu państw, dla Litwy była jednak kwestią przetrwania

Rywalizacja Jagiełły ze stryjem Kiejstutem zakończyła się klęską tego ostatniego i śmiercią w więzieniu w Krewie. Nie sposób ustalić, czy Kiejstut został zamordowany czy też popełnił samobójstwo. Tak czy inaczej Jagiełło powrócił na tron wielkoksiążęcy i od razu znalazł się w trudnej sytuacji.

O Litwie w tym czasie pisał Jerzy Ochmański, że przeżywała poważny kryzys. „Krzyżacy między 1345 a 1382 rokiem podjęli aż 96 morderczych napadów na Litwę, niszczących kraj ogniem i mieczem, coraz bardziej słabła odporność Litwinów". Byli w stanie przeprowadzić tylko 42 wyprawy odwetowe. „Na wschodnich rubieżach Litwa również zaczynała się czuć niepewnie i narastała w niej obawa, czy zdoła utrzymać w uległości zależne od siebie ziemie ruskie. Moskwa bowiem stawała się wielką rywalką Litwy, gdyż podejmowana przez nią akcja jednoczenia ziem ruskich godziła w interesy państwa litewskiego, które wcześniej od Moskwy zaczęło jednoczyć Ruś pod swoją władzą".

Jagiełło nie mógł walczyć na dwa fronty. W 1382 r. musiał zawrzeć z Krzyżakami układ, w którym zrzekał się na ich rzecz połowy Żmudzi. A „korytarz żmudzki" rozdzielał państwo krzyżackie od ziem inflanckiej gałęzi zakonu. Obiecał im też dostarczać posiłki na wojnę, a także i to, że się ochrzci. Nie zamierzał jednak dotrzymywać umowy, więc wielki mistrz wypowiedział mu wojnę, a jego asem w rękawie był Witold, stryjeczny brat Jagiełły, syn Kiejstuta, który także był więziony, lecz udało mu się uciec do Malborka. Miał powody do gniewu na Jagiełłę, który pozbawił go dziedzictwa po ojcu – Księstwa Trockiego – i przekazał je swemu bratu – Skirgielle.

Krzyżacy zaatakowali w 1383 r., zdobyli Kowno, ale Wilno się im oparło, spłonęły tylko przedmieścia.

Jagielle udało się jednak Witolda odciągnąć od Krzyżaków, mimo że nie oddał mu całego Księstwa Trockiego, lecz wykroił dla niego część ziem. Sytuacja wewnętrzna Litwy nie była łatwa: państwo litewskie było faktycznie związkiem księstw, w których rządzili Giedyminowicze, a nie wszyscy chcieli uznać autorytet Jagiełły jako wielkiego księcia.

„Aby utrzymać w związku rozczłonkowane części tak Litwy właściwej, jak i ziem ruskich – pisał Oskar Halecki – trzeba było znaleźć punkt oparcia dla naczelnego władcy na zewnątrz, poza obszarem księstwa [...]. Nie może ulegać wątpliwości, że tym oparciem może być tylko Polska".

Królestwo ze stolicą w Krakowie jawiło się Jagielle także jako najlepszy wybór w sprawie chrztu jego samego i Litwy. Przyjęcie chrztu ze strony zakonu krzyżackiego oznaczałoby faktyczne

eprasa.pl 374c0e181c

podporządkowanie Litwy Niemcom z Malborka. Z kolei przyjęcie chrztu w obrządku prawosławnym (a tak zrobiła część Giedyminowiczów) groziło tym, że Litwini ulegną całkowicie kulturze ruskiej, a jedną z konsekwencji tego byłoby zdominowanie Litwy, której zdecydowana większość ziem składała się właśnie z ziem ruskich, przez wielkiego księcia moskiewskiego.

Mąż dla Jadwigi

Polacy tymczasem po śmierci Ludwika Węgierskiego szukali króla, a ściśle biorąc – męża dla przewidzianej na króla księżniczki Jadwigi, córki Ludwika Węgierskiego. Takiego męża, który wzmocniłby międzynarodową pozycję Polski. Nie należał do nich książę mazowiecki Siemowit IV, za którym wprawdzie przemawiało pochodzenie z dynastii Piastów, ale panował tylko w części Mazowsza. Nie należał do nich także Wilhelm Habsburg, zaręczony już z Jadwigą. Habsburg był bowiem mało liczącym się księciem – kariera rodu Habsburgów dopiero się zaczynała.

Niebezpieczeństwo krzyżackie, moskiewskie, a także chęć wzmocnienia swojej pozycji na Litwie wśród Giedyminowiczów były motywami skłaniającymi Jagiełłę do związku z Polską.

„Dla Jagiełły zdobycie poważnego alianta w walce z zakonem było kwestią życia i śmierci. Dla Polski – nie" – oceniał prof. Andrzej Nowak

Ale Polska miała także swój interes w związaniu się z Litwą. Choć od 40 lat wciąż obowiązywał pokój kaliski zawarty przez Kazimierza III, to przecież w Krakowie nie zapomniano o Pomorzu, które zostało zagrabione przez niemieckich rycerzy zakonników. Nie bez znaczenia było też przerwanie niszczących napadów Litwinów na ziemie polskie.

Nie jest jasne, kto wystąpił z propozycją związku Polski i Litwy poprzez małżeństwo Jagiełły z Jadwigą, Polacy czy Litwini, lecz nie ma to znaczenia: taki układ był korzystny dla obu stron. Dlatego też panowie małopolscy nie zamierzali pozwolić na zawarcie małżeństwa Jadwigi z Habsburgiem.

Umowę zawartą w Krewie w 1385 r. nazywa się unią krewską, w istocie jednak było to przyrzeczenie Jagiełły: w zamian za polską koronę i ślub z Jadwigą zobowiązał się ochrzcić ze wszystkimi poddanymi, uwolnić polskich jeńców, odzyskać utracone ziemie królestwa; ale najważniejsze było zobowiązanie Jagiełły, że przyłączy Litwę do Polski.

Jednak w rzeczywistości nie była to żadna inkorporacja. Litwa nie stała się jedną z prowincji polskiego królestwa, a jej status był w ciągu wielu lat przedmiotem sporów, negocjacji i porozumień. Umowa zawarta w Krewie przewidywała, że Jagiełło wypłaci odszkodowanie, niejako odstępne, Wilhelmowi Habsburgowi za rezygnację ze ślubu z Jadwigą. Habsburg odstępnego nie przyjął, natomiast wybrał się do Krakowa, by zawrzeć małżeństwo z Jadwigą. Miał wtedy ok. 15 lat, Jadwiga – 11.

Według Długosza 11-letnia dziewczynka była całym sercem za Habsburgiem, „ujęta zaletami zacnego młodzieńca, gorąco pragnęła poślubić raczej tego, którego znała, niż nieznanego i nigdy niewidzianego barbarzyńcę". Miała też stronników wśród możnowładców, należał do nich Gniewosz z Dalewic. Inny jednak – Dobiesław z Kurozwęk, kasztelan krakowski – był przeciwny małżeństwu Jadwigi i Wilhelma.

Para spotykała się poza Wawelem w refektarzu klasztoru Dominikanów. Jednak „gdy sprowadzono Wilhelma do zamku królewskiego do łożnicy, by poznał tajniki łoża z królową Jadwigą, staraniem i na rozkaz panów polskich,



Władysław Jagiełło, fragment malowidła z ołtarza w katedrze na Wawelu, XV w. FOT. WIKIPEDIA

niechętnych temu związkowi usunięto go w haniebny i obraźliwy sposób i wypędzono zarówno z zamku, jak i z sypialni i nie dopuszczono w ogóle do spełnienia małżeństwa ze wspomnianą królową". Jadwiga urażona zamknięciem wrót wawelskich za Wilhelmem miała nawet rąbać w nie siekierą.

Jadwiga opierała się małżeństwu z Jagiełłą, jednak postanowiła się o nim dowiedzieć czegoś więcej, wysłany został więc do niego Zawisza z Oleśnicy. Wrócił z wiadomością, że sylwetka księcia jest zgrabna, kształtna, ciało dobrze zbudowane [w tym celu Jagiełło zaprosił Zawiszę do łaźni – przyp. T.S.], wzrost średni, spojrzenie wesołe, twarz podłużna, bez żadnego jednak śladu szpetoty, a obyczaje poważne i godne księcia". Ta relacja przełamała opór Jadwigi, która uległa także argumentowi, że „zapewni wzrost wiary chrześcijańskiej i pokój wśród chrześcijan".

Koronacja Jagiełły bynajmniej nie wzmocniła bezpośrednio władzy na Litwie. Oddał ją w zarząd swemu bratu Skirgielle, ku zawodowi i wściekłości Witolda. Doszło do wojny domowej w latach 1390–1392. Los związku Litwy z Polską wisiał na cienkim włosku. Witold wspomagany przez Krzyżaków zaatakował Wilno, a polska załoga w zamku górnym się obroniła. W walkach zginęli Korygiełło, brat Jagiełły, i Towciwiłł – brat Witolda. Kolejna wyprawa Witolda z niemieckimi rycerzami miała większe sukcesy; właściwie odzyskał on całość dziedzictwa po ojcu. Jagiełło zachował się rozsądnie, pragmatycznie. Udzielił zgody na fakt dokonany, ale zrobił coś znacznie więcej dla stabilizacji sytuacji na Litwie: uczynił Witolda jej namiestnikiem, zachowując dla siebie tytuł wielkiego księcia.

Wielkie plany Witolda

Witold rozpoczął od centralizacji państwa, pozbawiając swoich krewnych władzy w księstewkach, a potem rozpoczął ekspansję na wschód i południe, opanował Smoleńsk, oparł granice Wielkiego Księstwa Litewskiego o Morze Czarne, w Złotej Ordzie osadził na tronie uległego sobie chana Tochtamysza. Ten jednak szybko został obalony. Zapewniwszy

eprasa.pl 374c0e181c



Królowa Jadwiga przestrzega posłów krzyżackich przed walką z Polską FOT. BC.WBP.LUBLIN.PL

sobie za cenę części Żmudzi spokój od strony Krzyżaków, Witold postanowił rozprawić się ze Złotą Ordą.

Jagiełło i Jadwiga bardzo mu tę wyprawę odradzali. Jak pisał Długosz: „Jego wojenne zamiary byłaby poparła bardzo wielka część rycerstwa polskiego, gdyby nie odciągnęła od nich niemal wszystkich polskich rycerzy królowa polska Jadwiga, która w natchnieniu przewidziała klęskę wielkiego księcia litewskiego Aleksandra [imię chrzestne Witolda – przyp. T.S.] i chrześcijańskiego wojska oraz zwycięstwo barbarzyńców".

Z Kijowa, będącego już od ponad 30 lat w rękach Litwinów, ruszyli jednak także nie tak znów nieliczni rycerze polscy. W 1399 r. bitwa nad Worsklą zakończyła się kompletną porażką wojsk litewskich. Poległ wówczas Spytko z Melsztyna, który nie zgodził się na propozycję Witolda, by umknął z pola bitwy.

„W potokach krwi – oceniał Jerzy Ochmański – utonęły ambitne marzenia Witolda o stworzeniu potężnego imperium litewskiego na wschodzie Europy, o podboju Tatarszczyzny i Rusi". A gdyby Witold wygrał nad Worsklą, rządząc takim imperium, nie potrzebowałby już całkiem Polski – stwierdzał prof. Andrzej Nowak. Wraz z klęską Witolda rozwiały się sny Witolda o koronie, a rok przed bitwą bojarzy obwołali go królem. Był to jednak gest bez znaczenia.

W 1399 r. umarła po porodzie królowa Jadwiga, zmarła też jej córeczka Elżbieta Bonifacja. Jagiełło obawiał się, że w związku z tym utraci prawo do tronu. Obawiał się lub udawał taką obawę, deklarował, że wyjeżdża na Litwę. Ale był to najpewniej środek nacisku na możnowładców polskich, by potwierdzili, że nie zamierzają pozbawiać go tronu. Presja okazała się skuteczna.

Oczywiście beneficjentem klęski Witolda była Moskwa, lecz Worskla



Witold, wielki książę litewski. Rysunek Jana Matejki FOT. WIKIPEDIA

była szczęśliwym wydarzeniem dla polsko-litewskiej unii. Witold, który rok przed klęską myślał o swojej koronacji, przekonał się, że bez Polski będzie mu trudno rządzić i bronić Litwy. Doszło więc do porozumienia Witolda z Jagiełłą, aktami unii w latach 1400–1401. Witold otrzymał w dożywotnie władanie Wielkie Księstwo Litewskie wraz z tytułem wielkoksiążęcym, jednak w zależności od Polski. Po jego śmierci Litwa miała wrócić do Korony. Faktycznie doszło jednak wówczas do reaktywowania państwa litewskiego, trudno było mówić, że jest częścią Królestwa Polskiego.

W stronę wojny

Sytuację wewnętrzną Litwy skomplikował bardzo Świrygiełło, brat Jagiełły. Zły już na odebranie mu przed kilku laty Księstwa Trockiego, które przypadło Witoldowi, teraz nie chciał pogodzić się z jego zwierzchnością na Litwie. Poszukał więc wsparcia u Krzyżaków, jednak krzyżackie „rejzy" nie przyniosły mu władzy. Witold musiał jednak zawrzeć w 1403 r. pokój z Krzyżakami, potwierdzając ich prawa do Żmudzi. Zawierał go, mając na względzie kolejną próbę pokonania Moskwy – w wyprawach na wschód oprócz Litwinów wzięli także udział rycerze niemieccy, a także polscy. Zakończyły się one jednak niepowodzeniem.

Rok później Wielkie Księstwo Litewskie, Królestwo Polskie i zakon krzyżacki zawarły pokój w Raciążku. Litwa musiała znów potwierdzić prawo Krzyżaków do Żmudzi. Jagiełło natomiast zdecydowanie odmówił uznania ich praw do Pomorza. Polska zyskała prawo do wykupu ziemi dobrzyńskiej. Na pięć lat zapanowała cisza – przed burzą. Świdrygiełło nadal intrygował przeciwko Witoldowi, zmawiał się z Wasylem, księciem moskiewskim, i Krzyżakami, aż wreszcie został w 1409 r. uwięziony przez Witolda. Ocalił życie dzięki wstawiennictwu Jagiełły, ale przesiedział prawie 10 lat w więzieniu.

Wiosną 1409 r. Żmudzini rozpoczęli powstanie przeciw Krzyżakom. Witold naturalnie wspierał swoich ziomków. Żmudź wymknęła się z rąk Krzyżaków. Poselstwo z Malborka zapytało Jagiełłę, czy zamierza wspierać swego brata stryjecznego. Jagiełło odparł, że musi naradzić się ze swoimi doradcami. „Nie

eprasa.pl 374c0e181c

chciał bowiem ani opuszczać księcia Witolda i Litwinów w ich trudnościach i niebezpieczeństwach – opowiadał Długosz – ani też nie życzył sobie przeniesienia od Litwinów do niego i jego królestwa ciężkiej wojny, ponieważ doradcy polscy zdecydowanie ją potępiali i z największą gorliwością zabiegali, by nie doszło do jej wybuchu".

Być może gdyby Krzyżacy zaczekali na wyniki narad króla z doradcami na zjeździe w Łęczycy, doczekaliby się satysfakcjonującej ich odpowiedzi. Ale byli porywczy i odpowiedzieli Jagielle, że, jak zanotował Długosz: „Skoro król polski nie może odstąpić od swego brata, księcia litewskiego Aleksandra [Witolda – przyp. T.S.] i chce mu pomagać w niesłusznej sprawie, to niech rycerze i panowie Królestwa Polskiego nie oburzają się na mistrza i zakon, jeżeli podrażniony ciężką krzywdą wypowie wojnę Królestwu Polskiemu".

W Łęczycy pod wpływem tej groźby postanowiono udzielić następującej odpowiedzi wielkiemu mistrzowi: Jagiełło nie opuści Witolda w potrzebie, a nawet udzieli mu pomocy. Jednak będzie go przekonywał do tego wszystkiego, co zapewni „pokój i sprawiedliwość".

Wielki mistrz Ulrich von Jungingen źle przyjął to oświadczenie – stwierdził, że ze wszystkimi wojskami uderzy na Litwę. W Malborku replikował mu polski poseł arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Kurowski: „Mistrzu, przestań straszyć nas wypowiedzeniem wojny Litwie, ponieważ jeśli zdecydujesz się na nią, bądź pewien, że podczas gdy ty napadniesz na Litwę, nasz król najedzie na Prusy. Wrogów Litwy uważamy za swoich wrogów i jeżeli ich zaczepisz, skierujemy oręż przeciwko tobie". Długosz pisał, że nie wiadomo, czy arcybiskup powiedział to „nierozważnie od siebie" czy też tak mu kazano.

Tak czy inaczej, niepomny ostrzeżenia wielki mistrz zdecydował zaatakować Królestwo Polskie. „Większą przyjemność – powiedział – sprawia mnie i mojemu zakonowi atakowanie głowy niż nóg". Konrad von Jungingen, jego brat, poprzedni wielki mistrz, gdy umierał w 1407 r., na łożu śmierci przestrzegał przed wyborem Ulricha na jego następcę, stwierdzając, że jest głupcem. Miał rację: wojna, którą Ulrich von Jungingen wypowiedział Polsce dwa lata później, zakończyła się ciężką porażką niemieckiego zakonu pod Grunwaldem.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Rosja i geopolityka



Tomasz Stańczyk

Największą katastrofą polityczną XX w. nazwał Władimir Putin rozpad Związku Sowieckiego. Czyli rozpad imperialistycznego mocarstwa komunistycznego, które jak carska Rosja było „więzieniem narodów". Nawiązując do słów rosyjskiego prezydenta, Jerzy Marek Nowakowski w rozmowie z Witoldem Juraszem powiedział, że największą katastrofą geopolityczną ostatnich stuleci w Europie był upadek I Rzeczypospolitej. Dzięki temu Rosja weszła do Europy i zaczęła mieszać w europejskich sprawach, tak jak to chce robić i dziś.

Inną wartą uwagi myślą Putina jest stwierdzenie, że Rosjanie nikomu nic nie chcą zabierać. Przywołał w tym kontekście cara Piotra I, który w rezultacie wojny północnej opanował tereny dzisiejszej Litwy i Łotwy, należące wówczas do Szwecji.

A zatem Rosjanie „idą po swoje"... Jakie swoje? Ziemie dzisiejszej Ukrainy, w których posiadanie weszli drogą podbojów i rozbiorów Rzeczypospolitej oraz aneksji Chanatu Krymskiego? Ziemie, na których mówiło się przecież nie po rosyjsku, tylko po ukraińsku, krymskotatarsku, a także po polsku?

Putin może cieszyć się z poparcia większości Rosjan dla swojej „operacji specjalnej" na Ukrainie. Na taką postawę społeczeństwa rosyjskiego nie tylko ma wpływ kremlowska propaganda, lecz także oddziałują na nią wieki historii. Dla władców Kremla, od Iwana Groźnego do Władimira Putina, mieszkańcy Rosji nie są obywatelami, lecz poddanymi. Czyli ludźmi zobowiązanymi do bezwzględnego posłuszeństwa władzy. Historia Rosji jest historią długiego trwania samodzierżawia, które przybierało kolejne kostiumy: carski, komunistyczny, a teraz „demokratyczny". Strach i uległość wobec despotycznej władzy, a co za tym idzie – akceptowanie jej posunięć są więc niejako zapisane w genach kolejnych pokoleń Rosjan.

Natomiast przywiązanie do wolności i bunt wobec opresyjnej władzy jest dla odmiany cechą Ukraińców. Polacy coś o tym wiedzą. Kozacy buntowali się i domagali równoprawnego stanowiska w I Rzeczypospolitej, a kulminacją było powstanie Chmielnickiego. Ugoda perejasławska, którą zawarł z Moskwą, miała dramatycznie zaciążyć na losach Ukraińców. Rosjanie zaczęli ich traktować jak młodszych i mniej rozwiniętych braci, a także z czasem – bezwzględnie rusyfikować. Natomiast polsko-ukraińska ugoda hadziacka zawarta została zbyt późno, zbyt mało było bowiem dobrej woli i zrozumienia z obu stron. A Rzeczpospolita Trzech Narodów byłaby wielką szansą na to, by skutecznie oprzeć się imperialistycznej Rosji, zablokować jej wejście do Europy.

Gdy Rosja zaczęła się w końcu pierwszej wojny światowej „pruć po szwach narodowościowych", zgodnie ze spełnionym marzeniem i według określenia Józefa Piłsudskiego, Ukraińcy jasno powiedzieli, co myślą o wspólnym życiu z Rosjanami w jednym państwie – w styczniu 1918 r. ogłosili deklarację niepodległości. Wyprawa kijowska Józefa Piłsudskiego w 1920 r. z udziałem dywizji ukraińskich, określana w latach komunizmu jako awanturnictwo i imperializm, miała doprowadzić do odrodzenia się państwa ukraińskiego i była wymierzona w imperializm rosyjski, misternie wówczas spleciony z ideologią komunistycznej rewolucji światowej. W 2022 r. pozostały tylko nagi imperializm, złowrogie nawiązanie do „zbierania ziem ruskich", a w dzisiejszym wydaniu – zbierania ziem Związku Sowieckiego. ©℗

eprasa.pl 374c0e181c



1909 r. / Amerykanin Frank Sprague buduje odbierak prądu w kształcie wózka na drążku

Trolejbusy przeżywają dziś renesans FOT. ADOBE STOCK

„Trolley bus", czyli trolejbus



Tymoteusz Pawłowski

Jeszcze niedawno było łatwo: samochody napędzane prądem mogły go pobierać jedynie z rozciągniętej na ulicy sieci i nie było żadnych wątpliwości, że nazwa tych pojazdów brzmi „trolejbus". Od pewnego jednak czasu istnieją pojemne akumulatory, samochody elektryczne stały się codziennością i niezbyt wiadomo, czym różnią się one od trolejbusów...

Samochody pojawiły się w drugiej połowie XIX w. i wielu inżynierów pretenduje do miana autorów tego wynalazku. Swego czasu, gdy niemal wszystkie samochody napędzane były silnikami spalinowymi, firma Mercedes-Benz starała się przekonać świat, że to Niemcom przypada palma pierwszeństwa. Jednak samochody spalinowe były jedynie krótkim epizodem w dziejach motoryzacji.

Dość długo – bo aż do początków XX w. – prym wiodły samochody parowe. Równie popularne były samochody elektryczne. W 1881 r. Francuz Gustave Trouvé zbudował pojazd napędzany prądem z akumulatorów, który bardzo szybko zdobył popularność. Próby stworzenia drogowego pojazdu elektrycznego napędzanego przez prąd z sieci długo były nieudane: problemem okazało się znalezienie odpowiednio długiego kabla...

Silnik elektryczny potrzebuje dwóch przewodów, którymi płynie prąd. W tramwajach i lokomotywach elektrycznych rozwiązano to w ten sposób, że jeden z nich zawieszony jest nad ulicą – nim prąd dostarczany jest z elektrowni – a drugim są metalowe szyny: nimi „zużyty" prąd odpływa. Samochód jedzie po ulicy, więc jeśli chcielibyśmy napędzać go prądem, musielibyśmy zamontować nad nim dwa przewody: jeden zasilający i jeden powrotny. O ile skonstruowanie odbieraka prądu dla tramwaju – popularnie zwanego pantografem – nie stanowiło problemu, o tyle podwójny odbierak dla trolejbusów próbowano bezskutecznie skonstruować przez wiele lat.

Rozwiązanie zawdzięczamy Amerykaninowi Frankowi Sprague'owi, który zbudował odbierak w kształcie wózka zamontowanego na drążku. Koła tego wózka jeździły po górnych przewodach trakcyjnych. Wózek po angielsku to „trolley", a autobus je wykorzystujący to

eprasa.pl 374c0e181c

„trolleybus". Pierwsze takie trolejbusy pojawiły się w 1909 r., co sprawia, że nazwa ta użyta w poprzednim akapicie jest anachronizmem: w XIX w. nie było trolejbusów, bo nie było „trolejów"…

Złote lata trolejbusów

W pierwszych dziesięcioleciach XX w. trolejbusy cieszyły się dużym powodzeniem, były bowiem dużo tańsze niż tramwaje, jedyny ówczesny efektywny środek transportu miejskiego. Autobusy były wtedy czymś zupełnie innym niż dzisiaj, służyły do przewożenia kilkunastu pasażerów po równych asfaltowych drogach. Próba zwiększenia pojemności kończyła się pęknięciem ramy, a próba zwiększenia wytrzymałości autobusu kończyła się takim wzrostem jego masy, że ładowność pojazdu malała do minimum. Poza tym ówczesne silniki spalinowe miały bardzo niewielką moc i każde wzniesienie było dla autobusów wyzwaniem.

Elektryczne silniki trolejbusów miały większą moc niż silniki spalinowe i były od nich również lżejsze, mniejsze i nie potrzebowały miejsca na paliwo. Dzięki temu ramy nośne trolejbusów mogły być proste w konstrukcji i produkowane z większej ilości stali, co przekładało się na ich wytrzymałość. Mogły poza tym jeździć po stromych ulicach, czego nie potrafiły tramwaje.

Trolejbusy były szczególnie popularne w agresywnych państwach totalitarnych, takich jak Niemcy hitlerowskie i stalinowska Rosja. Gdy w innych krajach budowano systemy tramwajowe (wymagające stali) i rozwijano komunikację autobusową (wymagającą benzyny), w III Rzeszy i Związku Sowieckim budowano trolejbusy, przeznaczając zaoszczędzoną stal oraz benzynę do budowy i napędu czołgów.

W krajach nieco bardziej cywilizowanych dzieje trolejbusów skończyły się tuż po drugiej wojnie światowej, gdy nauczono się produkować pojemne autobusy wyposażone w silniki o dużej mocy. Linie trolejbusowe likwidowano jedna po drugiej – w Polsce większość sieci zlikwidowano w początkach lat 70. – ale trend ten został zatrzymany wraz z wybuchem wojny Jom Kippur i kryzysem paliwowym roku 1973: pojazdy elektryczne znów zaczęły być interesującym rozwiązaniem.



Reklama piętrowego brytyjskiego trolejbusa z 1946 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kryzys paliwowy uratował trolejbusy w Gdyni i doprowadził do zbudowania sieci w Tychach i Lublinie. Akurat w tych miastach sprawdzają się one doskonale. Lublin jest dość górzysty – a trolejbusy nie boją się wzniesień. Tychy to jedno z najmłodszych miast w Polsce, zbudowane wedle „amerykańskich" zasad z regularną siatką szerokich ulic, doskonałą dla trolejbusów. Wreszcie Gdynia łączy w sobie obie te cechy: to miasto nieco tylko starsze niż Tychy, z podobną „amerykańską" siatką ulic, a jednocześnie jest równie górzyste co Lublin. Prawdziwy raj dla trolejbusów.

Autobusy elektryczne

Polskie sieci trolejbusowe mogą służyć jako atrakcja turystyczna, szczególnie że Gdynia, Tychy i Lublin są bardzo charakterystyczne i godne odwiedzenia. Są to również miasta dbające o klimat, bo przecież pojazdy elektryczne zanieczyszczają mniej niż spalinowe.

Ale czy na pewno?

Autobus z silnikiem spalinowym energię uzyskuje dzięki spalaniu płynnych węglowodorów, najczęściej ropy naftowej. Trolejbus z silnikiem elektrycznym energię uzyskuje z elektrowni. Ale energia w elektrowni nie bierze się znikąd. W naszych polskich warunkach powstaje dzięki spalaniu węgla. Dla Ziemi nie ma większej różnicy, czy spaliny produkuje tysiąc silników spalinowych umieszczonych w samochodach czy jeden duży silnik spalinowy umieszczony w elektrowni. Oczywiście samochody elektryczne – bo te z akumulatorami również pobierają prąd tam, gdzie trolejbusy, z elektrowni – mają tę zaletę, że nie zanieczyszczają ulic. Ale przecież nie chodzi o to, żeby nie śmierdziało nam, tylko mieszkańcom Turowa czy Bełchatowa, ale chodzi o to, żeby w ogóle nie było zanieczyszczeń.

W innych krajach sytuacja wygląda nieco inaczej. We Francji niemal cała energia elektryczna produkowana jest w elektrowniach atomowych. W Norwegii powstaje w elektrowniach wodnych. W obu tych krajach – i innych, do nich podobnych – samochody elektryczne rzeczywiście są bardziej ekologiczne niż w Polsce.

Można tylko mieć pretensje do polskiego rządu, że elektrowni atomowych nie ma wcale, a wodnych jest jak na lekarstwo. Wynika to jednak z tego, że rządy, które podejmowały decyzje o rozwoju elektrowni cieplnych, niekoniecznie były rządami polskimi…

Gdy w 1918 r. Polska odzyskała niepodległość, bogaty w węgiel Śląsk był niesamowicie ważnym regionem. Węgiel tam wydobywany był bowiem tak cenny, że nie spalano go w kraju, tylko eksportowano, a zarobione dewizy przeznaczano na rozwój infrastruktury. Prąd zamierzano produkować w elektrowniach wodnych. Kilka nawet zdołano wybudować.

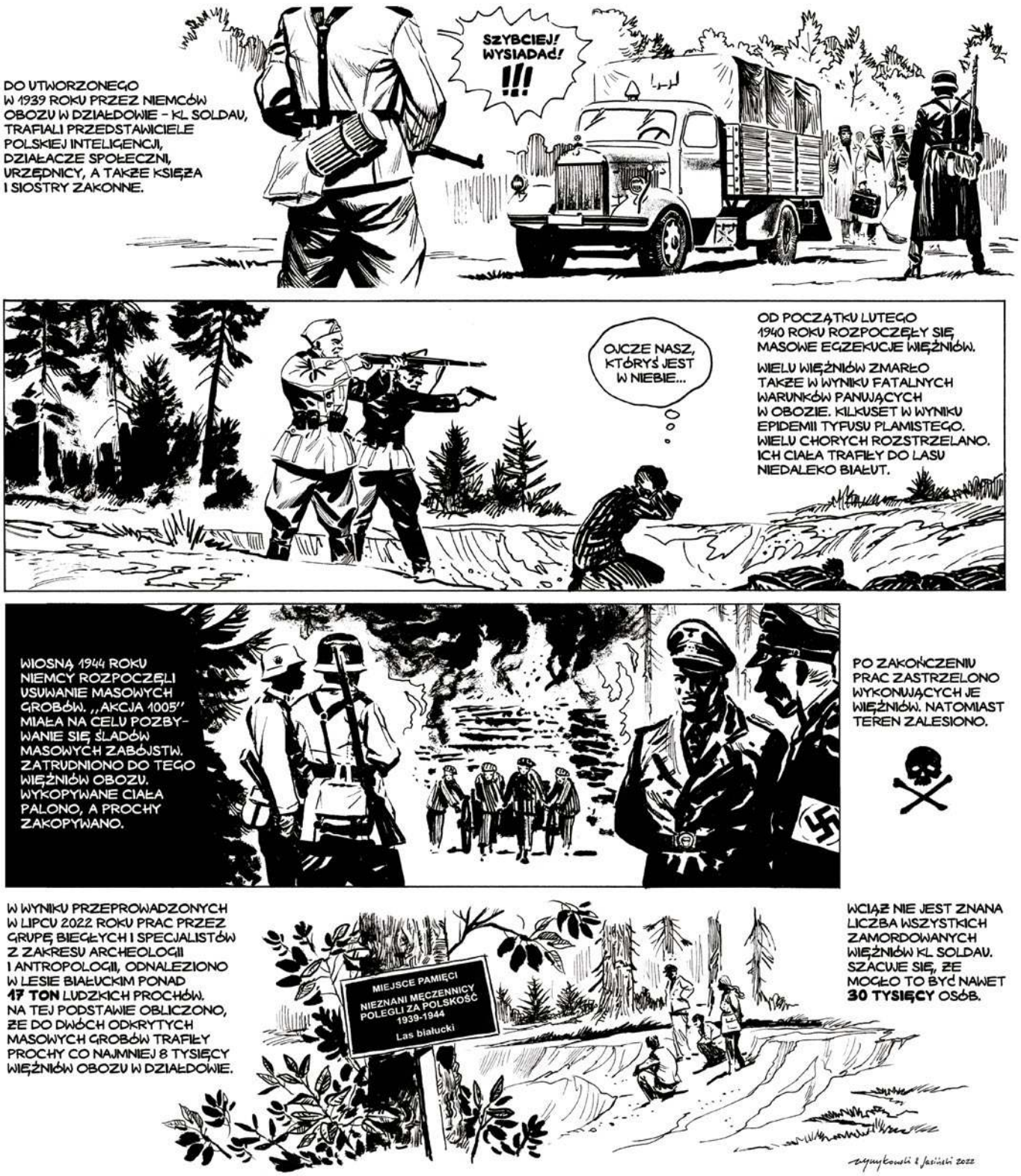
W 1945 r. władzę w Polsce zdobyli komuniści, realizujący rozkazy wydawane w Moskwie. Gospodarka Polski została podporządkowana Rosjanom. Uran wykopano z polskich gór i przeznaczono na sowieckie głowice jądrowe, nie zdołano jednak wybudować żadnej elektrowni jądrowej. Elektrownie wodne były zbyt drogie i zbudowano jedynie nieliczne – realizując plany nakreślone tuż po 1918 r. Z rozkazu Moskwy budowano elektrownie węglowe – były mniej skomplikowane od wodnych i atomowych, a węgiel był przecież dostępny na miejscu.

Dziś jesteśmy państwem mało ekologicznym, ale nie z naszej winy: niepodległość to nie tylko kwestia pieśni patriotycznych, lecz także ekologii. I trolejbusów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 374c0e181c

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



eprasa.pl 374c0e181c

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie
18:30



zaprasza **Piotr Kieraga**

REPUBLIKA

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 374c0e181c

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI



PARTNERZY GŁÓWNI

KGHM POLSKA MIEDŹ | PZU

PARTNERZY

PKO Fundacja | STRABAG TEAMS WORK.

eprasa.pl 374c0e181c